

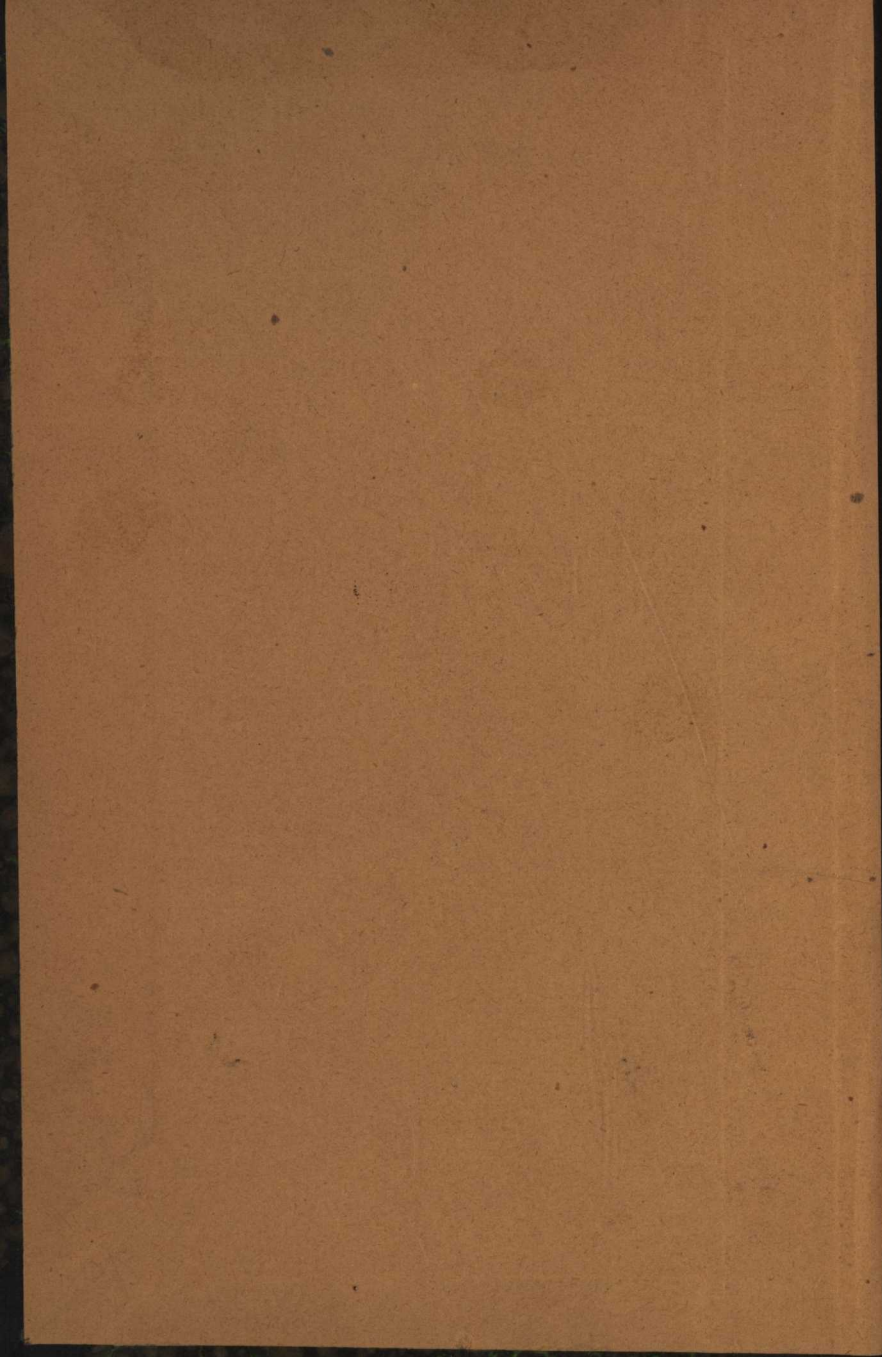
Wydział Nauk w Przemysłu.

1150

D Lit

100-2-2

11.4



2872

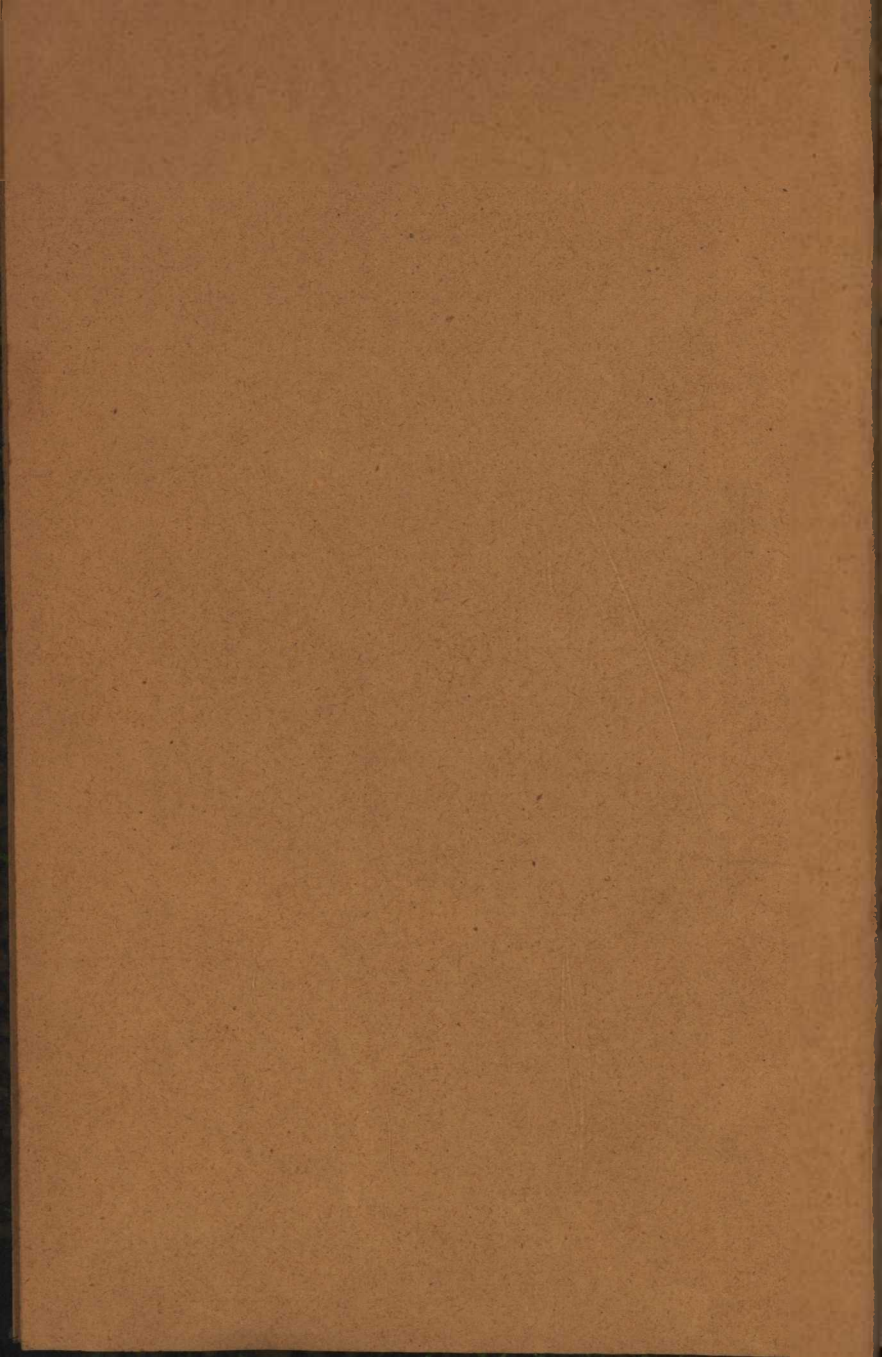
Tow. Przyjaciół nauk w Przemyslu.

1150

D Lit

142, 14

Wa-2-2



Typ. Przejście waga w Przemysku.

1150

D

LW

Wa-2-2

SIEDM STRUN LUTNI.



1000171917

76

1150

115-5-2

SIEDER STRUM PLANT.

—KOLON—

SIEDM STRUN LUTNI

Z FRANCUZKIEGO

G. SAND.

przez W. O.



WYDANIE

KAZMIERZA JÓZEFA TUROWSKIEGO.

L-1/11



SANOK.
NAKŁAD I DRUK KAROLA POLLAKA.
1856.

A-20378

OSOBY;

Mistrz Albertus.

Hans,

Karl,

Wilhelm,

Helena.

Mefiatofeles,

Poeta,

Mularz.

Kapelmistrz.

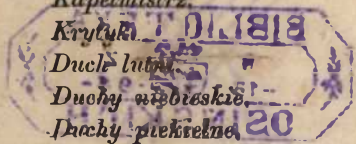
Krytyka.

Duch lub

Duchy niebieskie.

Trachy pieknelne.

Teresa, ochmistrzyni Heleny.



BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

Letter 13 d

K.1160/56/214

WYDAWCA I Druk K. KAROLA POLAKA

1856

AKT I.

LUTNIA.

Scena I.

(Pokój mistrza Albertusa, który pisze. Wilhelm wchodzi na palcach.
Noc. W dali słyhać odgłos uczty.)

Mistrz Albertus, Wilhelm.

Albertus, nieoglądając się.

Kto tam? Czy to ty Heleno?

Wilhelm na stronie.

Heleno?! Czy ona wchodzi czasami o północnej dobie do pokoju filozofa? (głośno) Mistrzu! to ja — Wilhem.

Albertus.

Sądziłem, żeś na uczcie.

Wilhelm.

Właśnie z niej wracam. Napróżno szukałem rozrywki. Niegdyś dosyć mi było powietrzem uczty odetchnąć, by serce moje zadrgało młodością i szczęściem; dziś rzecz się ma inaczej!

Albertus.

Rzekł by kto, że wiek krew twoją ostudził! Taka to moda teraz. Każdy z młodych ludzi ma się za przesyconego. Jeszcze, gdyby dla nauki rzucali uciechy — ale gdzie tam! Ich zabawa zależy na udawaniu smutku, na wma- wianiu w siebie, że są nieszczęśliwi. Ach! dziwaczna to rzecz ta moda!

Wilhelm.

Mistrzu! uwielbiam ciebie, który nigdy ani smutnym ani wesołym nie jesteś, coś sam zawsze i zawsze spokoj-

ny. Wesolość powszechna w swój wir ciebie nie porywa ani też nie daje ci uczuwać nudów twego odosobnienia. Słyszysz jak brzmią serenady, widzisz jak tysiącem światła jaśnieją krużganki, spostrzegasz z twych okien bal wiejski z jego łukami z szkieł różnobarwnych, jego ognie sztuczne, co złotym deszczem obsypują zielone wierzchołki drzew kasztanowych: a ty filozoficznie rozumujesz wtedy, jaka styczność zachodzić może pomiędzy twoją spokojną podmiotowością a zachwycającą przedmiotowością wszystkich tych zgrabnych nóżek, co tam pływają po murawie! Jakto? nigdyż cię nie przejęło słodkie drżenie na widok owych szat śnieżnych, co się tam jak cienie przesuwają po gajach, a pióro twoje nie wstrzymuje się w biegu, jak gdyby to straż bezpieczeństwa przerywała ciszę nocy!

Albertus.

Mało cię to obchodzić może, jakie wrażenie widok uczyty na mnie sprawuje. Ależ ty sam, ty, co mi obojętność moją wyrzucasz, jakim sposobem się dzieje, żeś już z powrotem tak wczesnie?

Wilhelm.

Kochany mistrzu! wyznam ci prawdę: nudzę się wszędzie, gdzie jestem pewny, że Heleny nie spotkam.

Albertus z drżeniem.

Więc zawsze jednakowo ją kochasz?

Wilhelm.

Co raz to więcej. Odkąd odzyskała rozum dzięki twoim staraniom, więcej jest zachwycająca jak kiedy; przemienione cierpienia lekki ślad zostawiły na jej czole, a owa rzewna smętność, co drugich odstrasza, nowym jest dla mnie powabem. O! jakże ona zachwycająca! Ty tego nie spostrzegasz; ty mistrzu! patrzysz jak wzrasta i pięknieje w twych oczach, a nie wiesz jeszcze, że to już młoda dziew-

czyzna, dla ciebie zawsze jest dzieckiem; nie wiesz pewnie i tego, czy ona brunetka czy blondynka, czy słuszna czy mała —

Albertus.

W samej rzeczy zdaje mi się, że ani jest słuszna ani mała, ani brunetka ani blondynka.

Wilhelm.

Więceś się jej przypatrywał?

Albertus.

Często ją widziałem nie myśląc patrzyć na nią.

Wilhelm.

Jakże ona ci się wydaje?

Albertus.

Piękna, jak czysta i doskonała harmonija. Jeżeli mię nie uderzył kolor jej oczów, jeżeli nie zauważył jej postawy, to nie dla tego, żebym miał być niezdolnym widzieć i pojmować piękność; ale jej piękność jest tak harmonijna, taka zgodność między jej postacią a duszą, że uczuвам cały powab jej obecności, bez rozbierania szczegółowo przymiotów jej osoby —

Wilhelm nieco zmieszany.

Jak na filozofa jest to przewyborny opis! I nigdy nie mniemałbym cię być zdolnym....

Albertus.

Żartuj, żartuj pocziwy Wilhelmiel! filozof to takie niepełne, pocieszne stworzenie!

Wilhelm.

O! nie przemawiaj tak, kochany mistrzu.... Ja sztydzie z ciebie! o mój boże! z ciebie najlepszego i największego pomiędzy dobrymi i wielkimi ludźmi!... Lecz gdybyś wiedział, jak mię to uszczęśliwia, żeś nie zamilowany w kobietach... Gdybyś przypadkiem zbyt nie zauważył wdzięki Heleny, cóżby się natenczas stało ze mną

biednym uczniem w spółzawodnictwie z człowiekiem twojej zasługi?

Albertus.

Drogie dziecko! nigdy twoim ani niczym współzawodnikiem nie będę. Umie być sprawiedliwym dla siebie; minęły już dla mnie czasy podobania się i miłości.

Wilhelm.

Co mówisz mistrzu! Zaledwieś dobiegł połowy zwykłego życia zakresu! Czoło twoje noszące znamiona czuwania i pracy żadnym przecież nie jest przeorane zmarszczkiem; a gdy ogień szlachetnego zapалу zatli w twem oku, jakkolwiek młodzi, spuszczaemy przecież ku ziemi źrenice, jakby na ukazanie się wyższej istoty, jakby na połysk niebiańskiego promienia.

Albertus.

Nie mów tego Wilhelmie! Wdzięk i powab wyłącznym są udziałem młodości. — Piękność dojrzałego wieku jest to owoc jesienny usychający na gałęzi, ponieważ owoce lata zaspokoily pragnienie... prawdę mówiąc, nie miałem młodości Wilhelmie! i owoc uschnięty spadnie na ziemię, nie ściągnąwszy ani oka ani ręki przechodnia.

Wilhelm.

Powiadano mi to mistrzu! i wierzyć nie chciałem — Prawdąż to, że nigdy nie kochałeś?

Albertus.

Aż nadto prawda mój przyjacielu! Ale wszelki żal teraz już niewczesny.

Wilhelm.

Nigdy nie kochać! Biedny mistrzu!... Aleś tyle innych, szczytnych uciech zaznał, o których my wyobrażenia nie mamy!

Albertus porywcz.

A tak! bez wątpienia, bez wątpienia... Wilhelmie! chcesz więc poślubić Helenę?

Wilhelm.

Wiesz dobrze kochany mistrzu! że od dwóch lat jest to moje jedyne życzenie.

Albertus.

I dla rzemiosła opuściłbyś naukę? Gdyż koniec końców musisz się postawić w możności utrzymania rodziny, a filozofja nie jest źródłem materyalnych korzyści.

Wilhelm.

Mniejsza o stan; wiesz dobrze, że gdy zachodziła kwestya o związek mój z Heleną, stary lutnista Mejnaker, jej ojciec, wymagał, ażebym dla pracowni opuścił akademicką ławkę, naukę umiejętności dla narzędzi pracy, księgi historyi i metafizyki dla ksiąg handlowych. Poczciwiec życzył sobie za zięcia człowieka zdolnego do hybla i pilki jak najprościejszy wyrobnik, zdolnego nakoniec jak on sam fabryką jego zarządzić. Podałem się więc wszystkiemu; nie masz ofiary, którejbym dla otrzymania córki jego nie zrobił. Potrafiłem już urządzić harfę, najlepszą, jaka kiedykolwiek wyszła z jego pracowni. Co do skrzypców — nie [miałem] współzawodnika. Za boską i talentu mego pomocą, przy szczupłym kapitaliku w dodatku, mógłbym założyć skromny magazyn narzędzi muzycznych.

Albertus.

Więc bez żalu rzekłbyś się uprawy twoich władz umysłowych, rozszerzenia zakresu twych wyobrażeń, wzniesienia duszy twej do ideału?

Wilhelm.

O! bo widzisz mistrzu! ja kocham. To jest odpowiedź na wszystko. — Gdyby za czasów dobrego swego mienia Mejnaker w miejscu ujmującej swej córki ofiarował mi niezmierne bogactwa i w dodatku zaszczyty, jakie panujących tylko mogą być udziałem, nie wahałbym się i

chwile, pozostałbym wiernym wyznawcą nauki, zdeptałbym nogami wszystkie te dobra ziemskie, ażeby się wznieść ku niebu. — Ale Helena, to mój ideał, to niebo, czyli raczej harmonija, co rzeczy niebiańskie jednoczy. Na co mi rozszerzać zakres mych pojęć? gdy na nią patrzę, obejmuję odrazu wszystkie te cuda, jakie mozolna nauka, wyteżenie rozumowania, wyjawiałyby mi tylko po jednym. Kochany mistrzu! ty nie pojmujesz tego! Ale ja jestem takiego przekonania, że miłość doprowadzi mnie prędzej do wiedzy, do cnoty, do bóstwa, aniżeli ciebie wstrzeźliwość i nauka. — Zresztą, gdyby nawet inaczej byłoby miało, nie wahałbym się poświęcić całą wiedzę, ażeby tylko żyć sercem...

Albertus.

Może jesteś w błędzie. Może twoje zmysły mają nad tobą przewagę pomimo twej woli i poddają ci owe sofizmata, które nie śniem zbijać z obawą, bym ci się nie wydał filozofską pychę nadęty. Bądź więc szczęśliwy według usposobienia twego i idź za popędem burzliwej twojej młodości. Przyjdzie ten dzień bez wątpienia, w którym spojrzysz po za siebie i zastraszyś się, żeś dozwolił władzom twego umysłu usnąć się w rozkoszach...

Wilhelm.

Podobnież mistrzu! jak po zawodzie poświęconym umiejętności zdarza się mężowi surowych zasad rzucić okiem w przeszłość, i zastraszyć się widokiem przygasłych bezowocnie namiętności swoich.

Albertus.

Aż nadto prawdziwe są twe słowa, Wilhelmiel! Spojrzyj na tę lutnię. Wiesz ty, co ona znaczy?

Wilhelm.

Jestto sławna lutnia z kości słoniowej, wypracowana przez sławnego lutnistę Adelsfrejt, godnego przodka He-

lony Mejubaker. Ukończył ją całkowicie, jak podanie nie-
 sie, w sam dzień swojej śmierci, około sto lat temu, a po-
 czciwy Mejbaker przechowywał ją jak relikwije, niepo-
 zwalając, ażeby własna jego córka dotknęła jej nawet od-
 dechem. Jestto szacowny instrument mistrza, któremu nie
 masz równego. Ozdoby jej tak wytwornego są smaku,
 otaczające ją figurki z kości słoniowej wypracowane tak
 cudnie, że znawcy niezmiernie sumy za nią ofiarowali.
 Ale chociaż podupadły, Mejbaker wołałby raczej umrzeć
 z głodu, jak dozwolić, by ten nieporównany instrument
 wyszedł z jego domu.

Albertus.

A przecież niemy on, ten nieporównany instrument!
 Jestto dzieło cierpliwości, przedmiot sztuki na nie nie
 przydatny, z którego ani jednego tonu nie można wydo-
 być. Struny jego zardzewiały lub rozstrojone i pod dło-
 nią największego artysty nie wydałyby dźwięku. . . .

Wilhelm.

Do czegoż to zmierzasz mistrzu?

Albertus.

Oto do tego, że dusza jest lutnią, której wszystkie
 struny trzeba umieć poruszyć, to razem, to znowu każdą
 z osobna, podług przepisów harmonii i melodyi. Gdy się
 zaś dozwoli rozstroić lub zardzewieć tym strunom zara-
 zem delikatnym i potężnym, napróżno pielęgnować się bę-
 dzie zewnętrzną piękność lutni, napróżno się złoto i kość
 słoniowa przechowują świetne i czyste; głos nieba już
 w niej nie przemieszkuje, i to ciało bez duszy zostanie
 tylko sprzętem nieużytecznym.

Wilhelm.

Da się to zastosować do mnie i do ciebie kochany
 mistrzu! Ty za często poruszałeś złote struny lutni, a mo-
 siężne popękały tymczasem. Ze mną rzecz się ma prze-

ciwnie. Z dobrej woli pokrusiłem niebiańskiej struny, na których ty grałeś, i z niepohamowanym szaleństwem rzuciłem się na struny namiętności przez ciebie wzgardzone.

Albertus.

I obaśmy niezręczni, niezupełni, ślepi, gdyż obiema rękami i na wszystkie tony umieć grać na tej lutni należy.

Wilhelm nie słuchając go.

Ty mistrzu! tyle posiadasz władzy nad umysłem Heleny. Chciej przyjąć na siebie wstawienie się za mną, bym ją przyjęła za męża.

Albertus.

Uczynię to z całego serca moje dziecię! i wszelkiej mojej użyję mocy, bo jestem przekonany, że lepszego wyboru zrobićby nie mogła.

Wilhelm.

Błogosławieństwo niebios niech będzie z tobą i niechaj uwieńczy twoje usiłowania. Dobra noc kochany mistrzu! przebac mi, że tak mało filozofem jestem. Zapomnij o niewdzięcznym uczniu, który cię opuszcza, ale zachowaj wspomnienie szczerego przyjaciela, który ci nazawsze wiernym zostanie.

Scena II.

Albertus sam.

O wzniosła filozofijo! Tak to odbiegają od twoich ołtarzy dla pierwszej lepszej namiętności, co ich zmysły owładnie! Tak więc znikoma twa władza? Uragowiskoż tylko z twojego wpływu? Niestety! jakże słabe są węzły, któremi nas krępujesz, gdy po długim poświęceniu się przeciagu, po połowie życia ubiegłego w bohaterskim wytrwaniu, z taką goryczą uczuwamy jeszcze okropność odo-

sobnienia, znudzenia męczarnie!... Duchu najwyższy! źródło wszelkiej doskonałości i światła, ty, którego poznać, czuć i widzieć chciałem z bliższego stanowiska aniżeli inni ludzie, ty! który wiesz, że wszystko poświęciłem i samego siebie, bym oczyszczony mógł się do ciebie przybliżyć: gdy tobie tylko jednemu wiadoma wielkość mojego poświęcenia i nadmiar mych cierpień, czemuż nie raczysz skuteczniej mię wesprzeć w godzinie strapienia mego? Skądże pochodzi, że ofiara powolnego konania dogorywam wewnątrz, jak owa lampa, której światło żywszym połyska blaskiem w chwili, gdy już jej oliwy ma braknąć? Zkąd pochodzi, że zamiast być ciągle tym mędrcom, tym stoikiem, którego pogodę każdy uwielbia i za zdrości, stałem się najniepewniejszym, najnędniejszym z ludzi? (przybliżając się do balkonu) Słowo wieczne, duszo wszechświata, o wielki duchu, o boże! ty, co jaśniejysz na tym firmamencie i żyjesz w nieskończoności tych słońc i tych promienistych światów, ty wiesz dobrze, że ani próżna miłość sławy, ani pycha znikomej wiedzy wprowadziły mię na tę drogę zrzeczenia się rzeczy ziemskich. Ty wiesz, że gdym przez cnotę chciał się wznieść nad innych ludzi, to nie dla czczej chęci uważania siebie za lepszego od nich, lecz by się bardziej zbliżyć do ciebie, źródło wszelkiej doskonałości i światła! Nad uciechy znikomej materji przeniosłem duszy rozkosze, a ty wiesz, o ty! który czytasz w głębi serc wszystkich, jak czystem i szczerem jest moje! Dla czegoż to srogie zwątpienie mię szarpie? Czemu na siłach upadam? Czyż ścieżka mądrości tak znojna, że im się dalej na nią zapędzi, tem się więcej zawad i niebezpieczeństw spotyka? Czemuż, gdy już połowy dobiegłem zawodu i zwycięzko przebyłem najburzliwsze lata młodości, dziś w moim wieku dojrzałym jestem wystawiony na próby coraz straszniejsze?

Miałbym żalować dzisiaj tego, czem pogardziłem wtedy, gdy jeszcze czas posiadania nie był przeminał? Czyż serce człowieka takiego jest składu, że sama tylko pycha zdolna utrzymać je w sile? i nie potrafiż znosić boleści, jeżeli ta nie jest wynikiem własnej jego woli?— Nieraz filozofom wyrzucają pychę!... Gdyby to miała być prawda! Gdybym uważał za ofiarę przyjemną bóstwu zrzeczenie się, które ono odpycha, lub na które spogląda z litością jako na oznakę słabości i zaślepienia naszego! Gdybym żył bezowocnie i bez zasługi! Gdybym cierpiał na próżno!— Mój boże! cierpienia tak uporczywe, walka tak dojmująca, noce pełne udręczeń, dnie takie długie, tak ciężące aż do wieczora!— Nie, to niepodobna; bóg ani dobrym ani sprawiedliwym byłby, gdyby mi nie policzył tak wielkiego ciężaru! Jeślim był w błędzie, jeżeli zły użytek zrobiłem z mej siły, winą to jest niedoskonałości mojej natury, słabości mych pojęć, a szlachetność zamiaru rozgrzeszyć mnie powinna... Rozgrzeszyć? co! i nie więcej? takie tylko przebaczenie, jakiego sędzia nie odmawia w swej łaskawości rozkosznikom i samolubom?... Rozgrzeszyć mnie? Czyż jestem nabożnisiem, mistykiem, bym mniemał, że bóstwo samych tylko nieuków, ubogich umysłem na łono swoje przyjmuje? Czyż ja mnich, bym pokładał całą wiarę w panu ślepych, przyjacielu zbydlęcenia i lenistwa?— Nie, bóstwo, któremu hołduję, zarówno jest bóstwem Pitagoresa, Platona jak i Chrześcianina. Nie dość być miłosiernym i pokornym, by je sobie zjednać, potrzeba jeszcze być wielkim, potrzeba zarówno uprawiać wysokie władze pojęcia, jak słodkie serca instynkty, ażeby wejść w styczność z ową potęgą nieskończoną, która jest samą doskonałością i zachowuje przez dobroć, ale przez sprawiedliwość panuje... Za twoim idąc przykładem, o doskonałości bez granic! człowiek sprawiedliwym

bydź winien, a bez poznania nie masz sprawiedliwości!—
 Jeżeli nie posiadasz owego poznania, o nędzna ma duszo!
 jeśli twoje prace i usiłowania doprowadziły cię tylko do
 błędu, jeżeli nie jesteś na drodze innym duszom służąc
 mającej, więcś przeklęta i nie masz innej ucieczki, jak
 cierpliwość Boga, który zbrodniarzom przebacza i upo-
 dlonych podnosi... Spodlony! zbrodzień! ja, którego cno-
 ta najczulsze serca zastrasza, zawistnych do rozpacz przy-
 wodzi.. Pycha! pycha! Zdaje mi się, że z wysokości
 gwiazd tych głos donośny pychę mi zarzuca! O wy, co
 przechodzicie wradości, wy, których życie jest uczta, mło-
 dzi ludzie! których świeże głosy przywołują się i odpowia-
 dają sobie nawzajem z głębi tych gajów, gdzie igracie przy
 światłach jak lekkie motyle nocy! Piękne dziewice weso-
 łą i czyste! których niewinne uciechy wstępem są do su-
 rowych radości hymenu! artyści i poeci! których celem
 ugania się i posiadanie wszystkiego, co wyobraźnię upa-
 ja i zachwyca zmysły! ludzie dojrzały, pełni zamiarów i
 chęci rzeczywistego użycia! wy wszyscy, co tylko łatwe
 do uskutecznienia tworzyście życzenia, co tylko proste i
 pospolite pojmujecie uciechy — wy wszyscy zadowolnieni!
 A ja sam w pośród tego upojenia pozostałem smutny, ponie-
 waż nie w was położyłem moją nadzieję, i że nic nie możecie
 dla mnie! Wy jedną składacie rodzinę, od której żaden
 nie może się odosobnić, a każdy użytecznym lub przyje-
 mnym nawzajem sobie bydź może. Są nawet lubieni i po-
 szukiwani od wszystkich. Nie masz ani jednego, któryby
 nie piastował w swem sercu jakiego przywiązania, jakiej
 nadziei, jakiej sympatii! A ja, trawię się zwolna w wie-
 cznym sam na sam z samym sobą, z widmem człowieka,
 jakim bydź mógłbym i którego umorzyć chciałem! Jak
 wyrzut sumienia, jak cień ofiary, ściga mię on bez przer-
 wy i upomina się o życie, które mu odjąłem. Gorzkimi

szycorstwy obsypuje mię dragiego, tego, którego poświęciłem ołtarzowi mądrości, i gdy urąganiem przygniata, rozdziera mię razem wyrzutami swojemi! Czasami wstępuje we mnie napowrót, jak wąż wije się w głębi mego łona i pożerczy ogień w nie wlewa, a gdy mię opuści nakoniec, zostawia po sobie śmiertelną truciznę, która jadem swoim zatruwa wszystkie myśli, lodowaci każde tchnienie moje! O dzieci ziemi, o synowie śmiertelnych! w tej chwili żaden z was nie myśli o mnie, nikt się mną nie zajmuje, nikt we mnie swojej nie pokłada nadziei, nikt nie cierpi dla mnie! A jednak ja cierpię, cierpię jak żaden z was nigdy nie cierpiał i nigdy cierpieć nie będzie! (Lutnia wydaje dźwięk żalostny — Albertus po chwili milczenia:) Cóż to ja słyszałem? zdało mi się, jakoby głos jaki harmonijnem westchnieniem odpowiedział jękowi mej piersi. Byłżeby to głos Heleny, może moja przybrana córka została tknięta skrytą boleścią starego przyjaciela swego? słaby połysk tej lampy... nie, jestem sam! — o nie! Helena śpi teraz. Kto wie, może marzy w tej chwili, że zawieszona u ramienia Wilhelma błąka się z nim po murawie parku przy lazurówym świetle księżycy, lub że tańcuje tam w gaju piękna przy blasku setnych pochodni, otoczona rojem młodzieży podziwiającej lekkość stopy, zwinność jej ruchów. Helena jest dumna, szczęśliwa, kochana... Może kocha także!... Jakże miałyby myśleć o mnie? Któżby mógł myśleć o mnie? Jam zapomniany od wszystkich, obojętny wszystkim. Kto wie? nienawidzony może! nienawidzony! Ach, to byłoby okropnie! (Lutnia wydaje dźwięk bolesny.) Tą razą nie myślę się wcale, jest to głos jakiś, co śpiewa i płacze wraz ze mną... Byłżeby to wietrzyk wieczorny igrający w jazminach albo głos nieba dźwięczący po strunach lutni? — Nie, ta lutnia jest bez głosu; kilka pokoleń już przeminęło nie rozbudziwszy

zgasłego tchnienia w jej wnętrzu. Tak i serce wspaniałomyślne uszcza lub zamiera pomiędzy obojętnymi, co je niepoznają lub zapomnieli o niem. O lutnio! obrazie mej duszy! pod dłoń wielkiego artysty ozwałabyś się niebiańskim dźwiękiem — a taka, jak dziś jesteś, opuszczona, rozstrojona, jak próżna ozdoba zawieszona na ścianie, jesteś tylko pięknie wypracowaną machiną, trupem, umiejętnym dziełem twojego twórcy, w którym przestało bić serce i od którego wszystko, co żyje, ze strachem się usuwa... Otóż ja przebudzę cię z tego uporczywego uspienia! Zamarły instrument pod ręką tylko zamarłego człowieka dźwięk wydać może... (Zdejmuje lutnię ze ściany.) Cóż to ja robić zamierzam, jakież mię szalony pomysł ośwładnął? Gdyby nawet ta rozstrojona lutnia zdolala jaki dźwięk wydać, nieudolna moja ręka niepotrafiłaby ją ugiąć pod przepisy harmonii. Zaspiaj spokojnie stara relikwio, arcydzieło nieznaney mi sztuki! ja w tobie szacowniejszego coś widzę, spuściznę przyjaźni, której byłem wierny, zakład umowy, że będę ojcem Heleny; i z tej powinności uiszczę się święcie (zawiesza lutnię na ścianie.) Próbujmy ukończyć tę pracę. (Zasiada za stołem, potem po chwilowem dumaniu!) Jak Wilhelm myśli ciągle o przybranej mej córce! Co to za potęga ta miłość! O zgubna namiętności! Odważnym jest, kto z tobą walczy, bezrozumnym, kto ciebie zaprzecza!... Miałaby Helena przyjąć za męża tego, któremu raz już odmowną dała odpowiedź?... Zdaje mi się, że Hans więcej jej się podoba!... Hans jest człowiekiem wyższych władz umysłowych, lecz Wilhelm serce ma tkliwsze, a kobiety nad dobry kierunek i doradę większą miłość może przenoszą... Karol rozkochany w niej także... lekka wprawdzie głowa, ale piękny chłopiec... Zdaje mi się, że i kobiety są lekkie i próżne, i że piękne lica nad dobrą głowę więcej mają u nich warto-

ści... Kobiety! Czyż ja znam kobiety?... Jakiż będzie wybór Heleny?... Co mię to ma obchodzić? Udzielię jej rad, jakie mniemać będę za najzgodniejsze z jej szczęściem, i podług jej upodobania za mąż ją wydam... — Oby tę piękną i czystą istotę nie skaziło nigdy technienie brudnych namiętności!... Ach! zaiste, ani na krok nie postąpiłem w pracy. Lampa moja dogorywa... Musi już i to, co jest, na jutrzejszą lekcję wystarczyć. Spróbujmy zasnąć, gdyż równo ze dniem przybędą moi uczniowie. (Kładzie się na lichem swoim posłaniu.) Helena nie wiele ma także objęcia. Rozsądek jej zdrowy, ale pojęcie nie sięga daleko, a najmniejsze zagłębienie się metafizyczne miesza ją lub utrudza... Wilhelm stósowniejszyby był dla niej, aniżeli Hans... Zaprawdę, zanadto się tem zajmuję. Teraz nie pora po temu... Mój boże! Skieruj pod prawa rozsądku i sprawiedliwości uczucia mego serca i działalność mego istnienia. Spoczynkiem mię obdarz!... (Zasypia.)

Scena III.

Mefistofeles wychodzi z lampy w chwili jej zgaśnięcia, *Albertus* śpiący.

Mefistofeles.

Jakież smutne i blahe powołanie czuwać nad filozofem! zaprawdę, jeszcze bardziej zamglony, posepniejszy, aniżeli płomyk owej lampy, którego migotaniu po papierach przed nim leżących nadawałem dla igraszki rysy Heleny i jej zalotników. Ci loicy kaducznie to niedowierzające stworzenia. Na wzór pająka potrzeba snuć pracowitą tkankę dokoła ich zimnej mózgownicy, by ją w sieć dialektyki uwikłać, i jeszcze się zdarza, że się zżymają i wpędzają szatana w własne jej sidła. A tak! tej samej broni, którą im do rąk podał, używają przeciw mi-

strzowi swemu! Ten oto używa przekonywających wywodów, by dojść do wiary, i co zgubiło drugich, jego wyzwala z mych szponów. Nudny mistyku! więcej mi zadajesz pracy, aniżeli sam mistrz Faust, twój poprzednik. Widać, że w twoich żyłach zabłąkało się kilka kropel krwi czulej Małgorzaty, gdyż zachciewa ci się pojmovać sercem. Doprawdy ciężko zrozumieć, w co się teraz człowieczeństwo obraca. Oto filozofowie chcieliby i znać i czuć zarazem. Gdybyśmy im nie stawiali zawad, człowiekby prędko z siideł naszych się wymknał. Ale, hola moi panowie! Wierzcie na ślepo, zgadzamy się na to, ale wara od wiary na przekonaniu opartej! Nic z tego nie będzie, pokąd szatan dzierżawi tę nędzną lepiankę, którą waszym światem zowiecie. Otóż tedy, mości filozofie! innych tu na ciebie potrzeba sposobów, jak na nieboszczyka doktora Fausta. Tamtemu ani na gwałtownych instynktach, ani na nadętem samolubstwie nie brakło, i w chwili, gdy go już śmierć miała wyzwolić, bezrozumny cierpliwość postradał i począł żałować, że życia nie użył; potrafiłem go więc odmłodzić i pchnąłem na burzliwe fale. Gdybym był nie uspieszyl w samą porę rozdmuchać namiętności jego i rozniecić płomień, który w jednej chwili strawił jego sumienie, badawcza wiedza jego wprostby trafiła do prawdy. Ale z tym rzecz się ma inaczej; poczynam się lękać, ażeby namiętności nie obróciły się na korzyść wiary. Więcej on ma sumienia, pycha nader mały, próżność żadnego nad nim wpływu nie wywiera. — Tak dobrze potrafił zwalczyć zwierzęce namiętności swoje, że zdolny jest pojąć rozkosz anielską i uratować się z Małgorzatą swoją, zamiast zgubić ją z sobą. Do twego więc serca, mości filozofie! skieruję me groty, a gdy je zabiję, mózg twój rozpocznie swoją działalność podług mej woli. No, podreźmy trochę to serce, któremu zachciewa się sympa-

tyl, a zamiast odmłodzić, zagrzebmy je pod lodami przedwczesnej starości. Trzebaby zacząć od poniżenia Heleny w jakibądź sposób, choćby wydając ją za jakiego gburą; ale gdzież tam, dobroduszni znaleźliby w tem powód upotyżowania cnót jej domowych! Najlepiej podobno znieślawić ją zalotami wszystkich tych uczniów filozofskich, co od rana do wieczora dom zalegają. Ujrzawszy jej niesławę nasz głęboko myślący mędrzec obrzydzi sobie piękność i młodość. Co tylko na romantyczność zakrawać będzie, wyda się mu zbrodniczem; przemieni się w nieczulą kłodę i tam dopiero czekam na niego... No, poszukajmy teraz dziewczyny. Mam kilka nieczystych płazów, które na jej czoło wypuszczę teraz, gdy snem głębokim uspiona... Ale jest jeszcze między nią a mną zaporą, którą zniszczyć muszę. Myślałem jej użyć, ażeby przez zapal zgubić filozofa; ale teraz, gdym zmienił mój plan wojenny, powinienem zniszczyć talizman, któryby tu płomień serca roncił. Hola złe duchy! Do mnie dzielni służebnicy moi! Pochwyćcie tę lutnię, rozszarpcie waszemi szponami, spalcie ją na popiół waszym oddechem... dalej, żywo!...

Chór piekielnych duchów.

Dalej żywo! dalej żywo! Skruszmy lutnię! Duch wyroki piekła niweczący zamieszkuje tajemnicze jej łono. Moc uroku w więzach go tam trzyma. Rozbijmy jego więzienie, niech wraca do swego pana i przestanie do śmiertelnych przemawiać. Dalej żywo! dalej żywo! Pokruszmy lutnię na miazgi! — Duchu! coś niegdyś był naszym bratem a teraz się chelpisz, że żalem i pokutą zmyjesz twoją winę i odzyskasz miejsce w rządzie potęg niebieskich, wyjdź ztąd natychmiast, niech cię twój pan w swoją moc dostanie i niech cię ukarze! Nie oczyścisz się z twojej przewiny pracując nad zbawieniem ludzkiego

rodu. Dalej żywo! dalej żywo! Pokruszmy lutnię na miazgi!

Głos lutni.

Precz wrzaski piekła! Nie macie mocy nademną! Dłoń niepokalana z więzów mię wyswobodzi! Duchu przeklęty! Napróżno szatańskie twoje zastępy przeciwko mi nie wypuszczasz. Jedna nuta niebieska przygłuszy całe wycie piekiel. Precz więc, i cicho!

M e f i s t o f e l e s.

Cóżto ja widzę? Przestraszone moje zastępy pierzchają trwożliwie! a ta uwięziona potęga silniejszą jest aniżeli ja przy całej mojej wolności!

Chór duchów niebieskich.

Wszechmocny dozwala, ażebyś do złego pobudzał, ale, żebyś je sam spełnił, tego ci niewolno. Tyś nie mocen jednego piórka zdmuchnąć w wszechświecie; możesz jad po sercach rozlewać, ale życia i owadowi nawet odjąć nie możesz. Bezowocny jest twój zasiew, jeżeli człowiek nie użyźni go swoją złośliwością, a człowiek posiada wolność, aniola lub szatana wykluc w swoim łonie.

M e f i s t o f e l e s.

Otóż się mój mędrzec przebudza. Pójdę poszukać jakiego śmiertelnika, coby równo z szatanem nienawidził muzyki i dopomógł mi w skruszeniu tej lutni. (odlatuje.)

A l b e r t u s przebudzając się.

Słyszałem niebiańskie dźwięki, a cuda harmonii, której wpływowi nigdy nie ulegałem, zabrzmiały mi we śnie... ale na jawie któżby mi tę harmonię zdołał powtórzyć? zdawało mi się, że po przebudzeniu sam to potrafię wykonać... ale już wszelki ślad zatarty, w tej chwili słyszę jedynie przenikliwe pjanie budzących się kogutów. Dzień już poczyna świtać. Zasiądźmy do pracy, gdyż wkrótce nadejdą uczniowie, a jeszcze nie jestem gotów. (Słychać

pukanie) Już! każdy nauczyciel powinienby mieć córkę na wydaniu. Gorliwość w uczęszczaniu uczniów do jego mieszkania jest wtedy prawdziwie cudowna! Nie wiem, czy filozofija wiele na tem zyskuje i czy filozofowi dumnym z tego być należy! (Idzie otworzyć.)

Scena IV.

Hans, Karl, Wilhelm, Albertus.

Albertus.

Witajcie mi kochane dzieci! Podziwiam waszą punktualność. Niegdyś nieraz sam musiałem do was chodzić, by was obudzić, a teraz zaledwie mi zostawiacie czas potrzebny do spania.

Hans.

Kochany mistrzu! jeżeliśmy przyszli tak rano bez obawy przebudzenia ciebie, to z tego powodu, że przechodząc mimo okien twoich słyszeliśmy dźwięk muzyki.

Albertus.

Żartujesz przyjacielu! Nikt w moim domu nie zna muzyki, a wiesz, że ja jestem barbarzyńcą w tym względzie.

Wilhelm.

I właśnie też dla tego zostaliśmy mocno zdziwieni słysząc harmoniję godną podziwu wychodzącą z twego pokoju. Wnosiliśmy, żeś nakoniec dozwolił uczyć się muzyki Helenie i że jaki biegły nauczyciel fortepianu lub harfy tu się znajduje, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie mogliśmy zdać sobie sprawy, jakiego rodzaju instrument wydawał tak czarowne dźwięki, które zdaleka nas dolaływały.

Albertus.

Więc nie żartujesz? Nie posiadam żadnego innego muzycznego narzędzia, oprócz tej starej lutni Adelsfrejta, a wicie, że ta zanadto w złym znajduje się stanie, ażeby

jakikolwiek dźwięk wydać mogła. Jednak przyznam się wam, że przed chwilą, gdy jeszcze byłem uśpiony, zdawało mi się, jakoby słyszał cudowną melodyę. Mniemałem, że to było senne złudzenie, lecz teraz poczynam wierzyć, że jakiś muzyk w pobliżu zająć musiał mieszkanie.

Karl.

Może Helena pomimo twej wiedzy oddaje się muzyce, założyłbym się, że pod swoim wezglowiem ukrywa jaką gitarę i przygrywa na niej w czasie snu twego. Także też, co to za dziwaczne urojenia z twej strony kochany mistrzu! tak się jej upodobaniu sprzeciwić? Nie dosyć, że za życia ojca uciechy tej pozbawioną była? Lekarze nie wiedzą, co mówią. Jak możesz jakakolwiek wiarę do słów ich przywiązywać?

Albertus.

Lekarze mieli słuszność, przyjacielu! Wszelkie nerwów drażnienie szkodliwem być mogło i wprost się sprzeciwiało stanowi newralgicznego uniesienia tej młodej dziewczyny, a wszelkie moje badania nad psychologiczną higieną okazały się zgodne z ich zgłębieniem higieny fizyologicznej. Dusza i ciało zarówno potrzebują spokoju do odzyskania równowagi, stanowiącej zdrowie i życie obojga. Widzicie, że starania moje spieszny skutek uwieńczył. Gdy łagodne i zbawienne przepisy przywracały zdrowie tego dziecięcia, roztropny, ojcowski kierunek zwracał jej umysł ku rzeczywistemu ocenieniu rzeczy. Byłem lekarzem jej duszy i miałem szczęście oświecić i wzmocnić ten piękny organizm. Ten, który otrzyma rękę Heleny, więcej jak ojca powinien widzieć we mnie.

Wilhelm.

O, tak zaiste, opiekuńczego anioła, przyjaciela przyodzianego boskiem posłannictwem. Jakże jest pięknie, uzdolnionym być do podobnych cudów, kochany mistrzu!

Hans.

Czyż myślisz naprawdę, mistrzu! że Helena wiele do metafizyki ma usposobienia? Zdaje mi się, że ona daleko więcej oświeca się ufnością, aniżeli przekonaniem. Wierzy ona w ciebie z rodzajem zaślepienia, który można nazwać dziecięcą miłością, ale nie żeby miała rozumieć filozofiję i znajdować upodobania w twojej nauce.

Albertus.

Gadasz jak dziecię.

Hans.

Wybacz nieco pospolitemu wyrażeniu się memu. W innych wyrazach coś podobnego ci powiem. Nie dla tego, żebym cię nie błogosławił i nie uwielbiał, żeś twojem czystomoralnem leczeniem potrafił przywrócić rozum lubej naszej siostrze przybranej, lecz pozwól związać z sobą w tym przedmiocie spór czysto spekulacyjny. Jeszcze nie wybiła godzina rozpoczęcia nauki, możemy kilka chwil z sobą pomówić, gdyż twoja rozmowa zawsze nauczającą i dobroczynną jest dla nas.

Albertus.

Moje dzieci! czas mój do was należy i nieraz więcej skorzystam przysłuchując się wam aniżeli odpowiadając, gdyż wiele jest rzeczy wam znanych, których ja nieznam, albo zapomniałem.

Hans.

Otóż mistrzu! śmiem prawie twierdzić, że są szaleństwa takiego rodzaju, iż uleczyć się z nich byłoby niczem. Rozszalenie poetycznego umysłu o wiele może przewyższa zimne rachuby rozsądku. Nie przynaszaże ze mną, że Helena szczęśliwą była, gdy wzrok jej ożywiony gorączkowym zapalem zdawał się spoglądać na cuda niewidzialnego świata? O! tak! była ona wtedy jeszcze piękniejszą przy swoim natchnionem spojrzeniu, z dziwnym uśmiechem błakającym się po ustach napół

rozwartych, aniżeli dzisiaj, gdy wzrok jej smętnością zamglony. Staje się ona coraz smutniejszą, albo przynajmniej coraz poważniejszą, w miarę, jak czuje, że jej serce powolniej uderza. Materya uczynić może wysilenie, ażeby życie materyalne pochwycić. Ale duch ludzki nie lubi zstępować z tronu, który sobie pobudował w obłokach, ażeby tu na tym padole przygasać zwolna w trudzących i skrytych walkach. Jakież twoje zdanie mistrzu? Czy sądzisz, że Helena odzyskając zdrowie cielesne nie czuje, jak jej dusza stygnie i w bolesną niemoc zapada? Czy sądzisz, że jej niczał jej zachwytów, marzeń i wesółych płasów z Tytanią przy świetle wschodzącego księżycy, i harmonijnej symfonii z królem Gnomów przy gwiazdach zachodzie? Któryż z nas nieoddałby chętnie połowy swego prostego, wieśniaczego zdrowia w zamian za złociste poezyi widzenie?

Albertus.

Hans! mowa twoja sprzeciwia się memu zdaniu. Czy poetą czy zwolennikiem mądrości jesteś? Jeżeliś poetą, składaj rymy i opuść na szkołę. Jeżeliś zaś mym uczniem, nie obłąkuj wyobraźni twych braci przez romantyczne roidła. Wszystkie te gorączkowe natchnienia, wszystkie te rozszalałe przenośnie stanowią stan choroby czysto cielesnej, podczas którego mózg ludzki nie może wydać nic prawdziwego, nic użytecznego a zatem i!nie pięknego. Pojnuję i szanuję poezycę, ale jako kształt świetny i jasny przeznaczony do rozpowszechnienia surowych prawd uniejętności, moralności, wiary, filozofii, jednym słowem: każdy artysta, co nie wytyka przed sobą celu szlachetnego, celu społeczeńskiego, uchybia powołaniu swemu. Cóż mię to może obchodzić, że całe życie poświęci przypatrywaniu się skrzydłu motyla albo kielichowi róży? Wolę raczej naj-

mniejsze odkrycie ludziom użyteczne, najlekszą dążność ku szczęściu ludzkości. Zapaleńcy, podług ciebie, są to natchnione Sybille, gotowe nam tajemnice niebieskie objawić. Bydź może, że pod wpływem szczególniejszego zachwytu posiadają zmysł wytężony do uczucia zewnętrznej przedmiotów pięknoty; lecz jeżeli nie znajdują słów zrozumiałych do wtajemniczenia nas do swego zapalu, to wytężenie ducha w myśli odosobnienia staje się tylko stanem niebezpiecznym dla nich, bezowocnym dla ogółu.

H a n s.

Czas już mistrzu! wyznać ci otwarcie: ja jestem poetą! A jednak rymów nie składam, a jednak nie opuszczę cię bez wyraźnego twego rozkazu, gdyż także i filozofem jestem i nauka mądrości podsycza tylko moją do poczty skłonność. Czemuż takim jestem? dla czego ty jesteś innym, a Helena inną jeszcze? Ja mogę idęć porządku i loiki pogodzić z zapalem dla sztuki, skłonnością do marzeń. Ty zaś przeciwnie, potępiasz jedną i drugie, gdyż marzenia nie mogą się przeobrazić w pracowitą rozwałę, a sztuki nicraz w nadmiarze namiętności, w bezładzie myśli znachodzą natchnienie. Helena w swoim szale jeszcze do innego rodzaju potęg należy. Zanurzona jest w poezyi tak wzniosłej, tak tajemniczej, że z samym bogiem zdaje się obcować i niepotrzebować uświęcenia od wyroczeni ludzkiego rozumu.

A l b e r t u s.

Jakiż ztąd wniosek wyprowadzasz, mój przyjacielu?

H a n s.

Pozwól mistrzu! ażeby uczeń zdał ci sprawę z twojej własnej nauki. Po poprzedniem istnieniu, o którym niezachowaliśmy wspomnienia, bóg wrzucił nas w to życie jakoby w tygiel doświadczeń, w którym musimy być przetworzeni, przerobieni, zahartowani nanowo przez cierpienia,

walkę, pracę, powątpiewanie, namiętność, choroby i śmierć przy końcu. — Przez to wszystko złe przechodzić nam trzeba dla naszej korzyści, dla oczyszczenia, dla udoskonalenia naszego. Od stulecia do stulecia, z pokolenia do pokolenia posuwamy dzieło postępu powolnego ale pewnego, którego dobitne mamy dowody pomimo sceptyków przeczenie. Jeżeli wszelka niedoskonałość naszej istoty, wszelkie niepowodzenia naszego zawodu, zmierzają do zastraszenia nas i zniechęcenia, wszelkie zato wyższe władze dane nam dla pojęcia boga, dla pragnienia doskonałości, zmierzają do uratowania nas z rozpacz, nędzy, a nawet i śmierci; gdyż instynkt w nas boski coraz jaśniejszy i potężniejszy daje do poznania, że nic nie umiera w wszechświecie, i że znikamy z przestworu, na którymśmy przebywali, by się w innym przestworze ukazać, więcej sprzyjającym wiecznemu rozwijaniu się naszemu.

Albertus.

Taka moja wiara.

Hans.

I moja także, dzięki tobie mistrzu! gdyż zgubne takiemu wieku szydercze najgrawanie się fałszywej filozofii, wir namiętności, wszystko to mną zachwiało, i czułem, jak instynkt boski przygasał i migał się we mnie, jak płomień wichrem miotany. Ty dopiero zwróciłeś mój umysł do prawdy przez rozumowanie pełne mocy, przez loikę pełną jaśności, przez prawdziwą znajomość historyi wszelkich istot żyjących, przez głębokie pojęcie prawdy w dziejach rodu ludzkiego, wymowne przekonanie, uzasadnione na pracy całego twego szanownego żywota; przez cnotę zaś bez zmayı, dobroć bez granic, tkliwy pociąg do wszystkich istot tobie podobnych bądź w przeszłości, bądź też w terażniejszości, przez wspaniałomyślne pobłażanie dla tych, co się na tobie nie poznają albo cię prześladu-

ja, owdadłeś me serce, i potrzeby rozumu z potrzebami uczucia pogodziłeś we mnie. Czegoż więcej mistrzu możesz odemnie wymagać? Jeżeli znasz ucznia więcej wyłanego dla ciebie, szanującego cię więcej, przywiązańszego na koniec, daj mu nademną pierwszeństwo, gdyż ten, który najlepiej pojąć cię jest zdolny, najwięcej do ciebie podobny, a zatem najlepszy z naszego grona. Może nim jest Wilhelm, może Karl. Błogosław ich więc, ale i mnie nie przeklinaj, gdyż cię kocham całą potęgą mej duszy.

Albertus.

Moje dziecko, moje dziecko! nie wątp o mej dla ciebie czułości. O mym rozumie i umiejętności wątpić ci pozwalam.— Teraz mów... Masz twoje wyobrażenia...

Hans.

Oto one są. Ludzkość jestto instrument olbrzymich rozmiarów, którego wszystkie struny dźwięczą poruszone tchnieniem opatrności i pomimo różnicę tworzą szczytną harmoniję. Wiele jest strun zerwanych, wiele fałszywe wydają tony, ale tak przeważne jest prawo harmonii, że wieczny hymn cywilizacyi bez przestanku wzbija się zewsząd i zagłusza rozdźwięk zrzadzony niekiedy nawałnicą przechodnią.

Albertus.

Nie umiesz się inaczej wyrażać, jak przez przenośnię? Nie mogę się wzwyczaić w tę mowę.

Hans.

Będę usiłował mówić zrozumiale. Wszyscy się przykładamy do dzieła postępu, każdy podług możności swojej. Każdy więc z nas ulega wpływowi odrębnego organizmu, ale zarazem taki wpływ wywieramy jedni na drugich, że nie masz takiego, któregooby wyobrażenia żadnej a żadnej styczności nie miały z wyobrażeniami drugich.

Jesteśmy więc wszyscy synami ludzi, co nas poprzedzali, i braćmi tych, co żyją wraz z nami. Wszyscy więc jednakiem ciałem i jednakim duchem jesteśmy. Jednakże bóg, który utworzył powszechne prawo różnorodności w jedni, chciał, ażeby, jak niema dwóch listków sobie pod obnych, tak też nie było dwóch ludzi, i podzielił plemie ludzkie na rozliczne rodziny różniące się jedne od drugich przez nieskończone odcienia. Jedna z takich rodzin zowie się: uczeni, inna wojownicy, ta znova mistycy, tamta filozofowie, owa przemysłowi, ta znowu rządzący i t. d. Wszystkie są potrzebne i winne przykładać się zarówno do postępu człowieka na drodze dobrego bytu, mądrości, cnoty, harmonii. Ale jest jeszcze jedna, która zgromadza w swem łonie całą wielkość i zasługę ich wszystkich, gdyż z nich czerpie natchnienie, żywi się nimi, przyswaja je sobie, przetwarza, ażeby je w wielkość przyodziać, upiększyć, ubóstwić, że tak rzekę; jednym słowem, ona je rozgłasza, rozlewa na świat cały, ponieważ językiem powszechnym przemawia... Rodziną tą są artyści i poeci. Świat żyje ich czynami i dzieły, wszystkiemi zmysłami w siebie je wciąga, a najzimniejszy umysł, najsurowsza dusza, czują potrzebę utworów i uroku sztuki, by czuć, że życie jest czem innym jak algebraicznym wyrachowaniem. A jednak świat uważa artystów jako błahy przyrządek wyrafinowanej oświaty. Rozum ich potępił, a jeżeli oddychać jeszcze im wolno, to dla tego, że potrzebni są mędrcom, by im pomagali znosić ciężar i nudy ich mądrości.

A l b e r t u s .

Przyjacielu! mówisz z goryczą. Nie widzę, by mędrcy jakiegokolwiek narodu jak paryasów traktowali artystów. Nie spostrzegam, by zapomnienie lub nędza były ich udziałem w społeczeństwie; za dni naszych tancerka prowadzi

życie Kleopatry, a filozof pożywa chleb gorzki i czarny pomiędzy odstąpieniem a nędzą!

H a n s.

O, tak jest, mistrzu! przyznaję, ale mógłbym odpowiedzieć ci na ten zarzut, że nie jeden ambitny w imieniu filozofii zajmuje pierwszą godność w kraju, gdy męczennik gieniuszu swego, niejedyn artysta żyje w nędzy pomiędzy pospolistością a rozpaczą. Ale nie pod tym względem widzę nieszczęście poety. Poeta chciwy wywyższenia, równie jak takiż filozof, wszystko w społeczeństwie mogą, gdyż oba mogą zdradzić lub wyrzec się prawdy. W rzędzie uwag, do których się tu odnoszę, nie umieszczam nieszczęść społecznych ani materialnych cierpień. Spozieram wyżej i, niezastanawiając się nad jednostkami rozważam całość postępu, jaki poezya i sztuki winny dokonać; postęp ten byłby najpewniejszy, najskorszy, najwspanialszy, gdyby ludzie nie hamowali upornie wszelki śmiały zamach, nie oziębiali każde gorące natchnienie poety. Pod miano poety podciągam wszystkich artystów prawdziwych. — Całe obecne pokolenie zażarcie ich zmusza do zwolnienia kroku, gdyż chępliwe z swego opieszalego rozsądku, nadęte swoją ladajką filozofiją, pragnie, by na jego mierność względ miano ukazując same tylko mierne utwory. Ludzie nie pojmujący wznioślejszych czynów i uczuć utworzyli słowo prawdopodobieństwa dla wszystkiego, co odpowiada ciasności ich objęcia i serca — a wszystko, co ich przewyższa, umieścili w rzędzie niepodobieństwa, niedorzeczności. Ztąd przychodzi, że wszyscy wielcy artyści, jako męczennicy teraźniejszości, przez miłość dla potomności pracują; a jeżeli nie są w wielką cnotę zamożni, przestają na podrzędnym zawodzie bawienia swoich współczesnych

na wzór kuglarzy i wydziedziczają przyszłość z spuścizny gieniusza swego.

Albertus.

Otóż moje dziecię! nie wiedząc o tem sam wydajesz pozew tym artystom skapiącym swej sławy, którzy biorą rozwód z terażniejszością, by w przyszłości zaszczytniejsze miejsce pozyskać. Pojmuję ten rodzaj dumy, jest to najwyszukańszy. Ale wierz mi, gdyby ci gieniusze przeniknieni byli, jak należy, ważnością powołania swego na ziemi, gdyby byli trawieni żądzą postępu, zrzekli by się swej pychy i działali przez miłość ludzkości, czego słusznie nie chcą uczynić dla próżnych bogactw i próżnych wyszczególnień społecznych. Nie wstydziłiby się skrócić lub zmienić kształt swego dzieła, by przemówić do tego poziomego pokolenia językiem dlań zrozumiałym i zaprawić wielkie prawdy przyszłości smakiem, z jego nawykniem zgodnym.

Wilhelm.

Zapominasz mistrzu! że sztuka jest kształtem, niczem więcej. Gdyby się ją zniżyło, zmieniło do upodobania ludzi nie zamilowanych w wielkiem i pięknem, nie masz wtedy sztuki, bo nie masz piękności ani wielkości w kształcie.

Albertus.

I ty także Wilhelmie? w istocie, nigdy mi nie przyszło na myśl, żem młodymi artystami otoczony, i widzę w tym wypadku najdoskonalszą krytykę mojej biednej filozofii.

Hans.

Mistrzu! nie piękniejszego nad filozofiję nie masz; ale jest coś równie pięknego, a tem jest poezya. Poezja jest zarazem matką i córką mądrości.

Albertus.

Córka, pozwalam! powinna pamiętać o tem i nigdy się na krok nie ruszyć bez swojej matki. Ale, żeby ona także matką byź miała, temu zaprzeczam.

Hans.

Mistrzu! pierwszy człowiek, co pojął myśl o bogu, niebył ani geometra, ani teolog, ani filozof—był to poeta.

Albertus.

Byź może. Pierwszy człowiek, który powziął myśl o bogu, był jeszcze nieokrzesany. Umysł jego nie mógł wznieść się przez abstrakcyę do wielkiego źródła. Zmysły mu objawiły moc zewnętrzną od niego silniejszą. Po tem pojęcie jego ztwierdziło sąd zmysłów i przestało na zawsze li córką mądrości.

Hans.

Mistrzu! nie sąd zmysłów ale instynkt serca objawił człowiekowi istnienie boga. Zachwycenie zmysłów na widok stworzenia było tylko przydatkiem do owego uniesienia duszy ludzkiej, która na ziemię rzucona poczęła zaraz marzyć, pragnąć, wdychać do ideału. Umysł nie był jeszcze wdrożony w subtelności metafizyczne, by zadawał sobie pracę w dowodzeniu boga, ale dusza była dosyć zupełną i dosyć potężną, ażeby chcieć boga. Odgadła go ona i uczuła długo naprzód, zanim określenie go przyszło jej na myśl. Owo objawienie, owo widzenie pierwotne jestto poezya, matka wszelkiej religii, wszelkiej harmonii, wszelkiej mądrości. Określam więc wkrótkości metafizykę pojęcie boga, poczyę uczucie boga.

Albertus.

Wywód twój dość mi się podoba i zezwalam z całego serca, ażebyś był moim ojcem kochany poeto! Ale wymagam dowodu. Przysap do dzieła, ucz mię, rozbudź we mnie jaką nową ideę. Weź twój flet i przygrywaj na nim.

Jeżeli w ciągu tego czasu zdołam wynaleść rozwiązanie wielkich zagadnień, które mię zajmują, uwierzę ślepo i dziękując za przemowę nazwę się twoim wdzięcznym i uległym synem.

H a n s .

Nie mogę otworzyć nieba lichym tym fletem, który odkryłeś w kieszeni mej sukni. Ale jeżeli nędzny tylko posiadasz talent, słaby zaród poezyi, twoja to wina mistrzu! gdyż wyganiaasz sztuki z naszej szkoły, i zmuszeni jesteśmy ukradkiem zdala od twego mieszkania używać przyjemności grania na klarncie lub skrzypcach. Gdyby nie surowy wyrok, który przeciwko muzyce wydałeś, byłbym może wielkim artystą, poetą, czarodziejem jak Adelsfrejt, i w tej chwili mógłbym może cud spełnić i nawrócić cie-
BIBLIOTEKA rócenie ważne, zaiste, gdyż nie to jest nieszczęściem
pomocis że się na niej niepoznają przysięgli nadzorcy sztuk
LABYRI h, lecz że jej nieznają ludzie tacy, jak ty mistrzu! gdyż jak wielki poeta trzyma przyszłość filozofii w swym ręku: podobnież wielki filozof włada przyszłością poezyi. Minister sto bredni nadziei może popełnić, koterya na godzinę sto intryg, a przyszłość poezyi zahamowana tylko bydz może przez czas panowania tej koteryi albo tego ministra. Ale niech Albertus omyli się w zdaniu, a przyszłość poezyi na długie wieki zostanie skrępowaną. Głupcy w bezkarności znajdują ucieczkę; wielkie zaś umysły nie mają prawa błędzenia w jednym nawet punkcie teoryi ludzkich przeznaczeń.

A l b e r t u s .

Ale nakoniec cóż mi wyrzucasz? Czyż nie nauczałem zawsze, że sztuki szlachetnymi i potężnymi są środkami do przysporzenia oświaty ludzkiego rodzaju? Jeślim potępiał artystów współczesnych, co szyderską lekkością lub gorzkim sceptycyzmem fatalny wpływ na was wywie-

rają, zato witałem w przyszłości wielkich poetów, co się mają stać sprzymierzeńcami i rozpowszechnicielami mądrości.

Wilhelm.

Czyż mniemasz mistrzu! że dzisiaj nie istnieją tacy poeci?

Albertus.

Nie chcę nic mówić o osobach, powiadam tylko, że dzisiaj poezya nie znalazła jeszcze klucza do skarbcu przeznaczenia swego na ziemi. Są pewne twory sztuki, które uwielbiam, ponieważ je rozumię, ponieważ każdy zrozumieć je może, i że mają cel chwalebny... Uśmiechasz się, i wiem naprzód, co mi odpowiesz. Owe dzieła, które pochwalam, pospolite ci się bydź zdają, a ich twórcy podług ciebie nie zasługują na miano poetów ani artystów. Zkądże to pochodzi? Czy piękne jest względem? Czy jest wypływem umowy, i co dla jednych jest pięknem, nie jest niem dla drugich?

Hans.

Piękne jest nieskonczonością; jest to drabina Jakuba gubiąca się w niebieskich obłokach i każdy szczebel, po którym wstępujesz, odkrywa ci blask promienniejszy u szczytu. Ci, co pozostali na dole, słabe tylko mają wyobrażenie tego, co stojący wyżej spostrzegają jasno. I nie pojmują i odmawiają im wiary; bo są rozliczne sposoby wstępowania na te szczeble święte; jedni leniwo i z trudem rękami i nogami wdrapują się na nie, drudzy mają skrzydła i lekkim się lotem wzbijają do góry.

Albertus.

Zawsze ta twoje przenośnie! Chcesz powiedzieć, że wy artyści jesteście lotne gołębice, a my loicy objuczone wielbłądy. Jeżeli tedy rodzaj ludzki składa się z pospolitych istot, a poeci tylko cieszą się widzeniem boga:

niech go więc nam objawiają, ale tak, żebyśmy ich zrozumieć mogli.

H a n s.

Objawiają wam to oni przez wszystkie głosy poezyi i sztuki, ale im lepiej wam tłumaczą, tem mniej ich pojmujecie, gdyż zatykacie uszy upornie. Wzbili się oni do nieba, słyszeli hymny aniołów, powiadają to wam jak mogą, lecz ich wyrażenia przechowują zawsze w sobie coś wzniosłego, co się wam tajemniczem wydaje, ponieważ wasz organizm wzbraunia się wystąpić z granic przekonalnego dowodu. Ulepszcie więc ten niedoskonały organizm baczną uwagą nad dziełami sztuki, zgłębieniem sztuki, a nadewszystko przyczynieniem się do rozwinięcia i tryumfu sztuk i poezyi. Filozofija zyska na tem, gdyż powtarzam raz jeszcze, jest ona zarazem córką i matką poezyi, i gdybyś się nie był zaznajomił z arcydziełami starożytnego snycerstwa, nigdybyś nie potrafił pojąć, jak należy, Platona.

A l b e r t u s.

Bo to w istocie są arcydzieła, nikt temu nie zaprzeczy, każdy więc piękne ocenić potrafi.

H a n s.

Patrzałeś na nie, nie rozumiejąc ich dobrze, lecz gdy ich doskonałość uświęcona już była podziwem minionych wieków, nie uzbroiłeś się przeciwko wrodzonemu instynktowi, co i tobie ową doskonałość objawił. Jednakże w wiekach najmniej w gieniusze płodnych zdarzają się ludzie, zdolni byźdź następcami Fidyasza, świat się na nich nie poznaje i obojętnością przytłacza, a to dlatego, że rzuceno tylko okiem na dzieła Fidyasza, nie uznając potrzeby głębszego ich zbadania. Otóż mistrzu! rozdzielaoze nagród i odznaczeń, przez monarchów utworzonych, z natury i wychowania są nieprzyjaciółmi pięknego. Powinnością tedy

loika byź by powinno, wszędzie wyszukiwać piękne, odgrzebywać je, ogłaszać, uwieńczać. Przemijając je zaś obojętnie, wyrządzacie ludziom podobną krzywdę, jak gdybyście dozwolili na upadek jakiego umiejętności pomnika. Wszystkich ludzi pożera pragnienie piękna i dusza ich z tego źródła życia pić musi, by życie swoje zachować; organizm ludzki jest różnorodny, jeden umysłem goni za ideałem, drugi sercem, inny znowu zmysłami. Jeżeli chcecie, by się organizm ludzki udoskonił i, osiągnąwszy wspaniałą równowagę, razem przez umysł, serce i zmysły ideał pojmować był zdolny: żadnej z tych władz nie przytłumiacie, gdyż wszystkich ludzi jednakimi środkami do prawdy doprowadzić nie można. Tym, którzy piękność idealną zmysłami tylko pojmować umieją, stawcie za środek przeciw rozpucie świętą nagość Wenerę z Miletu. Poznajcie błąd wasz, moraliseci! co ze strachem odwracacie wzrok wasz od materyalnej piękności, jako od ubliżającego wstydlivosti przedmiotu, zdolnego zmysły rozdrażnić. Gdybyście rozumieli sztukę, wiedzielibyście, że piękne jest czyste, bo jest boskością. Wyobraźnia oddala się od ziemi i ku niebiosom ulata, patrząc na utwor niebieskiego natchnienia, gdyż ten uwór jest ideałem.

Albertus.

Mój synu! wyobrażenia twoje pod tym względem zdają mi się byź godne rozwagi. W istocie, ci, którzy się oddają śledzeniu ideału, powinni wszelkimi sposobami pracować nad udoskonaleniem organizmu swego; może niedoskonałość mego pod względem sztuki naprowadzała mię dotąd na fałszywy sąd o wielu rzeczach.—Ale godzina nauki wybiła, wszyscy uczniowie zejść się musieli, nie każmy im czekać. Chętnie inną razą odnowię naszą rozmowę. Nie dla mnie nie masz miłszego, jak gdy pro-

stują moje mniemania ci, których wszystkiego chciał-
bym nauczyć.

H a n s, ściskając go i biorąc pod rękę.

Wyborny mistrz, dusza prawdziwie wielka!

(Wilhelm i Karol idą za nimi)

W i l h e l m.

Jaka dobroć i jaka prostota!

K a r l.

Czasami nie lada oryginał. Ale nie można nieko-
chać go z całego serca.

S c e n a V.

H e l e n a.

Odeszli. Poukładam książki i papiery mego dobre-
go mistrza. O boże! Jakżeś szlachetnym mię przyjacielem
obdarzył!—Czemuż nie mogę go być godna! Chciała-
bym dla zawdzięczenia starań jego czynić wszystko, co
mu się podoba, i zadowolnić skromną jego miłość własną,
którą w nauczaniu mnie położył. Najdroższem jest jego
życzeniem widzieć mię uczoną; ale niestety! umysł mój
tak ograniczony a pamięć tak słaba, że nie mogę zrobić
żadnego postępu. Ach! ta długa choroba wycieńczyła
biedną moją głowę. Jakże upadam na duchu za dotknię-
ciem tych ksiąg grubych! Sama woń zbutwiałego ich par-
gaminu w mdłości mię wprawia, a wszystkie te głoski
natasowane i ścięśnione z zastraszającą symetrią sprawia-
ją mi zawrót głowy—pocziwy mistrz! łagodność jego i
cierpliwość żal mój i wstyd zwiększają. Widzę dobrze,
jak go to martwi, że mu tak mało przynoszę zaszczytu, a
nigdy najmniejszej niechęci nie okaże. Wczoraj jeszcze
przedmiotowość wzięłam za podmiotowość, a tej nocy usnę-
łam nad określeniem absolutu. Śniło mi się, że byłam na
pięknej łące i patrzyłam na płynący strumyk. Zdawało

mi się, że widziałam wypisane słowa jego na dnie przejrzystego łoża i czytałam tam mnóstwo pięknych rzeczy jakby w książce. Obiecywałam sobie, powtórzyc to wszystko mistrzowi, i myślałam, że będzie kontent ze mnie. Lecz gdy się przebudziłam, nie już nie mogłam spać, jak tylko żem widziała czyste i błękitne niebo w wodzie biegnącej i przejrzystej. — Mój boże! czemuż mi dał objęcie tak pospolite? Mistrz Albertus powiada codziennie: Jutro lepiej pójdzie; ale jutro nadchodzi nie więcej warte jak wczoraj... teraz chcę się sumiennie zająć moją lekcją. (Zasiada za stołem mistrza i otwiera książkę). Spróbuję na pamięć się nauczyć, bo nie rozumię nic a nic. — Gdy mi sam tłumaczy, pojmuję wtedy, ale te stare szpargaly mię zabijają. — Co za dzikie słowa!... Ach słowik!... (Biegnie do okna) Nie, to czeczotka, o! jaki świeży, miły głosik! Biedna mała! nikt ciebie nie uczył a więcej umiesz odemnie... (Upuszcza książkę). Jak już słońce grzeje... Wpływa tu potokiem złotego pyłku... Wielka chęć mię zbiera uszczknąć piękny bukiet dla ozdobienia nim gabinetu mistrza. Powie: Jaktó? pamiętałaś o mnie kochane dziecię!... Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo kocha się w kwiatach; zaledwie spojrzy na nie mówiąc: Bardzo piękne; a przecież dziwno mu, gdy się wpatruję tak długo w gałązkę konwalii. — O! nie będę mu nasuwać kwiatów na oczy, gdyż wczoraj już wspominał, że się postara o nauczyciela botaniki... Ach boże! gdyby mi przeszło wymawiać imiona wasze po grecku i po łacinie, przestałabym może was kochać biedne moje kwiatki!... O słońce! Ach, jakże to miło! I wietrzyk ranny!... A! dzień dobry jaskuńeczko! Nie bój się, lep swoje gniazdko przy oknie. Mój boże! jeżeli cię to zastrasza, nie będę patrzeć na ciebie... Jakież ładne male masz nóżki! — Muszę jednak zamknąć okno i za-

puścić zasłonę, gdyż mistrz Albertus nie bardzo lubi blask w swoim pokoju. Tak już zużył biedne swoje oczy czuwając po całych nocach!... Przecież żał mi, że słońce widać się już nie będzie po półkach księgozbioru. Będę się teraz przypatrywać lutni, ale się jej nie tknę. Było to nieszczęście mego ojca gniewać się, jak tylko zbliżyłam się do niej. Biedny ojciec!... To mi wiele rzeczy przypomina, chociaż nie wyrażnie... i takie smutne rzeczy!... nie chcę pamiętać o nich. (Ociera łzę. Mefistofeles wchodzi w postaci starego żyda).

S c e n a VI.

Mefistofeles, Helena.

M e f i s t o f e l e s na stronie.

Prędko, żwawo! Starajmy się ją rozerwać; gdyż jak tylko dotknie się lutni, już dla nas zgubiona. (Głośno) Przepraszam piękna panno! że tu wchodzę bez pozwolenia. Myślałem, że zastanę mistrza Albertusa.

H e l e n a na stronie.

Jaki szkaradny starzec!... (głośno). Co pan rozkazesz? Mistrz Albertus jest w szkole.

M e f i s t o f e l e s.

Nie poznajesz mnie kochana panienko? Miałem zaszczyt widywania cię często, kiedyś jeszcze była mała; byłem w bardzo przyjaznych stosunkach z szanownym ojcem twoim. Nie słyszałaś kiedy od niego o Jonaszu Taer?

H e l e n a.

Tak, przypominam sobie, wiele miał interesów z panem, pan podobno jesteś tandeciarzem?

M e f i s t o f e l e s.

Tak właśnie. Widzę, że pani tyle pamięci ile wdzięków i piękności posiadasz.

Helena.

Nie mam upodobania w pochwałach i upewniam, że pamięć moja wcale nie zasługuje na nie.

Mefistofeles.

Założyłbym się jednak, że przypominasz sobie ostatni fortepian, który sprowadziłem dla szanownego papy.

Helena.

Tak jest, niestety. Zaledwie na nim grać zaczęłam, zachorowałam przy końcu trzeciej lekcji, a ojciec wynieść go kazał z mego pokoju i oddalił nauczyciela muzyki.

Mefistofeles.

I dobrze zrobił. Osobę tak delikatną muzyka byłaby zabiła. Ale racz posłuchać przyczyny, która mię tu sprowadza, mam zaproponować jeden interes.

Helena.

Mnie? proszę tu przyjsć, jak mistrz Albertus wróci. On jest opiekunem moim.

Mefistofeles.

Wolę raczej z tobą pomówić, gdyż to ciebie się tylko tycze. Chciałbym nabydź twoją spuściznę.

Helena.

Żartujesz pan. Niemam żadnej spuścizny. Mój biedny ojciec umarł zrujnowany. Wszystkie jego długi są spłacone a mnie nic niepozostało.

Mefistofeles.

To bardzo nieszczęśliwie.

Helena.

O! Upewniam, że mi to wszystko jedno.

Mefistofeles.

Ale ja tak powiedzieć nie mogę. Bardzom został skrzywdzony w tem bankructwie.

Helena.

Nie było bankructwa mój panie! Ojciec zostawił czem zapłacić wszystko, co był winien.

Mefistofeles.

W takim razie twój opiekun raczy mi wyliczyć mały dłużek 5000 złotych reńskich, na które rewers mam tu oto z sobą.

Helena.

O boże! Jako uczynić? mnie nic już nie zostało! Zostaw mi pan czas, będę pracować.

Mefistofeles. |

Pracować! A cóż umiesz robić moje piękne dziecko?

Helena.

Niestety! nic nie wiem; ale się nauczę, będę mieć odwagę. O! teraz czuję całą cenę wychowania!

Mefistofeles przedrzeźniając.

Nauczysz się filozofii... he? Wiesz, co się zyskuje z filozofii? reumatyzmy i utratę wzroku.

Helena.

Mości pani! okrutny jesteś!

Mefistofeles.

Nie tyle, jak ci się zdaje moje dziecko! gdyż przychodzę, jak już mówiłem, zaproponować ci jeden układ. Posiadasz dziedzictwo inne jeszcze prócz twoich pięknych oczu i buzi, które mogą się stać dosyć pięknym fundusikiem handlowym...

Helena.

Mości pani! proszę mnie uwolnić od swoich żartów. Nie jestem wesola.

Mefistofeles.

Za cóż się gniewasz? Będąc tak ładną, możesz znaleźć bogatego męża. Ale przystąpmy do rzeczy; oprócz twojej piękności i siedmnastu latek posiadasz jeszcze lutię Adelsfrejta; jestto szacowny instrument, chociaż w bardzo lichym stanie. Wyporządziwszy należycie spodzie-

wam się go sprzedać przynajmniej za 6000 złotych reńskich. Daj mi go, a podrę rewers twego ojca i jeszcze ci zaliczę 1000 złr. na twoje ubranie, które jest więcej aniżeli skromne, jak widzę.

Helena.

Lutnia! sprzedać lutnię! O! to niepodobna! Mój ojciec cenił ją więcej, jak życie. Jest to jedyna rzecz, co mi po nim pozostała. Pan niewiesz, że on o tym instrumencie miał właściwe sobie wyobrażenie. Mniemał, że to jest talizman i że szczęście przynosi.

Mefistofeles.

Co przecie nie przeszkodziło mu zostać zrujnowanym i umrzeć z zgryzoty.

Helena.

Zalecał mi niemal sto razy, nie rozłączać się z nim nigdy, cokolwiekby zdarzyć się mogło.

Mefistofeles.

Tak mu chodziło o ten instrument, że jak tylko chciała się go dotknąć, wpadał w gniew niesłychany.

Helena.

To prawda.

Mefistofeles.

A raz ciekawość nad posłuszeństwem przemogła i odważyła się go dotknąć.

Helena.

O! nasuwasz mi wspomnienia już zatarte, co mię jak zgryzota sumienia dręczyły. Lutnia wydała dźwięk straszliwy... Zdaje mi się, że słyszę go jeszcze.

Mefistofeles.

A twój ojciec w tej chwili wszedł do pokoju z groźnym giestem i wściekłym spojrzeniem.

Helena.

Ja zaś upadłam zemdlnona, i od tego czasu chorowałam długo i niebezpiecznie, jak mi powiadano.

Mefistofeles.

Dostałaś pomieszania zmysłów.

Helena.

Pomieszania! O! cóżes wyrzekł! Pomieszania zmysłów? Ależ to okropnie! Nigdy mi nie mówiono, że miałam pomieszanie zmysłów!

Mefistofeles.

Przepraszam bardzo, jeźlim uchybił grzeczności; ale nic w tem nie ma dziwnego. Ojciec twój był także szalony.

Helena.

To nie prawda, jesteś zły człowiek i kłamca.

Mefistofeles.

Zapytaj mistrza Albertusa, Wilhelma, któremu odmówiłaś swej ręki, Hansa, który się tobie zaleca... Karla, który może nic nie podoba się tobie.

Helena.

Mości panie! jesteś zuchwalcem,

Mefistofeles.

Nie gniewajmy się. Twój ojciec rozsądny we wszystkim jedną miał tylko maniję pod względem przodka swego Adelfrejta, którego mniemał być czarodziejem, i pod względem swej lutni, którą miał za zaczarowaną; koniec końców, tak cię przestraszył schodząc niespodzianie, gdyś brząkała po strunach biednego instrumentu, żeś dostała zapalenia mózgu. Już to jest właściwe tej chorobie, powtarzać się za każdym zdarzeniem, które ją pierwszy raz sprowadziło. I dla tego mistrz Albertus nie pozwala ci dotykać się lutni. Gdyby był przezorniejszy, ukryłby ją zupełnie, gdyż niechby ci tylko przyszła fantazyja dotknąć się jej raz jeszcze, już na całe życie zostałabyś szaloną, co dla niego niebyłoby dogodnie, gdyż nie mogłabyś pójść za mąż i zostałabyś mu na karku. Poczciwiec nie jest bogaty. Tak z braku pieniędzy jak przez miłość

filozofi musi nosić suknie nieco zszarżane, a jego strawa taka chuda jak jego osoba.

Helena (odbiegając od lutni z przestrawem).

O, tak! Albertus wszystkiego sobie odmawia a mnie nie braknie na niczem. Święta prawda. — Jak mogłam niepomyśleć dotąd, że musi tak wiele na mnie wydawać! Ach, ja o niczem nie myślę! O tak! pójdę za kogobądź, bylem go co prędzej uwolniła od siebie.

Mefistofeles.

Ja radzę ci, żebyś wybrała Karla. Jest on najkształtniejszy, najbogatszy, najmniej nudny z nich trzech. Ale to do mnie nie należy, powiesz; zresztą twój opiekun tyle cię kocha, że gotów sam się z tobą ożenić, chociaż mógłby być twoim ojcem; prawda, że na wypadek, gdyby miał dzieci, musiałby żyć z jałmużny... Ale kiedy się kocha, wszystko wtedy jest poezją i szczęściem, nieprawdaż?

Helena.

Co tylko powiesz, jak żółć gorzkie. Wolałabym sama żebrać, jak bydz przyczyną niedostatku szanownego mego przyjaciela.

Mefistofeles.

Przecież musi się trochę oszczędzić, gdyż potrzebuję moich pieniędzy. Jutro odjeżdżam do Wenecyi, a dzisiaj muszę mój dług odebrać. Nie chcesz sprzedać mi lutnię?

Helena.

Mój boże! mój boże!

Mefistofeles.

Nie chcesz się jej pozbywać? masz słusność. O! nie-przymuszaj się wiele, jest jeszcze czem mnie zapłacić sprzęty są wcale nie złe.

Helena.

Ależ tu mego nic nie ma, nie masz prawa zabierać sprzęty mego opiekuna.

Mefistofeles.

Ale mam prawo wtrącić cię do więzienia. A gdy twój opiekun nie zechce na to zezwolić a pieniędzy nie ma, będzie musiał przystać na sprzedaż swoich sprzętów i rzeczy. Ba, oto jeszcze i płaszcz porządny zawieszony na ścianie. Filozof nie powinien lękać się zimna. A łóżko, to rozkosznik doprawdy, siennik dość dla stoika.

Helena (rzucając się na kolana).

O, nie obdzieraj go, oszczędź mu cierpienia! On już nie młody, często zapada, aż nadto wszystkiego sobie odmawia, każ mię zabrać do więzienia, ale tak, żeby on o tem nie wiedział!....

Mefistofeles.

Cóż mi ztąd za korzyść, że będziesz w więzieniu? jedną tylko upatruję, to jest, by mię twój opiekun spłacił... Przyszłę mu mego woźnego, niema do stracenia czasu... Dziesięć podobnych interesów dzisiaj mnie czeka —

Helena.

O, panie! wstrzymaj się, aż mistrz Albertus wróci — Powiem mu, by ci sprzedał lutnię.

Mefistofeles.

On nie zezwoli na to. Twój ojciec jako zakład spowierzył ją jemu. Ona jest całym twoim majątkiem, przedziej ostatnią koszulę sprzeda. I ja na jego miejscu zrobiłbym to samo, kiedy się jest opiekunem takiej ładnej ósóbki...

Helena (powstając).

Milcz nieszczęśliwy i zabieraj lutnię! Jest twoją. Od-daj mi bilet mego ojca.

Mefistofeles.

Zaraz! Sam brać lutni nie chcę; myślałabyś, że wielki zysk mnie czeka.

Helena.

Co mię to ma obchodzić! Zyskaj, wiele możesz; a gdy mi się z nią rozłączyć trzeba, zabieraj natychmiast.

Mefistofeles na stronie.

Niech lichy porwie urok! Niewolno mi jej samemu się dotknąć. Jedna z mych ofiar musi ją zabrać. (Głośno) Nie, moja panno! ja tak interesów nie robię. Chodzi mi o honor. Osoby życzące sobie nabyć lutnię są ztąd o parę kroków, pobiegnę je przywołać i dobiją targu przy tobie. Pomyśl, że jeżeli zostanie co od mojej należytości, będziesz mogła to użyć na ulżenie nędzy mistrza Albertusa (wychodzi).

Helena (sama).

Ma słuszność. Jakimże to sposobem się dzieje, że człowiek tak prosty i chciwy przechował jeszcze jakiś rodzaj delikatności? Szalona!... Ja byłam szalona!... Może jeszcze nią jestem. O tak! dla tego to nic się niemogę nauczyć, jestem prosta i ograniczona jak dziecię. Dla tego także nikogo nie mogę pokochać i zdecydować się pójść za męża. Zresztą, jeżeli jestem szalona, dobrze robię, że niechcę jak jaka kaleka być ciężarem mężowi. I nie powinnam być matką, bo szaleństwo jest dziedziczne... Ależ znowu będę ciężarem dla mistrza Albertusa!... I jakim jeszcze!... O! zbyt wspaniały przyjacielu! Ach! ja nieszczęśliwa!... Zabiję się..potrzeba... Ach! ten szkaradny żyd wyświecił mi wszystkie moje nieszczęścia.

S c e n a VII.

Mefistofeles, Kapelmistrz, Poeta, Malarz, Krytyk, Helena.

Mefistofeles na stronie, wchodząc.

No moje zuchy! jeżeli wy niepołamiecie lutni, nie rozszarpiecie jej na kawaly, nie zmiesiecie w błocie, to chyba nie znam się na ludziach. (Głośno i kłaniając się aż do ziemi) Wnijdźcie szlachetni panowie! Tędy, dostojni mistrze! Niech wasze miłości raczą rzucić okiem na ten cud sztuki, niezapominając przecież (wskazuje na Helenę zniżając głos) spojrzeć mimochodem i na ten cud natury.

Helena (na stronie).

Ach! jakie niemile postacie! I w ich ręce ma przejść skarb mojego ojca?! Przynajmniej nie będę przy targu, kosztowałoby to mnie zbyt wiele (wychodzi).

Kapelmistrz.

Wymagam przedewszystkiem spróbować ten nieporównany instrument. Powiadają, że tak precudowne wydaje tony. Zamyślam go umieścić w orkiestrze Npana. Jużem nawet umyślnie ułożył solo na ten cel w mojej symfonii.

Malarz.

Lękam, się czy cię nie oszukano w tym względzie. Mnie powiadano, że nikt jeszcze nie słyszał głosu tej lutni, gdyż właściciel nikomu dotknąć się jej nawet nie pozwala. Ale mój przyjaciel Lotenwald wspominał o figurach z słoniowej kości zdobiących instrument, a które są najpiękniejszymi wizerunkami Syren, jakie widział kiedykolwiek.

Poeta.

Lotenwald znawca! Co się mnie tycze, zamyślam włożyć w rymy fantastyczną legendę przywiązaną do

lutni Adelsfrejta; powiadają mości Jonatasz! że sam tylko znasz jej treść prawdziwą. Ma to być arcyciekawie podanie, którego nieboszczyk lutnista Mejnaker udzielał jedynie najlepszym swym przyjaciołom, i to pod pieczęcią nienaruszonej tajemnicy. Spodziewałem się w charakterze dworskiego poety dosyć znajdować prawa do jego poważania, by mi tę tajemniczą historję powierzył, ale odmówił stanowczo.

M a l a r z.

Ponieważ zamyslałeś pod pieczęcią nienaruszonej tajemnicy opowiedzieć ją publiczności!... Ja mniejbym był wymagającym. Żądałbym tylko odwzorować figurki, ażeby przyozdobić niemi ramy portretów pewnej rodziny. JMci podobałby się ten wynalazek, gdyż szczególnie lubi ramy obrazów; można powiedzieć nawet, że nad same obrazy raczy je przenosić. Także też najwięcej dbam o nie w wyborze malowideł, z których mi polecił ułożyć swoją galeryę.

K a p e l m i s t r z.

Niewczesny żartownisiu! zamilczże, zamilcz. Co za potrzeba, żeby JMóść znał sztuki? byle tylko opiekował się niemi.

Mefistofeles, ukazując im lutnię na podstawie.

Oto ów nieporównany instrument, panowie! Nieoszukano was, jak sami widzicie, równego jemu niema na świecie.

K a p e l m i s t r z.

Ach! Czyto to tylko? Czego innego się spodziewałem.

M a l a r z.

Przepraszam bardzo p. Jonatasz! ale się znam cokolwiek na instrumentach; to nie jest prawdziwy Adelsfrejt.

Mefistofeles.

Jako! racz pan tylko spojrzeć uważniej, a wyczytasz

wypisane wszystkimi głoskami imię sławnego lutnisty i datę... datę autentyczną, dzień śmierci jego.

Malarz.

A godło, o którym mi mówiono?

Mefistofeles.

Oto jest nasypywane srebrem na hebanie deki.

Kapelmistrz.

Są to litery do niepostrzeżenia.

Krytyk.

Oho! wyczytam je od razu. Mam wzrok ostrowidza. Sluchajcie, sluchajcie!

Kto mię przechowa dziewiczo,

Bogactw jego nieprzeliczą;

Pod czyją dłonią przemówię,

Mądrość będzie w jego słowie.

A ktokolwiek gwałt mi zada,

Szaleństwo temu i biada;

A kto mię zniszczy rozbiciem,

Niechaj pożegna się z życiem.

Poeta.

Basta! Wcale nie mocno!

Malarz.

Ho! ho! Jak widzę miejscowa to barwa w tych wierszach. Ale szczerze wyznajcie, co myślicie o wydłutowanych figurkach?

Poeta.

Przewyborne! Cudowne!

Kapelmistrz.

A ozdoby? Jaki smak wykwintny! jaka delikatność w tych gierlandach kwiatów! jaka świeżość liści! A co za wysmukłe, powabne arabeski! To istny klejnot!

Dodatek do Biblioteki Polskiej.

M a l a r z.

Otóż przykro mi, że niemogę podzielać waszego za-
pału. Wszystko to jest ladajakie, wymuszone, lichego
smaku, istne rokoko! Coś lepszego dzisiaj potratimy.

K r y t y k.

Wątpię bardzo. Dzisiejsze wasze twory nie wiele
warte, a to jest arcydzieło.

M a l a r z.

Podziwiasz je z dobrej chęci. Umarli nie wzbudzają
zawiści.

P o e t a.

Ach mój kochany! nikt nie zaprzeczy, że wasza sztu-
ka chyli się do upadku.

M a l a r z.

Słowo daję, od dziesięciu lat nie czytałem nic lepszego
od tego napisu na lutni.

K a p e l m i s t r z.

Nie zły wcale; ułożę go na nutę muzyczną, ale broń
boże! nie będę akompaniować na instrumencie podobnego
rodzaju. Szkaradnie jest sklejony, a dzisiejsza muzyka
zanadto uczona, zanadto rozległa, zanadto trudna, ażeby
na takim partactwie wykonaną być mogła.

K r y t y k.

Muzyka, malarstwo i poezja w wspólnej pogrzebane
trunnie kochani przyjaciele! Jedna tylko teraz istnieje
potęga, a tą jest krytyka.

M a l a r z.

I na cóżby była przydatna? czem by rządziła ta
potęga? Jeżeli nie masz sztuki, to i krytykować co niema
i krytyka może się wyciągnąć na naszym grobowcu jak
pies na nogach swego pana. No, bez żartu, do czego
ona dziś służy?

K r y t y k.

Do pisania nagrobków.

M a l a r z.

To się ma znaczyć, że wypełniasz rzemiosło grobarza. Mniejsza z tem, kochany przyjacielu! Narzucaj do woli kwiatów na mój grobowiec, słyszałem nieraz, że wyroki krytyki przynoszą szczęście artystom. Tymczasem zrób mi tę grzeczność i potrzyмай lutnię... O, tak... dobrze! Pospieszę zdjąć szkic z figurek, zanim wy z żydem dobijecie targu, bo kupować wcale nie myślę.

K r y t y k.

Chcesz je odwzorować jakkolwiek są liche? Coto za dobrzy ci nowoczesni, że chce się im od starożytnych zażyczać, gdy o tyle są wyżsi nad ten rodzaj ladajaki i rokoko!

M e f i s t o f e l e s na stronie

Nie będę się spieszyć z dobijaniem targu; niech się trochę rozdrażnią w rozmowie. Za dziesięć minut już się pokłóca. Gdyby mogli rozbić lutnię, nim ztąd wyjdą, byłoby najprzedziej i najlepiej.

M a l a r z.

Trzymaj ciągle... trochę na prawo, dobrze.

K r y t y k.

Owa głowa Muzy na samym wierzchu, ku której dwie Syreny nachylają się z takim wdziękiem, godna jest starożytności.

K a p e l m i s t r z.

Czy to Polihymnia, czy ś. Cecylija?

P o e t a.

Jestto Erato, lutnia jest raczej godłem poezyi aniżeli muzyki.

K a p e l m i s t r z.

Szczególniejsze uwidzenie! Spróbuj, czyli instrument będzie przygrywać, gdy będziesz wiersze wygłaszał. Niezadźwięczalaby nawet drumla od wszystkich twoich sonetów, mój przyjacielu!

P o e t a.

Lutnia u starożytnych była tylko dodatkiem, akompaniamentem do deklamacyi, środkiem utrzymania głosu w należytej mierze..... Naprzykład, słuchaj.....

K a p e l m i s t r z śmiejąc się.

Ha, ha, ha! Myślisz grać na lutni?

P o e t a.

Czemuż nie? Chodzi tylko o to, by znać gamę i iść w ślad za rymem. Słuchajcie!

M e f i s t o f e l e s na stronie.

O lutnio, zbliża się twój koniec!

(Poeta wygłasza wiersze uderzając w struny lutni, która nie wydaje żadnego głosu).

M e f i s t o f e l e s.

Niech licho porwie krnąbrnego ducha, co nie chce przemówić!

K r y t y k pocichu do malarza.

To jedno z jęgo najlepszych.

P o e t a.

No! I cóż wy na to?

K a p e l m i s t r z.

Wiersze są piękne.

P o e t a.

Ale akompaniament? Pewnie myśleliście, że go nie potrafię!

K a p e l m i s t r z.

Jako akompaniament?

M a l a r z.

Z wielkim wdziękiem przebierałeś palcami!

K a p e l m i s t r z do krytyka.

Czyś słyszał akompaniament?

K r y t y k.

Jegomość akompaniował sobie pięknymi ruchami, bardzo szlachetnym układem postawy, znaczącym wyrazem twarzy.

Poeta.

Napróżno pan usiłujesz uczynić mię śmiesznym. Jam nie muzyk, wznioślejszy mój zawód. Jeżlim wydobyl z tej lutni harmonijne dźwięki, cały ztąd zaszczyt należy zręcznemu fabrykantowi, który ją utworzył.

Kapelmistrz.

Widzę przyjacielu! że naszym kosztem chcesz się zabawić. Daję ci słowo honoru, żeś żadnego a żadnego dźwięku nie wydobyl z tego instrumentu.

Poeta.

Pokazuje się, że i z ciebie także żartowniś, lub głuchy — Kapelmistrz głuchy! To nam tłómaczy twoje symfonije!

Krytyk do kapelmistrza.

Nie sprzeciwiaj się jegomości; jest to najpiękniejszy przywilej poezyi, słyszeć w ciemności i ciszy.

Malarz ciągle rysuje.

Co się mnie tycze, takem był zachwycony jego wierszami, zem akompaniamentu nie słyszał.

Poeta.

Nie potrzebuję waszych pochwał; chcę tylko wam dowieść piękność dźwięków, jakie wydobylem z tej lutni. Słuchajcie! Znaćcież co czysciejszego, silniejszego od tego akordu?

(Trąca palcami w lutnię, która pozostaje nicma.)

Kapelmistrz.

I cóż?

Malarz.

Czyście co słyszeli?

Krytyk.

Nic a nic.

Poeta.

Niewczesne żarty stroicie! Szalony jestem, że na to uważam! Będę przygrywać dla siebie samego. (Prze-

biera palcami mówiąc:) Jaka pełność tonów! jaka harmonija niebieska! — Dziwnie to przecież! Dźwięki wydobywają się same i jakby cudem brzmia pod palcami mojemu! Słuchajcie, jaka w mojej grze czystość, jaka lekkość w dotknięciu, jaka potęga w tych szczytnych akordach! O poezyjo, królowo wszechświata! tobie zawdzięczam ten talent mnie samemu nieznany, który dotąd za podrzędny miałem a który potęgą gieniusza mego aż pod nieba się wzbija! — Stoicie milczący, zdumieni, zgębieni grą moją! Nędzni rękodzielnicy, wamby dziesięć lat mozołu potrzeba do miernego grania na wiejskiej fujarce. A ja, com się nigdy muzyki nie uczył, nie znam przepisów sztuki ani mechanizmu jakiegobądź muzycznego narzędzia, bez wysileń, bez namysłu, bez starań, wystawiam na widok skarby mojej duszy, mimowoli prawie wylewam potoki harmonii, widzę, jak się wszystko dokoła mnie żywia; bujają te kolumny, poruszają malowidła i roztwiera się sklepienie, by hymn chwały, co się wydobywał z mego łona, swobodnie się wzbijał do błękitu!...

(Lutnia nie przestaje milczeć).

K a p e l m i s t r z .

Co za szkoda! Nasz biedny przyjaciel oszalał!

K r y t y k z szyderstwem.

Zdaje mi się, że ten pan nie jest szaleńszy jak zwykle.

M a l a r z śmiejąc się do rozpuku i rozwalając się w krzesło.

Umieram, ginę; nigdy nie widziałem nic tak pociesznego!

P o e t a .

Wy to wzbudzacie moją litość i ironiję! Zawiść wasza przeciera nakoniec i spostrzegam, że w chwili, gdy się ukazuje moc moja, nienawiść wasza powściągnąć się dłużej nie może. Byliście zawsze moimi wrogami, wiem o tem; a jeżeli pochlebstw waszych słuchał cierpliwie, to

dla tego, że moja pogarda zasłaniała was przed oburzeniem mojem! Ale czas już, hym wyszedł z tej atmosfery nieczystej. Oddalam się od was, idę świat sławą moją napelnić, i jak boski Orfeusz nieść ludziom dobrodziejstwa oświaty w języku świętym, którego tajemnicę bogom wykradłem!

(Ucieka przez ogród z kapeluszem w ręku).

M e f i s t o f e l e s na stronie.

Przekleństwo na ciebie głowo malpia! Oto wziął swój kapelusz za lutnię! No, niechaj ci teraz trochę się poszarpią.

(Usuwa się na bok).

M a l a r z nie przestając zanosić się od śmiechu.

Patrzcie na niego! Patrzcie na niego, jaki teatralny! Co za wykrzywiania! Włosy rozczochrane, płaszcz wiatrem rozwiany, w ręku kapelusz jak gdyby harfa Ossiana, przewybornie! doskonale! Wyśmienita karykatura!

K a p e l m i s t r z.

Śmiejcie się! Ale on oszalał, bez żartu, oszalał! Może to napad zapalenia mózgu.

M a l a r z.

Ba! to tylko napad szalonej próżności. On już nawykły do tej choroby, pewno z niej nie umrze.

K a p e l m i s t r z.

Ale niedorzeczności robi! Patrzcie jak pozdrawia i błogosławi dokola, jak gdyby miał przed sobą lud cały na klęczkach! Oto wlaźł na ogrodową skrzynię i udrapował się jak posąg na podstawie.

K r y t y k.

Niby Apolo! Wybornie. Kapelusz doskonale wyobraża lutnię. Założyłbym się, że bierze ogon swojej peruki za ogon komety.

Kapelmistrz.

Ja w tem nic śmiesznego nie widzę. Ta lutnia jest zaczarowana.

„A kto mi gwałt zada,
„Szaleństwo jemu i biada.“

Otóż prococtwo spełnione!

Krytyk.

Nie potrzeba na to czarów, by przepowiedzieć, że szaleniec będzie robił szaleństwa, i zaręczam, że wszystkie zachody piekła nie zdołałyby ani na szczyptę przyczynić zarozumiałości człowiekowi, co taki rad z siebie.

Malarz.

Mniejsza o to! Muszę się spieszyć, bym mój szkic dokończył. Przeklęty szaleniec, co mi przeszkodził!

Kapelmistrz.

Pokąd żyd nie uważa, mam wielką ochotę lutnię rozebrać, by się jej wewnętrznemu mechanizmowi przypatrzeć — niepotrzebowałbym jej kupować.

Mefistofeles na stronie.

Dobrze, dobrze! tego mi potrzeba.

(Kapelmistrz chce brać lutnię).

Malarz.

Ach, chwilkę jeszcze, przez litość!...

Kapelmistrz.

Ale nad czemże się tak bawisz kochany malarzu! Nie zabierajże drugim czasu.

Malarz.

Co mówisz? Czy nie widzisz moje dwie Syreny? Zdaje się, że dobrze moją rzecz pojął.

Krytyk.

Żartownisiu! Twoje dwa Satyry wyglądają nie źle, ale ja wolę Syreny. Zresztą, poco malować Satyry na takim instrumencie?

M a l a r z.

Oto prawdziwy sposób krytyka Poddają mu naprzykład pod sąd jaki bohaterski poemat, a gdy w nim nic do kłóśniania nie znajdzie, zacina pióro i pisze: Jako poemat, ten, o którym mowa, zawiera zapewne kilka pięknych ustępów; ale jeżeli go będziemy uważać (jak to powinniśmy) pod względem gicometryi i nauk przyrodzonych, musimy go umieścić w rzędzie wszystkiego, co tylko może być najmierniejszem w tym rodzaju etc. etc. (do kapelmistrza) Czyż nie tak, nieprawdaż?

K a p e l m i s t r z.

O czem mówisz? o krytyce, czy o twoim rysunku?

M a l a r z.

Mniejsza o krytykę, żartuję z niej... Moje Syreny, ha...

K a p e l m i s t r z.

Twoje Satyry?

M a l a r z.

I ty także? Dobrze! Mniejsza o to, nie im zarzucać nie można.

K r y t y k.

Zachciało ci się w miejscu Syren malować Satyry; nigdy nie trzeba zbijać przywidzeń artysty, ale pocóż się ciągle wpatrujesz w tę lutnię, jak gdybyś ją chciał odwzorować? A nawet układu naśladować nie umiesz.

K a p e l m i s t r z.

W miejscu dwóch wysmukłych postaci, z takim wdziękiem nachylonych ku sobie, wymalowałeś dwa pnie niekształtne i ułożyłeś je podług planu całkiem przeciwnego wzorowi. Bydź może, że to jest oryginalnie, ale nie widzę w tem żadnego podobieństwa do lutni Adelsfrejta.

M a l a r z.

Kochany kapelmistrzu! za ciężkiś na dowcipkowanie, poprzestań na sztuce odzierania wielkich mistrzów i podawania nam za natchnienie twej Muzy niecne kradzieże

powleczone pokostem złego smaku; lekką zaś ironiję pozostaw temu panu, który jej tak dobrze używać umie, a którego potępienie dla takich jak ja ludzi jest przywilejem do nieśmiertelności. (Do krytyka) Tak mości panie! wyzywam cię i pogardzam tobą, wiesz dobrze. Patrząc na ten zarys nacechowany wielkością, której nie pojmujesz, pobladłeś z wściekłości i udajesz, że spostrzegasz śmieszności w tych znamionach wdzięku.

K r y t y k do kapelmistrza.

Znamiona wdzięku w dwóch szkaradnych Satyrach, winem opitych, z ustami głupowatym śmiechem okraszonymi!

K a p e l m i s t r z do Malarza.

Na honor, mój mistrzu! albo pomieszało ci się w głowie, albo ćmi się w oczach. Te dwie figury na końskich nogach są niegodnym cię utworem. Bądź samym sobą, otwórz oczy nakoniec, zniszcz je i nie bierz za złe mej rady.

K r y t y k.

Takie i moje zdanie.

M e f i s t o f e l e s na stronie.

No, no! teraz się poczubią!

M a l a r z w gniewie.

O tak, takie wasze zdanie. Znam was poczciwi przyjaciele! Tyleście mię już razy zdradzili, iż wiem, jak wasze rady oceniać należy. Nędzni rabusie! na talenta drugich spoglądacie z rozpaczą. Wszelka wyższość dla was nieznośna, a nawykli do służebniczego naśladownictwa krzyczycie w niebogłosość, gdy zdarzy się wam spostrzedz, że w naśladowaniu dzieła sztuki geniusz artysty swój pierwowzór przewyższył. Ale macie słusność; moje dwie Syreny niepodobne do Syren lutni, równie jak wasze utwory niepodobne do dzieł, które naśladowujecie — z tą jednak

różnicą, że psujecie niemilosierdzie, czego się tylko dotkniecie, kiedy ja nadałem cechę wzniosłości odwzorowaniu przedmiotu dosyć miernego. Syreny tej lutni są to dwie ładne dziewczyny, moje zaś są dwie boginie, próżne wasze usiłowania, świat je osądzi i zawstydzi płytką zawiść, bezrozumne zaślepienie wasze. (Wychodzi, unosząc z sobą swoją tekę.)

Kapelmistrz.

Dziwne rzeczy się dzieją. On także przez samo wpatrzenie się w lutnię w szal obłąkania zapada! Tak, spełnia się przepowiednia, szal próżności owłada pomierne talenta, co się poważają naruszyć dziewiczość talizmanu. O czarodziejska lutnio! poznaję, że moc nadprzyrodzona w tobie przebywa, a gdy przyrzekasz powodzenie i mądrość temu, pod czyją ręką przemówisz: z pełną poszanowania ufnością zbliżam się do ciebie i pochlebiam sobie, że z łona twego taką harmoniję potrafię wydobyć, iż wszystkie niebieskie czy piekielne potęgi, co przewodniczyły utworowi twemu, głosu mego słuchać będą, jakby głosu samego wielkiego Adelsfrejta.

Krytyk.

Strzeż się! co się tu stało przed oczami naszymi, w istocie na cud zakrawa i przestroga dla ciebie być powinno.

Kapelmistrz.

Wątpisz o mojej mocy?

Krytyk.

Wyznam, iż tak jest w istocie. Dosyć ci dawałem pochwał publicznie, nie jedną wyrządziłem przysługę, bym na nieco ufności z twej strony zasłużył. Poprzestań na wieńcach, które mi moja życzliwość otoczyła ci skronie, poprzestań na wziętości, jaką ci zjednało me pióro. Nad-

używałś dobrej wiary ludzi, nie igraj z duchami innego rządu.

K a p e l m i s t r z.

Nie wiem, co chcesz powiedzieć; lękam się, czy dotknięcie świętokradzką dłonią tej lutni nie pomieszało umysłu twego. Ja moją wziętość moim arcydziełom winien jestem, nie przedajnemu pióru pismaka. Wiencami szafować! gieniusz sam się uwieńcza, własną dłonią zbiera dla siebie wawrzyny i gardzi interesowanemi radami pochlebców, co dla nadania sobie ważności radziby powątpiewanie o własnej sile w nim wzbudzić.

K r y t y k podając mu lutnię.

Chcesz? Niech więc się tak stanie! Niech twoja szalona zuchwałość wyda owoc sobie właściwy i niech się spełni przeznaczenie twoje!

K a p e l m i s t r z.

Padnij na kolana służalcze!

M e f i s t o f e l s.

Ach! tą razą przecież lutnio! już po tobie.

K a p e l m i s t r z bierze lutnię i wydobywa z niej rażące i fałszywe tony.

A to dziwnie. Bez głosu! bez głosu dla mnie, równie jak dla poety!

K r y t y k.

Bez głosu! Powiadasz, że bez głosu? Oby tak było! Nie pokaleczyłbyś mi uszu!

M a l a r z wchođząc z poetą.

Co za okropne dźwięki! Ach, to ty kochany kapelmistrzu! uraczasz nas tym piekielnym koncertem?

P o e t a trzymając rozwartą tekę malarza.

Nigdy w życiu niedoznałem nic równie nieprzyjemnego nad to zgrzytanie, chyba tylko patrząc na owe potworne Satyry, co się zdają przedrwiwać z błaznowatego

oblicza Sylena umieszczonego pomiędzy nimi w miejscu zachwycającego popiersia Muzy, co się unosi nad lutnią.

Malarz.

I mówiąc to mój przyjacielu! miłośnie spoglądasz na kokardę twojego kapelusza, który uporcezywie bierzesz za lutnię Orfeja.

Kapelmistrz.

Mocy piekielne są mi przeciwne. Wzywam was o duchy niebieskie! Przybądźcie, powróćcie życie uwięzionej harmonii, niechaj ożyje pod palcami mojemu i rozleje się w niebiańskie dźwięki pod twórczem technieniem mojem. (Uderza w struny lutni, która coraz bardziej rażąco, niesforne wydaje tony, których on nie słyszy.)

Malarz.

Przestań na miłość boską! zęby nam w ustach zgrzytają.

Poeta.

Co za przeraźliwe piski! Rzekłbyś, że się koty napa-
stują po dachach, albo czarownice na miotłach odprawiają
sabat.

Kapelmistrz.

Obłąkanie twoje nie ustało jeszcze, żal mi ciebie. Co się mnie tycze, mogę powiedzieć, że jeśli lutnia nie odzywa się pod moją ręką, przynajmniej nienaruszyłem jej gwałtem, gdyż szal mnie nie napadł i nie wyobrażam sobie, że słyszę muzykę niebieską wychodzącą z niemego instrumentu.

Poeta.

Jakto, nie słyszysz zgrzytu, pisku strun tych pod palcami twojemi? Jeżeli nie jesteś szalony, toś głuchy przynajmniej, jak ci to już mówiłem. Niesłyszałeś moich niebiańskich dźwięków i niesłyszysz także przeraźliwych wrzasków, których sam jesteś sprawcą.

Malarz.

Patrzcie, patrzcie, lekcyja profesora Albertusa przerwana! uczniowie spoglądają na siebie z przestachem, a sąsiedzi patrzą na wszystkie strony, z kąd pochodzi ten hałas. Czy mam im oznajmić, że to ty występujesz z nową twoją symfonią?

Kapelmistrz.

Nie odpowiadam na obelgi szaleńca. Ależ i sam szalony jestem, gdym mógł mniemać, że ten spruchniały instrument zamyka w sobie czarodziejską potęgę. Widzę dobrze, że nic w nim cudownego nie masz, że nie wydaje dźwięku, ponieważ deka jest popękana a struny zarzdzewiałe. Wszystko to bardzo naturalne, pod ręką największego gieniuszu w świecie kawałek drewna nie zdoła przemówić, a najnaturalniejszy opór wystarcza na przewrócenie mózgu ludziom przesiąkniętym próżnością, i dla tego lutnia pozostaje bez głosu, a szaleństwo jest waszym udziałem.

Mefistofeles na stronie.

Pocynam wierzyć, że tu i samemu szatanowi nie ciężko oszaleć. Czyż miałem głowę na karku myśląc, że ci głupcy na co mi się przydać mogą? Duch lutni z nich szydzi.

K r y t y k.

Chciej pan mnie wyjąć z tej liczby. Z pogodnym sądem bezstronności zważałem usiłowania wasze w dochodzeniu na tej lutni śladu zgasłego gieniuszu ojców naszych. Widziałem poetę uporczywie poruszającego owe nieme struny w mniemaniu, że potok harmonii na nas wylewa — jestto skutek niedoleźności, połączonej z niezmierną pychą. Widziałem malarza wysiłającego się na schwycenie przynajmniej kształtu sztuki, i w miejscu sumiennego i cierpliwego wykończenia wydającego fantastyczny potwór,

w mniemaniu jego nacechowany nieokreślonym wdziękiem; to także jest skutkiem niedoleżności połączonej z ślepą próżnością. Nakoniec widziałem kompozytora na los wydającego niesforne dźwięki nieznośne fałszywością tonów. Nawykły do gardzenia melodyą i o władania zmysłów mieszanią instrumentów, których gwar za harmoniją bierze, już nawet zmysł słuchu postradał; to jest także wypływem niedoleżności nieuleczonej, z grubiańskim zarozumieniem w parze. Smutny to widok zaiste dla męża, co pewną ręką szalę krytyki piastuje, patrzeć na tyle wstydliwych ułomności, na tyle nędznych urojeń. To bolesne doświadczenie utwierdza nas w przykrem, lecz nieodwołalnym przekonaniu, że niemasz natchnienia i że ojcowie nasi wszystkie tajemnice gieniuszu do grobu z sobą unieśli, nam zaś pozostała tylko pracowita nauka, surowe i wytrwale roztrzęsanie sposobów, jakimi oni twory płodnego swego umysłu w niezkaziteln kształty zdołali przyrodzić. Pracujcie więc, o artyści! pracujcie bez przerwy i, zamiast wysilać wyuzdaną wyobraźnię waszą na wyleżenie potworów, przykładajcie się przynajmniej do utrzymania w czystych i regularnych zarysach wieczne wzory piękności i prawdy, których pokolenia zmienić nie mogą. Od czasów Homera wszelkie pokuszenie się o wynalazki posłużyło jedynie do okazania, jak się wszystko chyli do upadku. O wy, którzy cytrą i lutnią władać chcecie, uczcie się rymu i na stylu przestańcie! Styl jest wszystkim, pomysł jest niczem, ponieważ jest niepodobieństwem.

Malarz.

Otóż to wspaniała przemowa. Ale obróć się tylko, a i znajdziesz odpowiedź.

Poeta.

Ty, co się naigrawasz niekzemnie, ty nieudolny przez system, ponieważ z natury nim jesteś, ty, co nas o nie-

dolężność oskarżasz, ponieważ się spodziewasz nas zniechęcić i na równi z sobą postawić, dowiedz, żeś zdolny stworzyć cokolwiek, ukleć przynajmniej wiersz jakitaki, byś przekonał, że kształt tobie nie obcy!

M a l a r z .

Tym ołówkiem zrób jeden zarys przynajmniej.

K a p e l m i s t r z .

Choć jeden akord weź na tej lutni; zobaczymy, czy potrafisz.

K r y t y k .

Czcze dymy sławy bez woni są dla mnie. Stojący na niedostępnym szczycie bezstronności, surowemi i trwałemi uciechami żywiony, wzgardziłem znikomemi bawidłami, które wy waszem berłem, waszemi wieńcami zowiecie. Gdybym chciał tylko, i jabym się cieszył sławą ulotną, jaśniał szychowym blaskiem. Wolalem bydź waszą poradą, wsparciem, mistrzem was wszystkich! Mieście się na baczności, niesforni uczniowie! jeżeli nie będziecie słuchać mych nauk, potrafię zedrzyć z was maskę i przeszkodzę, byście dłużej wiek wasz obłąkiwali.

M a l a r z .

Jedna malczka lekcyjka malarstwa, proszę cię. Na, oto mój ołówek, narysuj rękę, nogę, nos, co ci się podoba!

P o e t a .

Wygłoś z natchnienia jedną tylko strofę, niech się dowiemy, co umiesz!

K a p e l m i s t r z .

Nie, nie, niech zagra na lutni, a jeśli potrafi, ukorzymy się przed nim.

M a l a r z i P o e t a .

Zezwalamy, zezwalamy!

K r y t y k bierze lutnię.

I ja także zezwalam okazać wam, że lepiej od was znam sztuki, którym się poświęcacie. Wyśpiewam wam aleksandryjskim wierszem rozprawę o malarstwie i akompaniować będę na lutni na sposób joński.

M a l a r z .

A to wyśmienicie, i w nowym zupełnie smaku. Słuchamy!

D w a j i n n i .

No, zaczynaj!

M e f i s t o f e l e s , na stronie.

Dobrze! Na ciebie najwięcej rachowałem.

(Krytyk opiera palce na strunach i usuwa je z bolesnym krzykiem.)

D r u d z y .

Co to jest? Co to jest?

M e f i s t o f e l e s , na stronie.

Duchu lutni, tryumf odnosisz!

K r y t y k .

Niegodziwi! nieprzestrzeżliście mię, że te struny podobne ostrzom sztyletu, poprzecinałem palce do kości. Ach! krew moja strumieniami się leje, a ból dojinujący rozchodzi się po wszystkich członkach moich. Upadam, ratujcie!

K a p e l m i s t r z .

Blednieje, krew płynie mu z rany. Widoczna kara nieba.

P o e t a .

On umrze. Sprawiedliwość boska ukazuje się nakoniec i w proch sciera wściekłość zawistnika.

M a l a r z .

Oby źródło wieczystej krwi jego wyczerpało się ze szczętem i niedało życia nowemu plemieniu polipów!

Krytyk, z wściekłością.

Szkaradni niegodziwcy! to jest podła zdrada. Zrobiliście zasadzkę, by się pozbyć mnie, waszego sędziego i mistrza. Ale niedługo cieszyć się będziecie waszym tryumfem. Nim umrę, rozbiję tę lutnię i nikt po mnie jej nie tknie. (Porywa lutnię i chce rozbić. — Hans wpada nagle i z rąk mu ją wyrывa.)

Hans.

Stój! Jesteście gośćmi złej wiary, zasługujecie, by was ztąd wypędzono. Wiadomo wam, jaką cenę mistrz Albertus przywiązuje do tej lutni, a niedość, żeście pozwolili sobie ruszać ją bez jego zezwolenia, jeszcze ją chcecie zniszczyć. Oddalcie się ztąd nędznicy, albo sciągnę na was gniew mistrza i całej szkoły. Oto się zbliżają. Wychodźcie prędzej, albo za nic nie ręczę.

(Krytyk, kapelmistrz, malarz i poeta wynoszą się z pokoju.)

Mefistofeles, na stronie.

Złośliwy żaku! Zapłacisz mi za tę twoją gorliwość. Zniknijmy prędzej, gdyż figura żyda Jonatasza nie bardzooby była mile widziana u całej tej czeredy szkolarzów.

(Wylatuje przez okno.)

S c e n a VIII.

Hans, Albertus, Helena, Karl, Wilhelm.

Albertus.

Czy to ty Hans przerywasz lekcję takim pickielnym hałasem?

Hans.

Broń boże! mnie samemu w uszach jeszcze szumi.

Karl.

Nigdy w ostatni wtorek nie slyszalem dziwaczniejszych pisków.

Wilhelm.

Powiedz raczej, że to była trąba sądu ostatniego.

Albertus.

Ale ktoś to pozwolił sobie takich żartów w moim domu? Czy to może lutnia Adelsfrejta podobnie tony wydaje?

Helena, z rodzajem obłąkania.

Dopuszczono się do lutni gwałtu, lutnia się pomściła, skarciła świętokradców. Pierwsza część przepowiedni pradziada mego Adelsfrejta spełniona. Czas nadszedł; nieprzeparła siła ciągnie mnie ku przepaści, w której mam się pograć. (Bierze lutnię z rąk Hansa.) Hans! nie tknij jej już nigdy. To jest spuścizna moja. Ludzie zowią ją szaleństwem.

Albertus.

Mój boże! Helena w obłąkaniu znowu.

Helena, z rodzajem zachwycenia, trzymając w ręku lutnię.

Lutnio! lutnio! o lutnio! jakże cię kocham!

Karl.

Co ona mówi? patrzcie jak zmieniona jej postać!

Hans.

Jej oblicze jak jutrznia zaranna, a z oczów nadziejska błogość wytryska.

Albertus.

Co ci jest młoda dziewczyno? krąg promienny skronie twe otacza!

Helena, przemawiając do lutni.

O! od jak dawna pragnę trzymać cię tak w mem ręku! A jednak wiadomo ci, że cię szanowałam, jak hostyę świętą umieszczoną pomiędzy mną a niebem!

K a r i .

Co za dziwne słowa!

H a n s .

Jakie szczytne wyrazy!

A l b e r t u s .

Heleno! Heleno! zastanów się! przysięgłaś twemu ojcu, nigdy nie tknąć tej lutni, którą miał za zaczarowaną. Wola umierających jak wyrok mądrości powinna być świętą — moja córko! strzeż się wpływu dźwięków na twój mózg schorzały.

K a r l .

Kochana Heleno! tyś chora. Nie wiem, co to wszystko ma znaczyć, ale słuchaj mistrza, jest to człowiek mądry i kochający ciebie.

H e l e n a , zwracając mowę do lutni.

Ja nie skaziłam ciebie, a dłoń moja jest czysta, wiesz o tem. Tak pragnąłem poznać cię i połączyć się z tobą! Czyż nie chcesz do mnie przemówić? nie jestem twą córką? (Do Albertusa i Karla, którzy chcą jej odebrać lutnię.) Dajcie mi pokój, ludzie! nic z wami nie mam wspólnego. Nie należę już do waszego świata. — (do lutni.) Należę do ciebie, przystajesz nakoniec na to?

H a n s do Albertusa.

O mistrzu! Zostaw ją w pokoju, zachwycenie jej szanuj. Patrz! jak ona jest piękną, oparta tak na jednym kolanie, pochyłona do ziemi! patrz, z jakim wdziękiem lutnię o drugie kolano opiera, a jej alabastrowe ramiona otoczyły instrument z miłością!

A l b e r t u s .

Młody zapaleńcze! nie wiesz, na jakie się ona niebezpieczeństwo naraża! Lękaj się o jej rozum, o życie, którym dźwięk tej lutni zagraża.

Hans.

Patrz mistrzu! to na cud zakrawa. Wstęgi opadają z jej głowy u stóp jej rozwiane. Warkocz się roztacza, jakby czarownem tknieniem dmuchnięty, i w złotych pierścieniach opada na śnieżne ramiona, jak kędziory dziecięcia porannym wietrzykiem rozwiane. Lśnią się, promienia, spływają te złote pierścienie po jej nadobnem ciele, jak wodospad olśniony promieniami słońca. O Heleno! Jakżeś teraz piękna! Ale ty mnie nie słyszysz!

Albertus.

Hans, mój synu! nie wpatruj się w nią zbyt. Są w życiu ludzkim tajemnice, przez nie nie tknięte, których istnienia nie domyślałem się przed chwilą. (Na stronie) O! ja także czuję w sobie jakoweś pomieszanie, chciałbym nie patrzeć na tę Sybilę!

Helena a jedną ręką trzymając lutnię, a drugą wznosząc do nieba).

Tajemnica się spełnia! Życie jest krótkie, ale też i pełne! Jeden tylko dzień dla człowieka, ale ten dzień jest jutrznią wieczności!

(Lutnia wspaniale dźwięki wydaje.)

Hans.

O Muzo! o piękna natchniona!

Karl.

Co za melodia niebieska! jaki hymn cudowny! Moje ucho nic podobnego nigdy nie słyszało, i ja, zazwyczaj na wrażenia tonów nie czuły, czuję, jak oczy moje łzami zachodzą a umysł sięga w nieznanne krainy.

Albertus, zniżając głos.

Zamilcz, mów cicho przynajmniej i cud rozważaj! Czy nie widzisz, że jej dłonie nie dotykają się lutni? Lewa ręka podpira tylko instrument o jej łono oparty, a jak gdyby uderzenia gorejącego jej serca, jakby tchnie-

nie boskie od niej wijące, dostatecznymi były do strun tych poruszenia bez pomocy żadnej sztuki ludzkiej: lutnia na nieznaną nutę coś dziwnego śpiewa!

H a n s .

O! tak, widzę cud jasno! Wiedziałem, że ta istota do wyższego należy świata! Pozwól mi ją słuchać mistrzu! nie skończyła jeszcze. Boże! w jakim zachwycie cała się moja istota zanurza! O, tak mistrzu! dusza jest nieśmiertelna, a po tem życiu wieczność otworzy się przed nami!

Ch ó r d u c h ó w h a r m o n i i (gdy lutnia brzmi pod ręką Heleny, a Albertus pocichu rozmawia z uczniami).

Nadszedł już czas dla ciebie, duchu, nasz bracie! którego czarodziejska władza uwięziła w wnętrzu tej lutni. Słyszeliśmy twój głos melodyjny i ulatywać będziemy do koła twego więzienia z słoniowej kości, pokąd dłoń tej dziewicy nie stanie się tak potężną, by zerwała urok i wróciła ci swobodę. Jużś przestał być na milczenie skazany, czyste używiło cię tchnieniem. Miej nadzieję, człowiek nie na wieki zatrzymać nie może, a co z nieba pochodzi, do nieba powrócić powinno.

D u c h l u t n i .

O bracia moi, o ukochane duchy! przybliżcie się, zstąpcie aż do mnie. Wyciągnijcie dłoń waszą, wyrwijcie mię z tego więzienia, bym mógł wraz z wami w czystym eterze zatoczyć koło powyżej tego poziomu, po którym ludzie pelzają. O, nie opuszczajcie mię, bracia wy moi! Cierpię, drzę, wzdycham; słuchajcie me skargi, słuchajcie lekkliwe me łkania, unieście mię na płomiennych skrzydłach waszych!

D u c h y h a r m o n i i .

Czarownik skrępował cię siedmią strunami metalu. Byś mógł wyjść z lutni, potrzeba, aby dłoń niepokalana

wszystkie siedm strun po kolei zerwała, ale to dłoń ludzka być musi. My śpiewami tylko naszymi umiłać możemy twą boleść, naszą obecnością ożywiać twoją nadzieję.

Duch lutni.

O! użalcie się nademną, pocieszcie, przemawiajcie do mnie; gdyż jestem więźniem, wzdycham i drzę i cierpię i płaczę.

Albertus.

Bolesny dźwięk tej lutni, a śpiew jej smutny niezmiernie. O Heleno! cóż się dzać może w twojej duszy, że natchnienie twoje tak jest rozdzierające?

Wilhelm.

Przed chwilą rytm był rozleglejszy, potężniejsze dźwięki, tryumfalniejsze natchnienie. Był to hymn, a teraz zdaje się być modlitwa.

Karl.

Nic zrozumieć nie mogę, ale cierpię, oderwać się z tego miejsca nie mam siły.

Duchy harmonii.

Bracie! mówić ci będziemy o twojej ojczyźnie, a doznasz pociechy. Przybywamy z krainy białego słońca, którą ludzie, uczestnicy twojej nędzy, poświęcili lutni. Słońce twoje o młody nasz bracie! zarówno jest świetne, czyste, pogodne jak w dniu owym, gdy cię moc czarodziejska strąciła pomiędzy mieszkania ludzi. Zawsze nad niem władza jednego dźwięku przewodzi, zawsze ten sam biały promień nieskończonego pryzmatu śpiewa życie naszego planety.

(Sąsiedzi przywabieni muzyką zewsząd się ściągają do ogrodu i cisną się pod drzwi gabinetu Albertusa.)

Jeden Znacza.

Oto instrument mało używany, ale nieporównanej rozległości dźwięków — zapewne jest dziełem Mejnbakaera.

Drugi Z n a w c a.

Zapewne. Ale nie zdumiewaź cię talent jego córki? Nie zdaje mi się, żeby druga taka wirtuozka znaleźć się mogła na świecie. A utrzymywała, że nie rozumie muzyki!

M i e s z c z a n i n.

Panowie, stoicie za nami, nic nie widzicie. Postąpcie się trochę, i jako znawcy wytłumaczcie nam, jakim sposobem Mejnbakerozna nie dotykając strun grać może na tym instrumencie?

Z n a w c a lornetując.

Ach! rzecz dziwna w istocie! Nie uważałem tego!

K o b i e t a.

Pachnie to czarami za katy. Wielką mam ochotę odejść ztąd czempredzej. Zawsze miałam w posadzeniu tego starego mruka Mejnbakera. Nigdy nie uczęszczał do kościoła, i w zanadto dobrych zostawał stosunkach z mistrzem Albertusem, który także....

Z n a w c a.

Uspokój się pani! Niema żadnych czarów w tym sposobie grania. Ta lutnia nie jest nic innego jak pewien rodzaj organu, który się nakreca jak zegar i gra sam bez dotknięcia, pokąd trwa długość łańcuszka.

M ł o d a d z i e w c z y n a.

Upewniam pana, że Helena gra oczami. Patrz pan, jak się mieni, to blednie, to czerwienieje, oko jej połyska lub przygasa, a muzyka w miarę tego staje się powolniejsza lub żywsza, głośniejsza lub cichsza, podług jej woli. Lękam się bardzo, czy biedna Helena nie oczarowana.

Drugi Z n a w c a.

Jakto! Czy pani nie widzisz, że to, co bierzesz za swoją przyjaciółkę Helenę, jest tylko automatem, któremu jej podobieństwo nadano? Prawda, że ma pozór Heleny,

ale to jest tylko machina, zobaczysz, jak się zatrzyma. Jej oczy są z emalii i poruszają się za pomocą sprężyny. Mieszek zaś urządzony w jej wnętrzu naśladuje oddech.

Duchy.

Dosyć już przemawialiśmy do ciebie. Teraz zajmij się oswobodzicielką twoją. Pomnij, że ona tylko urok zerwać może; do ciebie należy, oświecić ją i jej się objawić, jeżeli jej umysł wznieść się do ciebie potrafi.

Duch lutni.

Jakto! Już opuszczacie mię bracia? Cóż tu sam poczną w mojej trumnie z słoniowej kości? Cóżbym mógł powiedzieć córce śmiertelnych? Czy ona zrozumie mą mowę? O! cierpię, drzę, płaczę.

Helena przerywając i powstając z zapalem.

Przemówiłeś! Wyrzekłeś: Ja cierpię, ja płaczę! Któż więc ty jesteś?

Młoda dziewczyna, do znawcy.

Patrz, czy to automat!

Albertus.

Heleno! dosyć; lutnia przemówiła godnie, dalej nie posuwaj próby. Głos tego instrumentu za potężny jest na ucho ludzkie, miesza myśli i rozum obłąkać może.

(odbiera jej lutnię)

Helena.

Co robisz? Zostaw mi ją, zostaw!

(upada zemdlona)

Hans.

O mistrzu! Czemuż odbierasz jej lutnię? Zabijesz ją. Patrz, zdaje się być bez ducha.

Albertus.

Nie lękaj się, to przejdzie. Elektryczne wzruszenie dźwiękiem lutni zrządzone musiało to przesilenie sprowadzić. Karl, Wilhelm, wynieście ją, proszę, prędzej! Rozstąpcie się! Rozstąpcie! wynieście ją na świeże powietrze!

Helena przychodząc do siebie odpycha Wilhelma.

Niedotykać mię Wilhelmie! jam nie narzeczona twoja, i nigdy nią nie będę. Ja należę do świata, do którego ty dostać się nie możesz, chyba przez zgon lub potępienie.

Wilhelm.

O Boże! co ona mówi? Ona mię nie kocha!

Karl.

Hans dobrze powiedział.

Albertus.

Moja córko! nierozsądnie mówisz, jutro inaczej myśleć będziesz. Podaj mi twą rękę, odprowadzę cię do twego pokoju.

Helena.

Nie mistrzu! nie pójdę. Wyjdę na pola patrzeć, jak księżyc świeci nad jeziorem.

Teresa.

Nie mówisz do mistrza z uszanowaniem, jakie się mu należy; przyjdź do siebie Heleno! całe miasto słucha i patrzy na ciebie.

Helena.

Ja nie widzę i nie słyszę nikogo. Nic dla mnie nie ma na świecie. Jestem sama nazawsze.

Albertus.

Niestety! przesilenie było za nadto mocne! Rozum się jej obłąkał... Heleno, Heleno, bądź mi posłuszną! Jestem twoim ojcem. Wróć zaraz do siebie.

Helena.

Ja nie mam ojca. Jestem córką lutni, i nie znam ciebie. Oddawna już mię męczysz wskazując na umysłowe prace, przeciwne usposobieniu memu. Ale nie dla mnie wielkie słowa i wielkie rozumowania twoje. Nadszedł czas życia, jestem istotą wolną, chcę żyć wolną; bądź zdrów!...

(ucieka przez ogród)

Scena IX.*Mefistofeles, Lutnia.***M e f i s t o f e l e s .**

Duchu uporny! który w jednej chwili wolność i życie mieć odemnie mógłś, gdy wolisz przez prób siedm przechodzić i za pomocą ręki ludzkiej zwolna wydobywać się z twego więzienia: więc się do cierpień przygotuj. Dostyc jeszcze posiadam mocy nad wszystkim, co ziemskie, i potrafię pomnożyć twoje boleści, konanie twoje przeciągnąć; gardzisz moją pomocą, zamiast zamieszkać ze mną w krainach nienawiści i buntu, w krainach, do których człowiek przystępuje ze drzeniem, i z których się na niego czara nieszczęść wylewa, wolisz powrócić do niesprawiedliwego boga, co za najmniejsze przewinienie pod jarzmo człowieka ciebie oddaje! Takie myśli wleję w serce Heleny, że pożałujesz, żeś moją pomoc odrzucił.

Duch Lutni.

Helena nienależy do ciebie.

M e f i s t o f e l e s .

Ale Albertus do mnie należeć będzie.

Duch.

Niech go Bóg ma w swojej opiece!

AKT II.**STRUNY ZŁOTE.****Scena I.**

(Trawnik w ogrodzie Albertusa).

Helena rozciągniona na poduszkach śpi na świeżem powietrzu, Albertus przybliży się ostrożnie.

Albertus.

Spoczywa jeszcze... To jest jednak godzina, w której zwykła wznosić hymn swój do wschodzącego słońca... Ukryty tam pomiędzy temi krzakami lauru bez przeskody będę ją mógł widzieć i słyszeć... Gdy mniema się bydź sama, dziwniejszą melodyę wydobywa z swej lutni... O niepojęta kobieto! istoto bez równej, lub przynajmniej podobnej tobie na ziemi! Jaki tajemniczy węzeł łączy przeznaczenie twoje z przeznaczeniem owego muzycznego narzędzia? Czemuż go tak trzymasz w twoich objęciach podczas snu twego, jak matka, co się lęka, by jej nie wydarło jedyne go jej dziecięcia? Jakżeś tak piękna, nieświadoma twojej piękności! Heleno! Heleno! mój wzrok nie kazi czystego snu twego! Kształt twój jest piękny, jak mówią drudzy, ale ja nie wiem nic o tem. Jeżeli podziwiam twe czoło, twe oczy, twe długie warkocze, to dla tego, że po za tą powierzchowną oznaką, którą pięknnością fizyczną mianują, widzę pięknosć twoją duchową, niepokalaną twą duszę. Ja ducha twego ukochałem, o smętna dziewico! jego tylko chcę posiadać i poznać. By wścisłe wejść z nim stósunki, pragnę przeniknąć nieznaną mowę, przez którą się objawia... Otóż się już przebudza. Podnosi lutnię, opiera ją o swoje łono... słabe jej ręce strun się nie tknęły... a jednak struny się poruszyły, lutnia zabrzmiała... Cud, który wszelkie moje dostrzeżenia omyła!... (Ukrywa się — Lutnia brzmi wspaniale).

Duch lutni.

Przebudź się, córko śmiertelnych! oto twoje słońce wychyla się z za horyzontu ziemskiego. Ukorz ducha twego przed tym odłamkiem nieskończonego światła. Jest one jednym z nieprzeliczonych dyamentów, którymi szata boga zasiana. Stworzenie całe jest ciałem, czyli szatą bo-

ga, nieskończone jak duch jego; stworzenie jest boskie, duch jest bogiem. Córko śmiertelnych! ja jestem okruszyną boskiego ducha. Ta lutnia jest mojem ciałem; dźwięk jest boski, bogiem jest harmonija. Córko śmiertelnych! istota twoja jest boską, Bogiem miłość twoja. Bóg jest w tobie, jak promień, co cię przenika, ale nie możesz widzieć ogniska, z którego ten promień się wydobywa, gdyż słońce poznania i miłości po nieskończoności pływa. Jak jeden z tych złoconych atomów, co połyska i w ów promień wschodu się wznosi, o dziewico! należy jaśnieć i wzbijać się ku słońcu, które nie zachodzi nigdy dla duchów czystych, powołanych cieszyć się jego widokiem. — Córko śmiertelnych! oczyść serce twoje, jak szlufierz oczyszcza kryształ kopalny, ażeby blaskiem tęczowym mógł zalsnąć. Uczyni się tak przejrzystą, by promień nieskończoności mógł cię na wskrós przeniknąć, całą ogarnąć, istność twoją w proch obrócić, by duch twój boskim płynem przelał się w płomieniste, pożerze, płodne jego łono.

(Lutnia umilka)

Chór duchów niebieskich.

Śluchaj śluchaj o córo lutni! boskich akordów lutni wszechświata! Cała ta nieskończoność nad istotą twoją ciężąca, przytłaczająca ją niezmiernością swoją, otworzyć się może przed tobą, byś się w nią wzbijała jako płomień, jako duch czysty!. Niech się roztworzy ucho twoje i oko! Wszystko jest harmoniją, barwą i dźwiękiem. Siedm tonów i barw siedm poruszają się, jednoczą dokoła ciebia ciebie wwiecznym hymenie; nie masz barwy bezmownej. Świat jest lutnią. Nie masz dźwięku niewidzialnego. Świat jest pryzmatem. Tęcza jest kropli wody odbiciem. Tęcza jest odbiciem nieskończoności; wzbija ona w niebiosy siedm donośnych głosów opiewających bez ustanku

chwałę i piękność przedwiecznego. Powtórz hymn o córko lutni! Głos twój z głosem słońca połącz. Każdy atom złoconego pyłku, co krąży w promieniu słonecznym, chwałę i piękność przedwiecznego śpiewa; każda kropla rosy lśniaca na każdym źdźble trawy śpiewa chwałę i piękność przedwiecznego; każda fala nadbrzeżna, każda skała, każde mchu ździebełko, owad wszelaki śpiewa chwałę i piękność przedwiecznego. — A słońce ziemskie i księżyc blade i wszystko słońce nieskończoności z niezliczonymi światami, które oświecają, i eter przepychem jaśniejący i niezgłębione tajnie sfer gwiazdnych słyszą głos ziarna piasku zsuwającego się z spadzistości góry, głos owadu roztaczającego różnobarwne skrzydełka, głos kwiatka, który usecha uroniwszy swe ziarno, głos listka pijącego kroplę rosy, a przedwieczny słyszy wszystkie głosy lutni wszechświata. Słyszy on i głos twój o córko śmiertelnych! zarówno z gwiazdnych sfer głosem, gdyż nic nie jest zamale dla tego, dla którego nic nie jest wielkiem i nic nie jest godnem pogardy, dla tego, który stworzył wszystko! — Barwa jest objawem piękności, dźwięk objawem chwały. Piękność opiewana jest bez przerwy na wszystkich strunach lutni nieskończonej, harmonija zaś ożywiana bez przerwy przez wszystkie promienie nieskończonego słońca. Wszystkie głosy i wszystkie promienie nieskończoności drżą i bezustannym brzmiał dźwiękiem przed chwałą i pięknnością przedwiecznego!

Albertus.

Cóż to jest znowu? Helena zdaje się przysłuchiwać jakimś dźwiękom, których ucho moje schwycić nie może. Lutnia pozostaje niema, a jednak Helena cała w zachwycie, jakby co niewidomego przemawiając do niej po nad jej głową krążyło. . . Oto znowu bierze lutnię do ręki, jak gdyby z odpowiedzią spieszyła. Cóż to takiego bydź może?

(Dźwięk lutni daje się słyszeć na nowo).

Duch Lutni.

O bracia moi! przemawiajcie do córki śmiertelnych, pomóżcie mi ją oświecić, by mię poznać, pokochać i wyzwolić mogła. Dajcie jej poznać tajemnice nieskończoności i wielkość i nieśmiertelność człowieka, tego boskiego atomu, który tchnienie boże wciąga w siebie bez ustanku, by żywić i zaludnić inne otchłanie nieskończoności.

Chór Duchów.

O duchu uwięziony! przez niejedną próbę przejść musisz, zakłębieniem siedmiu strun skrzypcowych, więzy twoje tylko cierpienie rozwikłać może. Taki jest los wszystkiego, co w człowieczeństwie przebywa. Ziemia ta jest ziemią boleści. Dla pokuty tylko na nią się zstępuje, i innego z niej niema wyjścia, tylko przez pokutę.

(Lutnia wydaje brzmienie na nowo).

Duch Lutni.

O męki! o cierpienia! o trwogo! Czyliż mi uczucie nieskończoności przyjdzie postradać? Czy mam pływać po morzu niewiadomości i powątpiewania, jak ludzie? Czy mam się błąkać w ciemnościach, pozbawiony boskiego światła?... Córko śmiertelnych! czy mam zamieszkać twą duszę, posępniejsze i zimniejsze więzienie, aniżeli wnętrze tej lutni?...

(Helena porusza struny rękami, i pełne i mocne brzmienie wydaje).

Albertus.

Co słyszę! Jakaż to nowa harmonija! Co za potężne i razem słodkie dźwięki! Jest to muzyka mniej uczona ale rozkoszniejsza... Zdaje mi się, że będę mógł ją zrozumieć... Ale cóżto ja widzę?... Helena ręką struny dotyka, to jej dusza przemawia.

Duch Heleny, gdy Helena gra na lutni.

Czegoż mnie się lękaś buntowniczy i niewdzięczny duchu? Ty nie jesteś bogiem, jak to chcesz udawać; i tyś także synem śmiertelnych, synem umiejętności i pychy! Patrz na mnie i zobacz, czylim nie tak czysty jak najczyściejszy kryształ, czym nie zalany promieniem nieskończoności, nie objęty spojrzeniem boga! Nie gardź mną, chociaż zamieszkuję łono dziewicy śmiertelnej. Dziewica ta jest hostyą bez zmazy; niebiańska miłość natchnąć ją może, by się za ciebie poświęciła w ofierze i przyjęła na siebie pokutę, na którą jesteś skazany.

(Helena grać przestaje, lutnia brzmi sama).

Duch Lutni.

Słyszałem cię, widziałem ciebie o dziewico bez zmazy! Ty mię poimujesz, ty do mnie przemawiasz, istota twoja objawiła się mojej! Bóg zezwolił na to. Ty mię kochasz i ja kocham cię także, gdyż widzę ciebie, i wydajesz się mi najpiękniejszą pomiędzy gwiazdami. O! niechaj nas hymen niebieski połączy, i tak zjednoczone płomienie nasze zamieszkają nieskończoność światów!

Helena upuszczając z rąk lutnię.

Dosyć, zostaw mię; upadam pod uściskiem twoim...

(pada zemdlona.)

Albertus.

To jest przesilenie nerwowe, w które codziennie po śpiewie lutni o jednej godzinie zapada... Ów sen tak do śmierci podobny, owa nieruchomość, co mię tyle zastraszała pierwiej, teraz żadnego mi niepokoju nie sprawia. Sen ten pokrzepia jej siły i zdaje się być przyrodzonym działaniem tego odrębnego organizmu. Pójdę przywołać Teresę i potajemnie zabiorę się do zbadania tej lutni.

Scena II.

(Pokój mistrza Albertusa.)

*Albertus, Hans.**(Albertus siedzi za stołem, na którym widać lutnię pomiędzy księgami i papierami w nieładzie.)**Albertus.*

Muzyka jestto algiebraiczny układ rozmaitych tonów gamy, zdolny rozweselić umysł łechcąc przyjemnie muszkuły słuchu i przez nie rozchodząc się po całym systemie nerwowym. Zkąd wynika, że mózg wpaść może w rodzaj gorączkowego uniesienia, jak to u diletantów spostrzegać się daje.

Hans.

O mistrzu! Wierz mi, muzyka jest jeszcze czemsiś innym.

Albertus.

Muzyka wyrażać może uczucia... ale oddać myśli... lub nawet odmalować przedmioty... to jej niepodobna! Chybaby była sztuką czarnoksiężką, jak mniemali niektórzy. Jednakże, oto są nóty, klucze, znaki do odznaczania taktu, inne do podnoszenia lub zniżenia tonów... Nie są to wcale znaki kabalistyczne, wpadają pod zmysł najpospolitszy i poddane są loice niezmiennej.

Hans.

Ale ich umiejętny układ staje się tajemnicą, czarodziejstwem. Jest to język nieskończoności.

Albertus.

Dźwięki tej lutni są, jak powiadasz, wypadkiem wyjątkowym, wychodzącym po za obręb umiejętności muzycznej; nie wiem tego, nie wierzę temu, i mniejsza o to;

przyjmuję przypuszczenie i powiadam, że muzyka jest rozrywką, sztuką piękną, jak słusznie ją zowią.

Hans.

Mniemany czarownik, co ten talizman utworzył, użyłby tedy dźwięków, jak inni używali głosek arabskich lub astronomicznych znaków w celu oznaczenia jakimkolwiek kształtem tajemniczych obrotów liczb umiejętności, która podług ich mniemania przewodniczyć miała prawom wszechświata pod opatrznością działalnością potężnej siły?... Mistrzu! tybyś prędzej w sztukę czarnoksiężką jak w muzykę uwierzył.

Albertus.

Niestety! Wkopywałem się ja w tę minę głęboką i posępną, którą kabalistyką zowią, spodziewając się wygrzebać tam z pod stosu kłamstw i niedorzeczności jaką prawdę ukrytą... I nic nie znalazłem prócz oszustwa i niewiadomości nieokrzesanych wieków, fatalnych żywiołów człowieczeństwa, co chwila stawiających nowe zapory postępowi ducha... Dziś nawet czyż nie próbują ożywić sztukę czarnoksiężką, potęgę uroków, panowanie kuglarzy, pod nazwą magetyzmu? Jest to magia czasów społecznych.— A jednak umysł mędrca wstrzymuje się przed czynami nowego porządku niszczącemi cały porządek praw dotąd znanych. Jakiż on wniosek wyciągnąć może w obec tych cudów podbijających zmysły jego? W teorii winien on potomności nic nie odrzucać jako niepodobne, w życiu praktycznym winien samemu sobie niedowierzać, świadectwu swych zmysłów, pokąd rozum z doświadczeniem nie zgodzą się na jedno.

Hans.

Mój boże! mój boże! Czy podobna, żeby człowiek wegetował dotąd na tej niefortunnej ziemi nie śmiejąc uchylić z swych oczów owej gęstej zaslony, co mu prze-

rzec nie dozwala, gdy każdemu tego tylko potrzeba, co dotąd było udziałem jedynie kilku wznioślejszych umysłów, to jest ufności i siły, by zedrzeć ową zasłonę, przebić te ciemności! Jako! na łonie zaślepionych pokoleń, co się wlokły po powierzchni ziemiokręgu bez innej nadziei przed sobą, prócz kłamliwych klechów obietnic, bez innego pocieszenia nad niepewne i mgliste innego życia marzydła, bez innych prawideł, jak zwierzęce uciechy, lub zrzeczenie się niedorzeczne... astrologowie, czarodzieje, święci, sybille nakoniec — jakimkolwiek imieniem ich zwano — we wszystkich wiekach żyjący w styczności z czystymi duchami niewidzialnego świata nie mogli wtajemniczyć swych bliźnich w poznanie prawd pocieszających i szczytnych? Jako! mieliżby oni oko w oko oglądać boga lub jego aniołów, albo duchów posłanników jego, nie zdołali rozkrzewić wiary ugruntowanej na pewności, na świadectwie zmysłów i ducha! Przygwożdżone u progu gorzkiego i pustego żywota patrzyło człowieczeństwo, jak kilku wybranych wkracza pod te portyki idealnego świata, i, by za to szczęście się zemścić, wskazywało ich na szubienicę, stos, śmieszność, beczceść, namęczeństwo pod różnemi kształty!

Albertus.

O! jeśli tak było, jakże nasza filozofija byłaby śmieszna i godną pogardy! Nas by to należało chłostać na publicznych placach i stawić pod pręgierzem jako fałszerze i bluźnierce!

Hans.

Mistrzu! czy ku czarodziejom czy ku filozofom składasz się w tej chwili?

Albertus.

Jakże ci się zdaje uczniu filozofski? Czy od mojej odpowiedzi oczekujesz rozwiązania wielkiego zagadnienia

twej wiary? Jeżeli o mojem przekonaniu powątpiewasz w tej chwili, to dla tego, żeś twójego niepewny; i jeżeli wszystko mam ci wyznać, od jakiegoś czasu mam cię w posądzeniu, że się zagubiasz potrochę w mgłach iluminizmu. Nie wstąpiłeś przypadkiem w jakie towarzystwo tajemne?

Hans.

Od jakiegoś czasu szyderstwem zbywasz moje zapytania kochany mistrzu! Cieszyłbym się widząc cię w tak uciesznem usposobieniu, gdybym nie wiedział, że w umysłach surowych ironia nie jest oznaką wewnętrznego zadowolenia. Zawsze z podziwienia godnym talentem przemawiasz z twojej mownicy; ale jeżeli ci mam wyznać, wykłady twoje nie zdają się już być tak jasne, rozstrzygnięcia tak zwycięzkie. Zdaje się, jakoby nowy szereg idei jeszcze niewyraźnych, niedających ująć się w kształty, poczynił przerywać ideę twojej nauki. Nie zdajesz się być w zgodzie z samym sobą, i pewny prawie jestem, że niebawem zstąpisz z mownicy niedokończywszy wykładu, ponieważ powątpiewanie pod względem twojej przeszłości zaczyna cię owładać, a wielkie światło może poczyna wschodzić nad tobą, by ci twą przyszłość objawić.

Albertus.

Rozumię! Uczniowie moi powątpiewają o mojej prawości zadając sobie pytanie, czy wszedłem w umowę z nową jaką potęgą, i w szyderczem milczeniu czekają, bym im odszczepieństwo moje objawił.

Hans.

O mój mistrzu! By tak przemawiać, potrzeba szlachetną pogodę duszy utracić. My cię kochamy, szacujemy, a żaden z nas nieoskarża cię. Spostrzegamy tylko, że tajemny jakiś niepokój cię dręczy, i bolejemy nad

tém, ponieważśmy przywykli znachodzić w nauczaniu twojm nadzieję i pocieszenie, których nie znajdujemy już więcej. W cóż się obróca podróżni, gdy sternik drogę swoją pomiędzy skalami postradał?

Albertus.

Wznowimy tę rozmowę przyjacielu! teraz zostaw mnie samego. W samej rzeczy jestem poruszony, i możebym dobrze zrobił, gdybym kurs mój w zawieszeniu zostawił. Świat nowy otworzył się przedemną, z drzeniem wstępuję w jego podwoje, a to dla tego, że nie sam jeden tam wnijdę. Wiem, że śladem moim pójdą umysły, co swą ufność położyły we mnie, a niechciałbym lekko rozrzadzać świętym zakładem sumienia mych bliźnich.

Hans.

Jestto sumiennosc ciebie godna. Zostawiam cię mistrzu! obyś zdołał pokój duszy odzyskać!

Scena III.

Albertus.

O! jakże pragnąłem sam zostać! Ach! ten, który przyjmuje na siebie odpowiedzialność za wiary i zasady drugiego, ten, kto się ośmiela do nauczania i kierunku ludzi, sam nie wie, jakim ciężarem żywot swój przytłacza! Ten zaś, który z mądrości stan dla siebie czyni, jeżeli nie jest nikczemnym oszustem, to przynajmniej szaleńcem i nie-szczęśliwym. W chwili, gdy mniema, że już posiadał prawdę, w owej chwili, gdy na stopnie mownicy wstępuje, by ją ogłosić, wzrok się jego zamracza, ciemności ogarniają do koła, błędne światelka migocą w ciemnej oddali, a z ust jego wypływają słowa dla umysłu już niezrozumiałe. Wszystko jest tylko pychą i kłamstwem w znikomej wiedzy człowieczej. Może tam wysoko temu tylko przebaczo-

no będzie, kto wątpić i milczeć potrafił! (Biorąc lutnię.) A jednak bez przyczyny nie ma skutku; to nie jest instrument taki, jak się ludziom zdaje. Rozebrałem go na cząstki, a z nich każdą zbadalem uważnie, i widzę, że wspaniale tony, które wydaje, winien jest umiętnym rozmiarom, doskonałej zgodności wszystkich swoich części. Uderzam w brzmiające jego struny, i widać, że nie kazi ich dłoń moja, gdyż dźwięk ich nie nabawi mię niepokojem; ale niepodobna mi innej harmonii z nich wydobyć, prócz prostych akordów, na jakie słabe wyobrażenie muzyki zdobyć się mi pozwala. Ręka moja szuka ich i znajduje, ucho słucha i sądzi, ale nigdy myśl moja i jednego dźwięku w strunach tych nie może rozbudzić; a jednak myśl Heleny porusza je wszystkie i szczytne z nich wydobywa śpiewy bez pomocy sztuki, bez dłoni dotknięcia... Skutek jest jasny, powinienem przyczynę wyszukać. Zaniedbanie wynalezienia jej byłoby nikczemnem lenistwem albo niedołązną pychą... Zkądże jednak pochodzi, że drzę dotykając się tego przedmiotu?... Zdaje mi się, jakobym widział przed sobą rzekę ognistą, z której kłęby dynu buchają... że jak astrolog średniego wieku mam opuścić czyste niebios powietrze i światło słoneczne dla ciemności piekielnych i złudy szatana... Jednak potrafię przezwyciężyć te szalone strachy... Niema już teraz dla wyobraźni człowieka ni szatanów ani Tartaru; jest zwątpienie... jest nicość... Wspieraj mię boska nadziejo, owocu prac długich, boleśnej wytrwałości mojej!

Scena IV.

Albertus, Mefistofeles, pod postacią żyda.

Mefistofeles na stronie.

Bardzo mi się podobasz w tem twojem usposobieniu, wtłoczę kilka kolców ciekawości w twój mózg leniwy. (Głośno.) Biję czołem przed Stoicyzmem Waszym.

Albertus.

Sługa. Czego żądasz odemnie?

Mefistofeles.

Wasza Nieomyślność nie czyni mi honoru poznania
mię?

Albertus.

Chyba w szpitalu szalonych mogłem cię widzieć.

Mefistofeles.

Wasza Nieugiętość żartuje ze sługi swego; jestem po-
czciwy Izraelita Jonasz Thaer.

Albertus.

Wistocie, poznaję cię teraz; lecz gdy pogłoska o
twojej śmierci rozeszła się tutaj, na razie nie mogłem cię
poznać.

Mefistofeles.

Bardzo chorowałem w Hamburgu. Wszyscy lekarze
na śmierć mię skazali; ale w tej chwili właśnie, gdy za-
wyrokowano wrzucić mię w dół grobarza, ja się zerwa-
łem na nogi dzięki lekom pewnej wróżbiarki. Myślę, że
dla utrzymania swojej nieomyślności ci panowie kawalek
kłody na mojem miejscu kazali pogrzebać. Moje wyzdrowie-
nienie popsułoby ich wziętość.

Albertus.

Dla czegoż? Wszyscy mogliście mieć słuszość za
sobą. Choroba twoja mogła być śmiertelną, ale żydzi
twarde mają życie!.. No! czegoż żądasz odemnie? Tyl-
ko bez próżnych pochlebstw, bardzo proszę. Nie zawsze
na czasie mi zbywa.

Mefistofeles, na stronie.

Kuglarzu! kto wielziej odemnie, ile czasu marnu-
jesz na próżne rojenia? (Głośno.) Kochany panie! przy-
chodzę zaproponować ci jeden interes.

Albertus.

O! to twoja zwyczajna piosnka z moim biednym przyjacielem Mejnaker. Ale ze mną jakiż interes mieć możesz? Ja nic nie mam i, nad to co mam, więcej nie żądam.

Mefistofeles.

O! mam tu w mojej kieszeni papiery, które skuszają cię, pewny jestem.

Albertus.

Papiery?

Mefistofeles.

Rękopis szacowny.

Albertus.

Zobaczmy... Ale nie, ty nic darmo nie robisz, a ja zapłacić czem nie mam. Nie kuś mię, nie pokazuj.

Mefistofeles.

Wszak popatrzeć nic nie kosztuje. Są to pargaminy przypadłe mi w długu z sprzedaży po śmierci Mejnaker. Byłem jego wierzycielem i, jak tylu innych, zrujnowany zostałem!

Albertus.

Kiedy żyd się skarży, widać, że jest zadowolony. Czyjże ten rękopis?

Mefistofeles.

Czyżby miał być inny, jeśli nie wielkiego lutnisty, poety, kompozytora, sztukmistrza i czarodzieja, Tobiasza Adelsfrejt?

Albertus.

Ach! Wiele pism jego widziałem.

Mefistofeles.

Cieszy mnie to bardzo; potrafisz autentyczność tych oto rozpoznać.

(Rozkłada stare papiery na stole.)

Albertus.

W samej rzeczy zdaje się, że jego ręki są niezaprzeczenie, oto i pieczęć jego... Ugody sprzedaży rozmaitych instrumentów... spis zostających w składzie w różnych epokach, z datą ich wykończenia... Wszystko to małej jest wagi... Ale ta księga zapelniona dziwacznymi hieroglifami do połowy zatartemi czasem... to także jego pismo... popatrzmy, czy nie jakie wiersze?... Nie... oto próby kompozycji muzycznych, liryczne pomysły wielkiej zapewne wartości dla ciekawych, lub wielkiej zasługi dla artystów... A tuż co spostrzegam? Słowa bez związku... wyrazy poucinane, rozrzucone, jak odłamki pomników, których niepodobna odgadnąć znaczenia... (Mówiąc do siebie i zapominając obecności Mefistofelesa.) A! a teraz kabalistyczne znaki, magia. Byłem pewny tego. Nasi ojcowie dlatego tylko wygrzebali się ze swoich grubych, zmysłowych pojęć, by w grubsze jeszcze zapasć przesady. Czyliż mam dziwić się temu? Ja, który w wieku oświeceniowym żyję, co osądzam bezstronnie błędy przeszłości, przecież mało dziesięć razy na dzień ulegam pokusie uwierzenia w te baśnie! Jestto następstwo przemożnej potrzeby, którą człowiek uczuwa, aby wyjść z stagnacji przez jakąkolwiek bramę, chociażby nawet przez tę, która do szaleństwa prowadzi.

Mefistofeles, na stronie.

Będziesz zadowolony. Szeroka jest ta brama, wygodnie przejdziesz przez nią. (Głośno.) Mistrzu! niech Wasza Uczoność niepogardza temi czarodziejskimi znakami. Nasi ojcowie tym barbarzyńskim językiem wyrażali nie raz myśli tak mądre i filozoficzne, jak wasze terazniejsze; a chociażby nawet wydały ci się one nieco zamglone i tajemnicze, nieznalazłbyś je przecież wyzute z pewnej głębokości, gdybyś je mógł wyczytać.

Albertus.

Bardzo dowcipnie zachwalasz twój towar, mości Jonatasz! powiem ci jednak, że to mnie mało zachęca. Adelsfrejt pisał dobre poezye, ale w tych zbiorach mało ich spostrzegam. Na muzyce zaś i magii nie wiele mógłbym się poznać.

Mefistofeles.

A gdyby owa mniemana magia była tylko tajemniczą pokrywką swobodnego wyrażenia idei więcej postępowych, aniżeli barbarzyństwo wieku przyjąć było zdolne? Gdybyś badając głęboko odkrył tam źródło nowych spostrzeżeń, objawień niespodziewanych? Naprzykład, gdybym ten oto ustęp dosłownie ci przetłumaczył... (Bierze jeden z pargaminów i czyta) „Przyjdzie czas, w którym ludzka posiadać będą wszyscy pojęcie i uczucie nieskończoności, a wtedy językiem nieskończoności wszyscy przemawiać będą. Słowo językiem zmysłów zostanie, a tamto będzie językiem ducha.“

Albertus.

Cóż on przez tamto rozumie?... Muzykę?

Mefistofeles, na stronie.

A! zaczynamy nadstawiać ucha. (Czytając dalej na głos) „Wszelka pojmująca istota będzie jako lutnia, a ta lutnia bogu tylko śpiewać będzie. Język krasomowców będzie tylko językiem gminnym, a istoty obdarzone umysłem pojmować zdolnym usłyszą śpiew wyższego świata. Jak oku zostanie widomy wspaniały widok niebiosów i ukryte cuda nieskończonego porządku, tak ucho pochwyci wzniosłą gwiazd muzykę, tajemnice nieskończonej harmonii.— Nie będzie to podbojem zmysłów, lecz podbojem ducha. Duch widzieć będzie bieg gwiazd i głos gwiazd posłyszcy. Duch posiadać będzie zmysły, jak je ciało posiada. On wleci w światy nieskończoności, przekro-

czy nieskończoności otchłanie. Dzieło to porzęło się już na ziemi. Człowiek z każdym stuleciem wznosi się o sto tysięcy i sto milionów sążni po nad błotnistą glebę, z której pierwotnie stworzony. Niezmierzona już przestrzeń dzieli ofiarników Cybeli, których dźwięk szpiżowego puklerza w wściekłość wprowadzał, od chrześcijan bijących czołem przy brzmieniu organu.— Człowiek zrozumie na koniec, że jeżeli kruszec głos mieć może i drzewo i organa zwierząt, gdy wiatr, grom i wodne fale głos mają, gdy i ciało potężnym obdarzone jest głosem: tak też i dusza i świat cały ojczyznę duszy jego będący mają głos, którym odpowiadają sobie nawzajem. Zrozumi on, że potęga harmonii nie jest w dźwięku wychodzącym z metalu lub drzewa, a mniej jeszcze w machinalnej palców wprawności, podobnie jak ruch nieustający nie jest własnością wrodzoną drewnianych lub kruszcowych macelin, utworu ręki przemysłnej. Zmysły sługami są tylko ducha, a czego duch nie pojmuje, tego ręka utworzyć nie zdolna.— Ja utworzę lutnię, której równej nie będzie. Najtwardszą kość słoniową, złoto najczystsze, najdźwięczniejsze drzewo na to arcydzieło wyszukam. Rozwinę całą umiejętność muzyki, całą sztukę lutnisty. Przecież najrzeczniejsza, najwprawniejsza ręka pospolity tylko dźwięk z niej wydobędzie, jeżeli duch nią nie będzie kierował, jeżeli tchnienie boże nie owionie ducha... O lutnio! duch będzie w tobie, jak jest w wszechświecie, ale będziesz niemą, jeżeli on się nieodezwie w twem wnętrzu!“

Mefistofeles.

No, i cóż mistrzu, czy zaczynasz rozumieć?

Albertus.

Wszystko to ma poetyczne znaczenie, rodzaju zapewne wzniosłego, ale dla mnie nadzwyczaj zamglone.

Mefistofeles.

Nie zrażaj się przecież, wyszukuj pracowicie to tajemnicze znaczenie. Być może, że Adelsfrejt sam nie mógł je dostatecznie pochwycić. Ludzie najbardziej obdarzeni uczuciem ideału miewają tylko chwilowe połyki. Idea wykończona jest dziełem, nad którym kilka pokoleń ludzi wyższych pracuje; wszyscy oni dopiero ją uzupełniają, a każdy z nich w niedoskonałych, właściwych sobie zarysach z osobna tylko szkicuje — i musisz te różnorodne żywioły zebrać razem w głębi twego rozumu, by z nich należyte znaczenie wyciągnąć.

Albertus.

Zanadto mądrze na prostego handlarza przemawiasz mości Jonatasz! mam cię w posądzeniu, że tylko za pokrywkę używasz tego rzemiosła, a w gruncie oddajesz się naukom. No, czemże jesteś? filozofem, czy czarnoksiężnikiem?

Mefistofeles.

I jednym i drugim razem,

Albertus.

Jakby w średnich wiekach? dziś już tego nie widać. Jesteś z owego pokolenia ostatnim.

Mefistofeles.

Jestem człowiekiem wieku, więcej może, aniżeli ty sam szanowny mój mistrzu! Jestem zwolennikiem czystego rozumu i stronnikiem magnetyzmu zarazem, jestem spirytualisto-Spinozista; nic nie odrzucam, badam wszystko, wybieram, co najłatwiej do siebie przystósować mogę. Patrzę na rzeczy z wysoka, gdyż jestem nieco sceptykiem, a z resztą dość mam sympatyi i dla nowych i dla starych idei. Jednem słowem, jestem eklektyk, gdyż w nic nie wierząc kończę na wierzeniu we wszystko.

Albertus.

Jeżeli to są żarty, przynajmniej bardzo dowcipnie szydzisz sam z siebie.

Mefistofeles.

Masz mię za półwarjata mój kochany panie! Ale miej baczność na siebie, czyś nie zanadto mądry. Od jakiegoś czasu wilem uczęszczał na twoje wykłady, chociaż zgubiony w tłumie nie starałem się sciągnąć twojej uwagi. Ja może jestem jedynym, co cię zrozumiał i poznał, jak należy.

Albertus.

Ty?

Mefistofeles.

Bez wątpienia. Widzę, żeś uosobionem przeciwieństwem mojem. Wierząc we wszystko kończysz na tem, że w nic prawdziwie nie wierzysz. No! Nie chcę dłużej zabierać ci czasu; papiery zostawiam, sądząc, że chętnie zajmiesz się niemi; znane ci charaktery arabskie, i im więcej zagłębiać się będziesz w ich rozpoznaniu, tém bardziej w nich zasmakujesz.

Albertus.

Ale nie mam czém zapłacić...

Mefistofeles.

Więc ci je pożyczam; do pozbycia się ich dosyć jeszcze będę miał czasu, a w nagrodę proszę o pozwolenie przyjscia tu niekiedy, byśmy pomówili z sobą. Nie będziesz tego żałował! Rozumiem się potrosze na wszystkim, nawet na muzyce, i jeżeli zechcesz, rozpocniemy razem pracę nad dziełem zdolném wytłumaczyć fenomen harmoniko-magnetyczny, sprawiający, że ta lutnia gra sama w ręku Heleny.

Albertus.

Heleny! Co wiesz o Helenie?

Mefistofeles.

O! piękna twoja wychowanka nie dość jeszcze głęboko ukryta w twym domu, by wieść o jej cudowném szaleństwie nie mogła po mieście się rozejść. Zresztą, dość często stawałem w pobliżu, gdy magnetyzowała swą lutnię, i po dźwięku rodzaj instrumentu jako też choroby poznałem.

Albertus.

Wspomniałeś o rzeczy, obchodzącej mię mocno, i jeśli masz jakie wyobrażenie o tym fenomenie, zaklinam cię na imie umiejętności i prawdy, chciej mi go udzielić.

Mefistofeles.

O tak! Niezrażonyś wcale, jak widzę, panie filozofie! Ale zawiele posiadasz rozumu do zrozumienia tego, co pokusiłbym się ci wyjaśnić.

Albertus.

Może przeciwnie, posiadam go za mało. Jednak będę usiłował wyrzucić się z wszelkiej filozofskiej pychy.

Mefistofeles.

Nie, zawiele masz przesądów!... Rozum jestto uporane zamilowanie oczéwistości, jest najuporczywszą z fałszywych idei.

Albertus.

Niestety! nie wiesz, do kogo tak przemawiasz; może bliżej byłeś prawdy, jakieś mógłł mniemać, gdyś mi mówił przed chwilą, że wierząc we wszystko w nic szczerze nie wierzę.

Mefistofeles.

Ach strzeż się, byś się nieoskarżał aż do bluźnierstwa, mój biedny przyjacielu! Przecież w coś wierzyć należy, chociażby w niewiadomość własną.

Albertus.

Nagrodzony też jestem, że w nią wierzę. Od dwóch miesięcy blisko, jak każdodziennie widzę powtarzający się przed oczyma memi fenomen, o którym wspominaliśmy przed chwilą; niepodobna mi było ułożyć w tym względzie teoryi, zdolnej jakkolwiek mię zadowolnić.

Mefistofeles, na stronie.

Poczekaj! poczekaj! zaraz ja tu słowami te twoje wysokie myśli zawikłam! (Głośno) Bardzo wierzę Kochany panie! nie znasz mnóstwa rzeczy, któremi pogardzasz a któreby ci jednak otworzyły wrota nieznanego świata. Założyłbym się naprzykład, żeś nigdy nie słyszał o harfach magnetycznych?

Albertus.

Słyszałem o eolskich harfach poruszanych wiatrem.

Mefistofeles.

I nie znajdujesz to niepodobnym?

Albertus.

Zapewne że nie.

Mefistofeles.

Przypuszczasz, że powietrze może dźwięk wydobyć z harfy, a nie chcesz przypuścić, że tchnienie ludzkie kierowane wolą, myślą, natchnieniem, ten sam skutek wywrzeć może?

Albertus.

W takim razie potrzebaby przyznać tym instrumentom niepodobną do wiary delikatność wrażeń, jeśli tak powiedzieć można.

Mefistofeles.

Przypuść jeszcze więcej. Przypuść, że zachodzi sympatyczna styczność pomiędzy artystą a instrumentem.

Albertus.

Tego nie przypuszczasz pewno.

Mefistofeles.

Jak ci się podoba. W nic nie wierz, nie przypuszczaj niczego; ale żebyś był zupełnie loicznym, musisz także zaprzeczyć fenomen, na który własnymi oczami patrzysz codziennie.

Albertus.

Przyznam wszystko, co mi dowiediesz.

Mefistofeles.

Chceszże szczerze poznać tajemnicę magnetycznej lutni?

Albertus.

Chcę szczerze.

Mefistofeles.

Czy zostawisz na stronie przy tej nauce pychę uczonogo, upor loika?

Albertus.

Przyrzekam ci słuchać z prostotą dziecięcia, co się czytać uczy.

Mefistofeles.

Naucz się czytać w istocie. Zagłęb się w tych pargaminach, a potem zbadasz uważnie instrument.

Albertus, uśmiechając się.

I nic więcej?

Mefistofeles.

Przyjdę wytłumaczyć ci resztę, gdy już się wyuczysz twej lekcji.

Albertus.

Niech i tak będzie.

Mefistofeles, na stronie.

Zostawmy go samego. Obecność moja czyni go nieśmiałym, przeszkadza oddać się dziecinnej ciekawości, która go pożera. Filozofska powaga zawadza mu przy mnie. Zostawiony samemu sobie męczyć będzie lutnię jak

dziecko, co po jednym obrywa piórka ze skrzydła ptaka, by ujrzeć, jak bez nich do lotu się wzbije. Duchu! coś śniał mi się opierać i mniemasz, że Helena ciebie wybawi, teraz pobudziłem przeciwko tobie straszliwego wroga, zimną loika ciekawość! (Do Albertusa zamysłonego) Muszę odejść, ale wkrótce powrócę; nie ustawaj w pracy tymczasem i bądź pewny, że nie masz cudu, którego umysł sumienny i wytrwały zbadaćby niemógł.

Albertus.

I ja tak myślę. Bogu cię polecam!

Mefistofeles.

I ja ciebie także; jeżeli tylko szatan nie pokaże się silniejszym albo złośliwszym. (Znika)

Albertus, sam:

Dziwny człowiek! kuglarz zapewne, oszust może. Ludzi mię baśniami; by swoje parganiny drogo mógł sprzedać, ale mniejsza o to; patrzeć na nie, nic nie kosztuje, jak sam mi powiedział. (Zaczyna przepatrywać.) Ach! otóż coś przecie, co ma sens jakiś. — „Duchu! który mię ożywasz i który ku bogu ulecieć pragniesz, potrafię cię do tej lutni przywiązać. Ślad gieniusza człowieka równie jak sam gieniusz jest nieśmiertelny, on jest ziarnem nasiennem mającem gieniusz innych ludzi upładniać; pokąd przekształcony, pochłaniany przezeń, pozornie zda się zarty, ale wtedy dopiero ulata on ku niebu, jak nurt płomienny, zajmwszy niwę przeznaczoną do podsycania świętego ognia.“ Czyby ten ustęp tym sposobem nie dał się wytłumaczyć: Wszelka moc pochodząca od boga przelana w łono człowieka spełnić powinna posłannictwo swoje na ziemi. Życie człowieka nią obdarzonego nie wystarcza na całkowite jej rozwinięcie i dla tego nadana mu jest możność utrwalenia jej na tym padole, przeobrażając ją

w dzieło jakiegokolwiek. Dzieło to przeżywające człowieka nie jest już samym człowiekiem, ale natchnieniem mu danem, duchem, który mu przewodniczył za życia. Duch ten winien wrócić do boga, gdyż co od boga pochodzi, ani się zabląkać ani zatracić nie może. Lecz nim do źródła swego powróci, ta iskra boskości nowe dusze zajmując powinna i zawrzeć z niemi rodzaj niebiańskiego hymenu. Wtedy dopiero przeznaczenie jej zostaje spełnione i duch twórczy z duchem poczętym wrócić może do boga; z ich hymenu wylął się duch nowy, który z kolei podobne pomiędzy ludźmi spełnia przeznaczenie. Tym sposobem gieniusz nieśmiertelny jest na ziemi, jak duch jest nieśmiertelnym na łonie boga.... Tak, ta zapewne była myśl Adelsfrejta, i widzę, że żyd miał słuszną w sobie ukrywa. Kontent teraz jestem, że niegdyś kabalistyki się uczył, i pewny, że wiele interesujących rzeczy odkryję w tej księdze. (Czyta znowu) „Strun siedm przewodniczyć będą utworowi twemu, o lutnio czarodziejska! Dwie struny z najdroższego kruszcu tajemnicę nieskończoności będą opiewać; jedna z nich poświęcona ideałowi, na cześć wiary druga, jedna zachwytem umysłu brzmieć będzie, druga duszy zapalem. Oświecona widokiem nieskończoności“... (opuszcza z rąk książkę). Zdaje mi się, że to wszystko w czystą nekromancyę wpada... A jednak, zapuściwszy się w pierwiastkowe pochodzenie lutni, godła poezyi u starożytnych, spostrzegamy, że każda struna do instrumentu dodana oznaczała postęp gieniusza i moralnej wielkości człowieka. U Chińczyków bogowie sami objawiają pierwszym prawodawcom ważną tajemnicę dodania nowej struny do lutni, znamienia oświaty tego pracownego i prostego ludu... Któż dzieje muzyki spisze?— Kto nam wytłumaczy ową bajeczną potęgę nad żywiołami, dzi-

Wilhelm.

Słuchaj, rytm zmienia się znowu!

Duch lutni.

A teraz cały już krąg roztoczył, świeci, panuje, kąpie się w eterze, jak perła niepokalana w głębiach niezmiernego oceanu! Blade barwy pryzmatu do koła tarczy jego migają, chłodne morza, szerokie jeziora, alabastrowe góry, śnieżne gór szczyty rysują się i odcieniają po jego jasnych bokach. — Przejrzyste zwierciadło, niezrozumiały utworze nieskończonej myśli, cicha pochodnio zawieszona u łona ziemi, monarchini twojej! Czemu po nicbios przestworzu wodzisz wieczną swoją skargę, czemu na mieszkańcach ziemi wywierasz wpływ tak słodki i smętny zarazem? Czyś ty światem skończonym, czy nieskończonym utworem? O światłości księżycowa! czy ty płaczesz nad zgasłym plemieniem, czyliś w boleściach nowego porodu? Czyś ty opuszczona wdowa, czy wstydliva oblubienica słońca? Twoja niemoc czy jest wycieńczeniem z prac już dokonanych, czy przeczuciem fatalnego poczęcia? Czy się upominasz o twoje dzieci leżące w pyłe trumiennym, czy przepowiadasz nieszczęścia dla tych, które nosisz w twem łonie? O światłości księżycowa, tak smutna i tak piękna! czyś ty dziewicą, czyś matką? czyś przebytkiem śmierci, czy kolebką życia? Twój śpiew tak czysty, czyliż wywołuje widziadła tych, których już niema, czy tych, których niema jeszcze? Cóż to za pęsepne cienie ulatują po nał skąpane w eterze twe wzgórza? Czy one tam używają spoczynku, czy tęsknią w oczekiwaniu? Czy to duchy niebieskie unoszące się po nad tryumfującym twem czołem, czy duchy ziemskie, burzące w twem wnętrzu, wyszłe z ostyglych wulkanów twoich?

H e l e n a.

Na co masz się pytać ciał niebieskich, ty, któremu znane tajemnice nieskończoności? Jeżeli urok do boku mego cię wiąże, czyliż nie możesz pamięcią przenieść się w miejsca, które niegdyś myśl twoja zamieszkiwała?

D u c h l u t n i.

Pamięć moja przygasa o córko śmiertelnych! Odkąd pokochałem ciebie, postradałem wspomnienie wszystkiego, co istnieje po za granicami ziemi. Rozpatruj się w wszechświecie wraz ze mną, gdyż już cię więcej o niczem objaśnić nie mogę, tylko o tem, co się dzieje tu na tym padole. Nie czujeszże także, jak niemoc jakowaś rozkoszna całą istotę twoją owiewa? Czyliż nie doznajesz, że słodko jest niewiedzieć, i że bez niewiadomości miłość niczemby była na ziemi. Kochajmy się i zręczmy się badania. Bóg jest z nami, gdyż jest wszędzie, ale oblicze jego dla nas zasłoną okryte, więc odtąd jedno dla drugiego bądźmy obrazem boga.

H e l e n a.

Miałam nadzieję, że ty wszystko mi objawisz, jak przyrzekłeś; i jużśmy się byli wzbili razem do lotu ku gwiazdistym sferom. Czemuż teraz wyrzekasz się przypuszczenia mię do tych tajemnic? Czyż już nie potrafisz przewodniczyć mi do owej gwiazdy, co błyszczy tam wysoko, na sto tysięcy stóp po nad księżycem? Tambym pragnęła się dostać, a ty mię niechcesz zaprowadzić nawet na najbliższą z planet!

D u c h.

Nie mogę. Skrepowany jestem siedmią strunami lutni i miłością, którą uczuвам dla ciebie. Córko śmiertelnych! nie wyrzucaj mi więzów, któremiś mię obciążyła. Ja już nie jestem duchem niebieskim, nie wiem nawet, czy inne niebo istnieje prócz tego, które z poza szczytów

drzew z nadbrzeża tego spostrzegam. Łono twoje jest moim światem; połączony z tobą, pojmuję i miłuję piękność świata zamieszanego przez ciebie; patrz, jakato noc pogodna, jak harmonijne głosy twego świata, jak się one z muzyką gwiazd zlewają i nieznając znaczenia tajemniczego hymnu, który nuca, w szczytnej zgodzie łączą się z głosem nieskończoności!

H e l e n a.

Co mówisz o nieskończoności? Ty nie znasz już jej języka, ty już nie śpiewasz na wznioślejszą nutę jak owad w trawie ukryty, jak trzcina falą poruszona.

D u c h.

Heleno, Heleno! Przymknąłeś mię kochać i poświęcić siebie dla wybawienia mego. Aleś ty nieodrodna córka śmiertelnych. W mierze, jak duch ulega i poddaje się tobie, ty coraz więcej chcesz wnikać w tajemnice ducha, i jak wąż obwijasz go pierścieniami niezbląganej ciekawości twojej. O duchy, bracia moi! przybliżcie się do mnie! Do córki lutni przystąpcie, oświećcie ją, albo moją pamięć mi wróćcie. Pokażcie jej boga, lub mi mój przyzmat oddajcie, przez który na niego patrzałem. Spieszcie z pomocą; żalobny hymn księżycy płomień mój przytłumił, wilgoć nocy rozstroiła struny lutni. Słońca nieskończoności jaśnieją tam wysoko odwiecznym swym blaskiem, a ja zaledwie je spostrzegam z po za mgły gęstej, którą ziemia osuła.

D u c h y niebieskie.

Podдай się losowi, duchu bracie! przeznaczenie twoje spełnić się musi. Fatalna ręka poczęła rozbijać twe pęta, ale ty sam rozbity być musisz na ziemi, nim do niebios wrócisz, a wyswobodzenie twoje przechodzić musi przez boleść, trwogę, niewiadomość, zapomnienie, słabość. Takie jest prawo odwieczne, ziemia jest magnese, a ci, co

z niej zrodzeni, bez rozpaczy oderwać się od niej nie mogą. Ziemia jest świątynią pokuty.

D u c h l u t n i.

Otóż ja kocham ciebie, o ziemio! córko miłości i bólu! Czuję, jak płomienny jakiś pociąg wydobywa się z twojego łona, i chciałbym upadający z niemocy objąć cię w uścisku bez miary, i usnąć tak u ciepłego twego łona nie wiedząc, na jakim przebudzę się świecie.

H e l e n a.

Tak, noc jest piękna, ziemia pełna uroku; promienie księżycą słodkimi okrywają ją pieścizny, a jej śpiew rozkosznie z śpiewem gwiazd się łączy. Śpiewaj jeszcze o piękny utworze miłości i bólu! śpiewaj tysiącem twych głosów. Przebudźcie się istoty pożerane pragnieniem nieskończoności. Duchy ziemskie, nadobne sfinksy o skrzydłach z lazuru i purpury! roztwórcie płomienne oczy wasze, zanurcie je w łono kwiatów wonią przesiąkniętą. Leniwa daturo! hymn twój rozpoczynaj, już motyl nocny twój kochanek płasza dokola uspiętej twojej korony. A ty barwinku! podnieś ociężałą głowę i nie czekaj, aż wietrzyk tobą wstrząśnie, by wraz z nim zanucić. Rozpoczynaj twoje poema o słowiku natchniony! nie scierp, by lkania sowy wyprzedziły ciebie. A ty strumieniu! zamrucz pomiędzy skałami, a twoje kwiczące brzegi niechaj powtórzą twe pienie na nutę radości, żądzy, miłości i niepokoju. O jakże ty cierpisz ma duszo! Jak gwiazdy daleko, a ich głos jak skąpy! O ziemio! ja kocham cię także. Kiedyż ja umrę o boże! Boże! gdzie jesteś? Kiedyż skruszysz tę lutnię? Duchu, duchu lutni! kiedy ja ujrzę cię, kiedy wyswobodzeni będziemy?

D u c h.

Ty mię nie kochasz, córko śmiertelnych! Ty myślisz tylko o bogu, tylko do nieskończoności wzdychasz.

Albertus.

I zastanawiałem się, ale przede wszystkim potrzeba by zrozumieć muzykę. Słucham lutni, uważam na Helenę, staram się zdać sobie sprawę z doznawanych wrażeń, ale tak je odmienne od twoich znajduję, że nie śmiem nic stanowczego wyrzec. Usiłuję schwycić znaczenie tych umiejętnych melodyj, lecz wyznaję, że dotąd nic zrozumieć nie mogłem, coby mię oświeciło dostatecznie.

Hans.

Jakto mistrzu! i nic nie czuleś także?

Albertus.

Czulem dziwne wzruszenie, którego nie mogłem rozebrać i określić, podobnie jak muzyki, która je wywołała.

Hans.

Nie zdało ci się, że ta muzyka wyraża myśli, obrazy i uczucia?

Albertus.

Raczej uczucia aniżeli myśli, raczej obrazy aniżeli uczucia.

Hans.

Ale jakie obrazy!

Albertus.

Obrazy niepewne okazałości nieskończonej, nie dającej się schwycić.

Karl.

Co ci jest kochana Heleno? Czemu tak szukasz z niespokojnością?

Wilhelm.

Nie spodziewaj się odpowiedzi, ona cię nawet nie słyszy.

Albertus.

Może mnie posłyszysz dzisiaj. — Czemu żądasz Heleno?

Helena.

Kto mówi do mnie? Ty?

Albertus.

Ja, twój brat.

Helena.

Mój brat nie z tego świata.

Albertus.

Twój ojciec.

Helena.

Ani mój ojciec także.

Albertus.

Twój przyjaciel.

Helena.

A! mój przyjaciel filozof! Słuchaj! Tyś człowiek uczony, znasz tajemnice przyrody. Mów do tego strumienia.

Albertus.

Cóż mu mam powiedzieć?

Helena.

Powiedz, niech umilknie, bym mogła słyszeć ową muzykę z góry....

Albertus.

Jaką muzykę?

Helena.

Nie mogę ci powiedzieć. Ale możesz nakazać strumykowi, by się zatrzymał. Ten wodospad śpiewa za głośno.

Albertus.

Napróżno nakazywałbym wodzie, by swój bieg wstrzymała; bóg tylko żywiłom rozkazywać może.

Helena.

Nie umieszże ani jednego słowa z języka bożego?

Albertus.

Dziwna dziewczyna! Jej szaleństwo pełne jest nieznaney poezyi.

Hans.

Lutnia zawieszona na gałęziach tej wierzby. Czy chcesz, bym ci ją podał Heleno?

Helen a.

Spiesz się; strumyk sztydzi z filozofa, coraz wyżej głos podnosi.

(Hans podaje jej lutnię)

Albertus, na stronie.

Nie spostrzega, że dwóch strun brakuje.

Helen a.

Strumieniu! słuchaj i poddaj się!

(Dotyka lutni. Za pierwszym akordem strumyk się wstrzymuje)

Albertus.

Jakiż to cud nowy! Czy widzicie? Wodospad wstrzymuje się nieruchomy, zawieszony u skały jak frenzle z kryształu.

Helen a.

Płyn, płyn piękny strumyku! ale śpiewaj półgłosem.

Wilhelm.

Strumień płynie znowu, ale ostrożnie, jakby się lękał przebudzić kwiaty na brzegach jego uspione.

(Helen a gra na lutni)

Duch lutni.

Ziemia uciszona ze czią oczekuje na głos księżycy spoglądającego na jej ściemnione oblicze. Słuchaj o córko lutni! ciał niebieskich dowiedz się tajemnicy. Oto z głębi horyzontu ponad ciemne krzaki wydobywa się głos słaby ale dziwnej czystości, i z lekka rozplywa się w powietrzu, wzmagą się, wyżej ulata, w wyraźniejszej roz-

chodzi się nucie; srebrzysta tarcza zawiesza się nad całym ziemi, ziemia zadrgała; przestwór napelnia się harmonią, drżą listki na drzew wierzchołkach. Błady promień wiśka się w szczeliny lasów, zielone łąki zalewa; fale harmonijnych westchnień przesuwały się po mchu srebrzystym, potoki łez melodyjnych perłami spływają w rozkwit kwiatów kielichy. Cicho ptaszkiwie leśni! Cicho owady murawy, zwińcie dzwięczne wasze skrzydełka. Szczebiotliwy strumyku! nie trącaj tak miarowo o kamyczki twego łoża! Cicho trzciny powiewne! nie szeleście tak ciężkiem liściem waszem, rośliny nadbrzeżne! Swawolna wodna ptaszyno! nie macie tak zwierciadła, w którym księżyc przejrzeć się pragnie. Słuchajcie wszyscy, co on wam śpiewa, a odpowiecie mu wtedy, gdy was przeniknie głosem swoim i światłem. Napawajcie się w milczeniu smętną jego skargą, ławym jego blaskiem; z bojaźnią, z miłością pochylcie czoła wasze przed lotem białych aniołów, co na promieniu jego spływają, i tak czekajcie, pokąd nie dotkną was końcem wonnych skrzydeł swoich i pokąd nie powierzą z cicha każdej ptaszynie, owadowi i wodnej fali i listkom gałązek i wszelkiemu kwieciu, źdźbłu trawy temat wielkiej symfonii, którą tej nocy ziemia gwiazdom ma odśpiewać.

Hans.

I jakże mistrzu, czy ta muzyka nie przenawia do twojej duszy?

Albertus.

Nie potrafiłabym przemówić do mego rozumu. Porusza ona we mnie niewiem jakie instynkta rozpamiętywania; jakim sposobem, tego powiedzieć nie umiem. Nie potrafiłbym wytłumaczyć, ani co słyszę ani czego doznaję, a jednak całą uwagę natężam.

kiemi ludy, drapieżnymi zwierzęty, jaką poetyczna historia jej przypisuje?... proste wrażenie czyż może tak potężne skutki spowodować, jakkolwiek obnażone z alegoryi naturalnemi się wydadzą?... Zkądże pochodzi, że tego muzycznego języka zrozumieć nie mogę? Od dwóch miesięcy gorliwie się uczę zasad muzyki a szukanej tajemnicy wyjaśnić nie mogę. Arytmetyczny rozkład tylko znalazłem, nic więcej... Lutnia Adelsfrejta w istocie ma struny z różnorodnych kruszców; oto dwie z czystego złota... Nieskończoność!... Wiara!... Pojęcie i Miłość!... słowa, jakich Hans i Wilhelm używają, by wyrazić myśl hymnu wzbijającego się co rana z tej lutni, gdy ją Helena piastuje... Odejmę te dwie struny, a jeśli się zmieni harmonija, jeżeli inne znaczenie będzie w niej można rozpoznać, uwierzę, że pomiędzy dźwiękami a myślą styczność zachodzi może... (Próbuje odjąć dwie złote struny z lutni) Co na tem zależy Helenie, czy lutnia siedm czy pięć strun mieć będzie? Jej palce rzadko się już dotykają... O Adelsfrejcie! czyż Helena duszą, którą twój duch w tę lutnię wcielony ma upłodnić? Helena jest piękną natchnioną, ale nie wyższym umysłem. Wszystko jej obce, co stanowi umiejętność człowieka; dusza jest otrętwiała w pewnym rodzaju beczucia; a jej natchnienie liryczne jest niezauważanym dotąd fenomenem owego stanu otrętwienia, który dzisiaj magnetyzmem zowią, słowem, nowem, ciemnem, nieokreślonem jak stan, który oznacza... Nakoniec Helena nie mogła w beczynności, w jakiej uspione umysłowe jej władze, wznieść się do szczytów metafizyki, gdy ja, który od lat trzydziestu nad rozszerzeniem mych pojęć pracuję, nie mogę tej tajemniczej algicbry rozwikłać... Przekłęta struna, co się zerwała! Jakaż żałośna skarga wydobyła się z łona lutni! krew się ścięła w mych żyłach... Ach! biedny mój umysł strudzony,

może się nawet niebawem pomiesza... Mózg w jednej godzinie wysiła się więcej na urojeniach, aniżeli przez rok cały idąc za przewodniczą loiki nicią... Także też, po co napowietrzne zamki budować? Czyż słowo ludzkie, ta boska własność odróżniająca człowieka od zwierza, co najtrudniejsze zadania jak dzień jasnemi czyni, językiem podrzędnym bydźby miało, a śpiew słowiczy językiem nieskończoności! Przeklęte przerośnię artystów i poetów, wy tylko sąd obłąkujecie! (Druga struna złota pęka w ręku Albertusa) Znowu! Ta żałośna skarga rozdziera mi duszę! Jakież wpływ potężny wzruszenia nerwowe nad mózgiem mogą wywierać! Fatalna i niebezpieczna potęgo! mędrzec powinien się mieć na baczności przeciwko tobie... Sztuki powinnyby bydź wygnane z rzeczypospolitej idealnej... Nie! Nie! dźwięki nie są myślami... Muzyka najwięcej jeżeli czucie oddać może... i to jeszcze bardzo niedoskonałe i niepewnie.

Teresa, wbiegając.

Mistrzu! Helena się przebudziła; z niespokojnością szuka swej lutni.

Albertus.

Odniosę ją zaraz. (Na stronie). To jedyna uciecha tej biednej istoty... Oddam lutnię i słuchać jej więcej nie będę. (Do Wilhelma, Hansa i Karla zbliżających się z przeciwnej strony.) Moje dzieci! loika rządzi wszechświatem, a co przez nią wykazanem nie jest, nie może wnijść jako pewność do przekonania naszego.—Przygotujcie wszystko do lekcji, za chwilę do was powrócę.

(Wychodzi).

Hans.

Zdaje się, że dobry jego gieniusz przemógł.

Karl.

Bydź może; ale cała jego postać dziwnie zmieniona. Założyłbym się, że się kocha w Helenie, a zakochanym i filozofem razem bydź nie można.

Wilhelm.

Nie mówmy lekko o tym człowieku. On cierpi, ale jego dusza próbami wzmoże się jeszcze.

(Wychodzą).

Mefistofeles.

Wyśmienicie! Ja mu się o takie postaram, że się im oprzeć nie potrafi. Kiedy Helena do mnie należeć nie może, kiedy duch tryumfuje, nienawiść moja cała spadnie na filozofa, a dusza jego będzie lutnią, którą rozbić potrafię.

AKT III.

STRUNY SREBRNE.

S c e n a I.

(Nad brzegiem wody).

Albertus, Hans, Karl, Wilhelm, Helena
siedząca nad brzegiem strumienia, trochę opodal.

Albertus.

Słońce już zaszło, chłód wieczorny uczuwać się daje. Czasby było odejść Helenie. Roztropność każe nie przedłużać zanadto tej pierwszej przechadzki.

Wilhelm.

Chwilkę jeszcze, kochany mistrzu! Wieczór tak piękny! Niebo płonie ogniem zachodu. Helena zda się kosztować jakiejś błogości, której na twojem miejscu przeżywałbym nie śmiał.

Karl.

Od dwóch lat nie widziałem jej tak dobrze, jak tego wieczora. Cera jej spokojna, wzrok słodko przymglony. Nie odpowiada jeszcze na zapytania nasze, ale je słucha i słyży. Pewny jestem, że wyzdrowieje i wkrótce piękne swoje widzenia opowiadać nam będzie. — Hans! i ty myślisz podobnie? Uważałeś, że przez dzień cały mniej była roztargnioną jak zwykle? Rzecby można, że czyni wielkie wysilenie wewnętrzne, by do życia rzeczywistego powrócić.

Albertus.

Próbowałem wczoraj uspokoić jej umysł naprowadzając go na myśl o bogu. Słuchała mię uważnie, a jej spojrzenia, krótkie odpowiedzi dowodziły, że zrozumiany byłem. Lecz gdy mówić przestałem, wicież, co mi odpowiedziała? — „Wiedziałam to wszystko, jednym słowem mogła się wyrazić.“

Hans.

Jakież to słowo być miało? Czyli je powiedziała?

Albertus.

Miłość.

Wilhelm.

O mistrzu! Helena nie jest szalona! Ona natchniona tylko.

Albertus.

Tak, ona jest poetą. Jestto rodzaj szalu — szalu szczytnego, którym chciałbym być dotknięty na chwilę, bym go mógł poznać i wiedzieć prawdziwie, gdzie się kończy natchnienie a choroba poczyna.

Hans.

Kochany mistrzu! czyż nasze długie rozumowania nie złagodziły wyobrażeń twoich w tym względzie? przecież przyrzekłeś mi głęboko zastanowić się nad tem.

Patrz, jak ziemia jest piękna i jak słodko na jej łonie żyć w niepamięci na przyszłość, w rozważaniu teraźniejszości, we łzach miłości, w rozkoszach wczasu. Kochaj, kochaj, co do ciebie należy! Bóg może nie kocha ciebie, może nigdy do ciebie należeć nie będzie.

H a n s.

Ręce Heleny strun znowu szukają. Czy uważasz mistrzu! że dzisiaj gra więcej i zdaje się zawiązywać rozmowę z ową niewidzialną potęgą odzywającą się z lutni.

A l b e r t u s.

Zdaje mi się, że wpadłem na ślad naturalnego wytłumaczenia cudu. Ta lutnia musi być rodzajem echa. Jej sztuczny układ czyni ją zapewne zdolną do odbijania tonów wydanych przez rękę struny poruszającą.

W i l h e l m.

O mistrzu! Więc ty nie słuchasz? Dźwięki wydobyte ręką Heleny i te, które potem odzywają się same, nie z sobą nie mają wspólnego. Są to zupełnie odrębne melodie, ale, że nie zmieniają tonu ni ruchu, nie oceniasz ciągłej różnicy wyrazu.

A l b e r t u s.

Bez wątpienia barbarzyńcą bydy muszę.

H e l e n a, grając na lutni.

„Nigdy może!” Jakież to zastrasające słowa! Czy podobna wyrzec je i nie umrzeć! Ach! gdyby człowiek mógł powiedzieć *nigdy!* w tej chwili żeby przestał! *Może!* oto smutny temat, który bez przerwy powtarzasz o ziemio nieszczęsna! W najpiękniejszych twych dniach słonecznych, w najśłodszych gwiazdzystych nocach twoim nieustannym hymnem jest ciągle wzdychanie do nieznanego dobra. Także też pan bóg krótkiem uczynił istnienie istot z ciebie poczętych, gdyż przemożne jest owe

pragnienie; a gdyby życie człowieka dłuższy kres miało, rozpacz owaładłaby duszę, zużyła jego potęgę nieśmiertelności. O księżycu! na twój widok oblicze ziemi łzami się okrywa, a z jej łona żałośna wydobywa się skarga; gdyż twoje blade widziadło, przeznaczenie tajemnicze, zdają się napępniać sklepienie niebieskie jednym krzykiem cierpienia i obawy: „*Nigdy może!*”

Hans, do Albertusa.

Mistrzu! coś smutny się stajesz? Ten śpiew wzruszył cię przecież?

Albertus.

Przykro mi, sam nie wiem dla czego.

Wilhelm.

A mnie on duszę rozdziera.

Duch Lutni.

Heleno, Heleno! przyjdź do siebie, odgoń marne te strachy. Przyroda jest piękna, a opatrność dobra. Pocóż wdychać ciągle do niedostępnego świata? Poco myśleć o jutrze, gdy dzisiaj szczęście dać może? Jeżeli chcesz wstąpić w życie czysto duchowe, wysil się, przemoż się, abyś losowi uległa być mogła.

Duma człowieka nie chce się nigdy nakłonić do świętej niewiadomości, w której wegetuje tyle tworów spokojnych, jakimi świat jego jest napępiony. Patrz córko lutni! jak piękne te kwiaty, słuchaj jak melodyjny głos ptasząt, wciągaj w siebie wszystkie te wonne wyziewy, otwórz ucho dla całej tej czystej harmonii ziemi. Ktokolwiek jest twórcą i panem tych rzeczy, myśl miłości przewodniczyła mu przy ich tworzeniu, gdy je obdarzyła pięknnością i harmonią. Rozważać te cuda dosyć już szczęścia. Grzeszy niewdzięcznością, kto jest nieczuły na tyle czystych rozkoszy.

Mefistofeles.

Oto że zarówno uczony jak i artysta winien się potonności. W chwili, gdy miłość umiejętności i sztuki w samolubstwo się zmienia, człowiek poświęcający korzyść drugich ludzi własnemu zadowoleniu, w własnym swoim dziele ukaranie znajduje. Zostaje ono zagrzebane, zapomniane, bez użytku na długie wieki, sława jego nieknie we mgłach otaczającego ją przesądu; i za to, że zaniedbał objawić się swoim współczesnym, skazany jest na wydobycie się z kurzu zapomnienia jedynie przez zmysł prosty, korzystający z jego odkrycia, przywłaszczający sobie jego wziętość.

Albertus.

Podoba mi się ten wywód, wiedziałem, że nie takim jesteś, za jakiego uchodzić chcesz niekiedy.

Mefistofeles.

Kiedy mi tyle czynisz zaszczytu, korzystając z mojej rady, nie zaniedbaj zbadania tajemnicy okrywającej jeszcze własności tej magnetycznej lutni. Bądź pewny, że pomiędzy nią a szaleństwem wychowanki twojej Heleny zachodzi stosunek, który wyjaśnić i dać poznać, jest powinnością twoją. Inaczej, niedołężny motloch użyje tego naturalnego czynu na utwierdzenie przesądów swoich. Rozejdą się wieści, że w twoim domu dzieją się szatańskie sprawy, a milczenie twoje uświęci tysiączne baśnie, o których już napomykają. Magia wyszła już z mody, ale nie z upodobania ludu; a umysły, odznaczające się, pod inną nazwą lubią wskrzeszać te stare brednie w mniemaniu, że coś odkryli nowego i wyszli z poprzedniej rutyny filozoficznej.

Albertus.

Masz słusność. Najlepsi moi uczniowie pierwsi chwytają się tych nadzwyczajności. Będę dalej doświadczał, a

na rozpoczęcie.... odejmę te dwie struny srebrne, ale z wszelką ostrożnością, bym zakładając je później, zobaczył, czy Helena śpiew dzisiejszy ponowi.

Mefistofeles.

Tylko z lekka kolki odkręcaj...

(Albertus dotyka pierwszej struny srebrnej, która pęka natychmiast.)

Albertus.

O nieba! już zerwana! Zdaje się, jakoby sama chęć moja dostateczną była bez pomocy ręki!

Mefistofeles.

Uprzedziłem ciebie. Ten instrument nadzwyczaj jest delikatny. Sympatya nim włada.

Albertus.

Jakże nagle niebo ściemniało!... Patrz panie Jonatasz! księżyc skrył się za chmury, burza wre już nad naszymi głowami.

Mefistofeles, śmiejąc się.

Zapewne to jest skutkiem pęknięcia owej struny. Nie radzę ci drugiej dotykać.

Albertus.

Masz mię za dziecko, jak widzę. Będę ten kolek odkręcać tak ostrożnie....

(Za pierwszym pokręceniem struna pęka).

Mefistofeles.

Pokręciłeś na opak. W istocie zręcznyś jak filozof!

Albertus.

Jakiż krzyk żalośny wydobył się z łona wody! Nie słyszałeś go mości Jonatasz?

Mefistofeles.

Dźwięk pękającej struny rozdrażnił nerwy drzemiącego w trzcinach kulika.

Albertus.

Jaka straszna burza! topole jak trzciny chylą się do ziemi.

Mefistofeles.

Zanosi się na nawałnicę. Dobra noc mistrzu Albertusie!

Albertus.

Ty mię opuszczasz? Wytłumacz mi pierwej, czego doznaję w tej chwili? Nieprzewyciężona jakaś zdejmuję mię trwoga, pot płynie mi z czoła... Ach! nie naśmiewaj się z utrapienia mego! Chętnie przyjmę cierpienie, upokorzenie nawet, byleby tylko mój umysł mógł się oświecić i uczynić choćby krok jeden do poznania prawdy.

Mefistofeles, parsząc głośnym śmiechem.

Prawdą jest to, że jesteś wielkim filozofem, i że boisz się diabła.

(Pokazując się w właściwej swojej postaci. Albertus wydaje krzyk i pada zemdłony).

Mefistofeles.

Teraz pozbawiony wszystkich strun, które opiewały chwałę lub dobroć jego pana, duch w moc moją dostaje się nakoniec. Próbujmy rozbić lutnię. Helena umrze, a Albertus będzie szalony.

(Chce rozbić lutnię).

Chór Duchów niebieskich.

Wstrzymaj się przekłety! Nie masz mocy nad nią. Bóg opiekuje się tem, co ty prześladujesz. Nasyłając na sprawiedliwych cierpienia, do doskonałości ich zbliżasz.

(Mefistofeles ulatuje i znika w mgle wodnej.)

Scena IV.

Albertus, przychodząc do siebie powoli.

Co za okropne widzenie! Widziałeś je panie Jonatasz? Była to ohydna mara. Jej trupie oblicze wszelkiem cierpieniem przewrotności wykrzywione. Uśmiech pełen goryczy, widomy tryumf nieubłaganej nienawiści roztwierał skośnie jej wargi; a w jej spojrzeniu ujrzałem naraz całą zajadłość niesprawiedliwości, całą przebiegłość nicości, całą krwiożerczą wściekłość rozpacz, wszelkiej nadziei pozbawionej! Co to jest za nieszczęsna istota, której widok przeraża, której spojrzenie rozdziera? Powiedz Jonatasz, znasz ty ją?... Ale gdzież stary żyd się podział? Jestem sam, sam w ciemnościach!... Włosy mi powstały na głowie!... Ach! jakaż mię słabość owdadła? Jakaż boleść na pierś mi spadła i rozbiła ją, jak młot kruche szkło rozbija?... (ujrzawszy lutnię u nóg swoich) Ach! przypominam sobie, podniosłem raz jeszcze dłoń moją bezbożną na tę świętą relikwię, powierzoną mi przez umierającego przyjaciela, spuściznę pobożnej dziewczyny. Chciałem zniweczyć to arcydzieło artysty, jedyne źródło uciechy biednej Heleny. Ta lutnia zawiera w sobie tajemnicę, którą szanować byłem powinien, lecz obłąkała mię moja pycha zawistna, że języka lutni nie mogłem zrozumieć, i przewrotne rady złośliwego żyda... Biedna Heleno! cóż ci pozostanie, jeżeli nie będziesz mogła opiewać potęgi i dobroci wszechmocnego? Zbrodnia moja, karą moją jest razem. Te same struny, które w lutni zerwałem, zerwane są także i w mojej duszy. Od wczoraj myśl nieskończoności zamglila się we mnie, gorzkie zwątpienie umysł mój owdadło, i ufność w bogu osłabła wraz z wiarą moją. Gdy Helena patrząc w twarz księżycy wygłaszała swoje natchnienia, zdawało mi się, że

wkrótco potrafię zrozumieć tajemnicę jej dziwnej poezyi. Przyroda cała upiększała się w mych oczach; i gdy głęboka smętność mię owładła, znajdowałem w niej nieznanym powab, czystą rozkosz, której przedtem nigdy nie śmiałem się oddać. Tak, pojmowałem, co w wątpliwości religijnego, w dumaniu boskiego być może... dzisiaj, cały ten świat poetyczny już runął. Głos rażący cisnął wykrzykiem przekleństwa na ziemię strwożoną. Księżyc nie zalewa już zielonych łąk miękką swoją jasnością, a owady w murawie ukryte, tajemniczą swoją nutą nie przerywają uroczystej ciszy nocy. Słychać tylko piskliwy głos sowy ulatującej ku stronie cmentarza, przeciągłe strumyka łkanie, jak gdyby jego Najada kaleczyła delikatne swoje członki o ostre jego kamienie; wiatr gniewnie liśćmi szamocze, kwieciami po żwirach miecie; gady syczą, ciernie się jeżą pod stopami memi. Nic już nie śpiewa, tylko płacze wszystko; i zdaje mi się, że zakłóciłem ciszę tej pogodnej nocy, wywołując rozpacz za pomocą jakiegoś mnie samemu nieznanego czaru!... O mój boże! czemuż znikomej mądrości poświęciłem najśłodsze życia mego wrażenia? po cóż ten cierpki opór, gdy nowe przeznaczenie otworzyć się mogło przedemną? Czemuż nie uległem pociągowi, co mię porywał w wir młodości, miłości, piękności? Helena kochałaby mię może, gdybym zamiast obłąkiwać jej umysł w bezdrożach rozumowania, pozwolił mu bujać swobodnie po urojenia krainach, w które go jego rozpęd porywał. Może jej poezya tyle w sobie zawierała loiki, ile umiejętność moja. Onaby mi nową stroną oblicza bóstwa mogła okazać i ideał w świetle jaśniejącem... Dotąd bóg mi się udzielał tylko przez pracę, niedostatek, boleść; a mógłbym go w upojeniu radości w sercu mojem piastować!... Przynajmniej tak mówią oni, tak mówią wszyscy! i szczęśliwymi się mienią ci poci, i lzy

ich jeszcze są szczęściem, gdyż uronione w zachwycie. Lasz spokój przedstawia im obraz martwoty, a istnienie nasze nicością jest w ich oczach!... Któż mię przekonać potrafi, że jestem na drodze bogu milej jedynie? Nie posiadałem ja także zdolności do poezyi? Czemuż, jako dążność niebezpieczną, zaparłem ją na powrót do mojego łona?... I ja też człowiekiem być mogłem... I ja mogłem kochać także...

Scena V.

Hans, Albertus.

Hans.

Niespokojni jesteśmy o ciebie kochany mistrzu! deszcz padać zaczyna, nawałnica grozi. Chciej się wesprzeć na mojem ramieniu, gdyż noc jest ciemna, a ścieżka spadzista.

Albertus.

Hans! powiedz mi mój synu, czy szczęśliwy jesteś?

Hans.

Bywam nim niekiedy mój kochany mistrzu! ale. zbytnie nieszczęśliwym nigdy.

Albertus.

A twoje szczęście wypływa ci... z mądrości? z nauki?

Hans.

Po części; wypływa także z poezyi, z miłości zaś najwięcej —

Albertus.

Jesteś kochany?

Hans.

Nie mój mistrzu! Helena mię nie kocha, ale ja ją kocham, i to mię czyni szczęśliwym, chociaż i cierpienie przynosi.

Albertus.

Wytłumacz mi tę tajemnicę.

Hans.

Mistrzu! miłość czyni mnie lepszym, podnosi, zapala mą duszę, i czuję się bliższym boga, kiedym poetą i zakochanym.... Ale spieszmy kochany mistrzu! deszcz się wzmacza, droga będzie trudniejsza, a ty więcej niż zwykle znużony bydziesz zdajesz.

Albertus.

Czuję jakąś niemoc... Zdaje mi się, że zniechęcony jestem!...

AKT IV

STRUNY STALOWE.

Scena I.

(Na wielkiej wieży katedry)

Albertus, Helena.

Albertus.

Wstrzymajmy się tutaj moje dziecię! ten chód szybko utrudzić cię musiał.

Helena.

Nie, chcę iść wyżej, coraz wyżej.

Albertus.

Nie możesz wniść na szczyt katedry. Wschody są niebezpieczne a ciąg powietrza za ostry dla ciebie.

Helena.

Chcę iść wyżej, jeszcze wyżej, coraz wyżej, aż pokąd lutni nie znajdę. Złośliwy duch ją porwał i uniósł na sam szczyt tej wieży i złożył na rękach złotego archanioła, co tam błyszczy na słońcu. Ale ja pójdę po nią;

ja nic się nie boję. Lutnia mię przyzywa (chcę się rzucić na wschody.)

Albertus, zatrzymując ją.

Wstrzymaj się kochana Heleno! Twój szal omamia ciebie, lutni nikt nie porwał. Ja ją wyjąłem z pod twego wezglowia, by ci grać na niej przeszkodzić. Wróć tylko do domu, a zaraz ci ją oddam.

Helena.

Nie! nie! ty mię zwodzisz. Tyś się porozumiał z żydem Jonataszem, by lutnię męczyć i mnie śmierć zadać. Żyd ją zaniósł tam wysoko. Pójdę ją odebrać; jeżeli śmiesz, chodź za mną.

(zaczyna wbiegać na wschody).

Albertus, pokazując jej lutnię ukrytą pod płaszczem.

Heleno! Heleno! oto ona, patrz na nią! Wróć się na imię boga! pozwolę ci grać, ile zechcesz, tylko zejdz z tych szczebli, gdziebyś zginęła niechybnie.

Helena, wstrzymując się.

Daj mi lutnię, i niczego się nie bój.

Albertus.

Nie, dam ci ją tutaj. Wróć się. O nieba! nie śmiem puścić się za nią. Lękam się, by w pośpiechu, w usiłowaniu ucieczki nie zleciała z tej wieży.

Helena.

Mistrzu! wyciągnij rękę i podaj mi lutnię, albo nigdy na powrót nie zstąpię z tych wschodów.

Albertus, wyciągając do niej lutnię.

Oto masz ją Heleno! A teraz wesprzyj się na mojem ramieniu i schodź ostrożnie.

(Helena chwyta lutnię i szybko wbiega po wschodach aż na sam szczyt wieży)

Albertus, spiesząc za nią.

O nieba! O nieba! Spadnie, zgubiona! O ja nieszczęśliwy! do czegoż posłużyły moje zabiegi? tylko do przy-

Ach! po cóż starać się bez ustanku przedrzeć zasłonę oddzielającą cię od ideału, kiedy się można rzeczywistością nacieszyć? Chodź ze mną moja siostró! Moje skrzydła cię otoczą, na szczyt gór zaniosą. Szybkim lotem przesybujemy po nad kobierce różnobarwnych kwiatów, któremi łąki utkane, po nad przejrzyste strumienie, po nad piany wodospadów, zwilżymy srebrne szaty nasze po nad falami jeziora, i przemkniemy po piasku nadbrzeża nie zostawiając na niem śladu kroków naszych. Zawisniemy na gałązkach wierzby i ustroję jasne twoje warokocze w lazurowe owady, żywe szafiry, co po jej płaczących płasają uplotach. Uwiję ci wieniec z wonnego kwiecia, które będziemy zbierać po owych śliśkich skałach, których stopa ludzka nie dotknęła nigdy, pomiędzy przepaście i wiry, od których łodzie stronią trwożliwie. A potem na młode wbiegniemy zboża, a ich jasne głowy nie ugną się pod lekkimi stopy naszemi; wdramy się na wzgórze, szybsi od jelenia, od losia. Prześliżniemy się przez owe wielkie zarośla, gdzie jarząbek, gdzie pardwa kryją swe gniazdka w nieprzystępnych ustroniach; jak wielkie orły wzbijemy się pod nad granitowe cypłe, gdzie luk, gdzie proca dosięgnąć nie może; w locie prześcigniemy orły i spoczniemy na owych obeliskach z lodu, gdzie sama nawet jaskółka nie śmie lekkiej swej stopy postawić, a ztamtąd patrzeć będziemy na gwiazdy w czystszej atmosferze i jednym rzutem oka obejmujemy przestwór konstelacyj niebieskich. A wtenczas spuszczaając wzrok nasz na tę ziemię tak piękną, z której tak tkliwa harmonija wzbija się bez ustanku, i spoglądając na przestwór firmamentu, odpowiadającego jej nutą nadziei tak słabą ale tak słodką zarazem, uczujesz, jak się rozplwać będzie twa dusza, płynąć lży twoje; gdyż pojmiesz, że

jeżeli bóg wiedzy ludzkiej położył granice, za to myśli jego dał zmysł pięknego, a temu zmysłowi niewyczerpany żywioł rozpatrywania się w szczytnem dziele jego.

Helena.

Tak, to jest najwyższa rokosz człowieka, i ja pozdrawiam, uwielbiam, kocham ciebie, o ziemio, wspaniałą opatrności utworze! i ty mię miluj także o płodna moja matko! miłuj wszystkie dzieci twoje, przebac im trawiące ich nudy, niecierpliwą chęć opuszczenia ciebie. Dzieci twoje są smutne o matko cierpliwości pełna! ty ich obsypujesz twojemi dary, a one ich nadużywają; ty im tysiączne stwarzasz rokosze, a one pogardzają niemi. Tyś ich poczęła, ty im dajesz pokarm z twojego łona, a one taką odpłacają ci skargą: „O matko nietościwa! dałaś mi życie a ja pokoju pragnąłem. Zaledwie życiem cieszyć się zaczynam, a ty już otwierasz chciwe twoje łono, by mnie w nieprzebudzonym śnie pograżyło. O macocho! gdyś mnie raz obdarzyła życiem, czemuż śmierć na mnie nasyłasz?

Duch.

Słuchaj mnie! nic nie umiera, wszystko się odnawia i przeobraża. I gdyby nawet myśl twoja nie wzniosła się do tej szczytnej wysokości, z której ją pochodzącą byś mniemasz, jeszczeby cię czekały rokoszne o pogrobowem życiu marzenia. Gdyby nawet istota twoja na zawsze uwięziona na ziemi z jej się żywiołami mieszała, jeszczebyś przeznaczenie swoje miała. O córko lutni! czemuż śmiałaśbyś pogardzać w naturze? Jeżeli pojmujesz piękność wszystkich zaludniających ją tworów, jakież przeobrażenie zastraszać cię może lub niepodość ci się? Niezazdrościłażes nigdy barwnych skrzydełek kolibrowi, pięknego puchu łabędziowi? Cóż piękniejszego nad różę? co nad lilię czystsze? Życie kwiatu jestże niczem? Czy

życie człowieka równie jest słodkie i tkliwe? Czyż znajdziesz choćby jeden wdźwięk zapomniany lub zatracony w tym obrazie bez granic? jedną naukę zbłąkaną lub stłumioną w tej niezmierzonej orkiestrze? Czyż opatrność nie obsypuje swojemi pieśczętami najmniejsze kwiecie jednako jak największego człowieka? Słuchaj, słuchaj! tyś się omyliła. Ów temat, który słyszeć mniemałaś, nie był hymnem zwątpienia i trwogi słuchaj baczniej. Niebo mówi. „Nadzieja.“ „Ufność“ odpowiada ziemia.

Helena składa lutnię i kłęką.

Hans.

Co ci jest kochana sestro? czemuż tak lży spływają po twoich pięknych złożonych dłoniach?

Wilhelm.

Nie przerywaj jej modłów. Ona cię nie słyszy.

Albertus do Heleny, która powstaje.

Czy lepiej ci teraz moje dziecię?

Helena.

Zupełnie mi dobrze.

Albertus do uczniów.

Czas już odejść. Wieczór zaczyna być chłodny; odprowadźcie ją przyjaciele! i polećcie Teresie, by ją co prędzej układła.

Wilhelm

Nie idziesz z nami mistrzu?

Albertus

Nie, czuję potrzebę przejścia się trochę. Niebawem nadejdę do was.

Karl.

Nie zapomnijmy lutni.

Albertus.

Niech tu zostanie, będę o niej pamiętał. Wy zaś zajmijcie się waszą siostrą.

Wilhelm,

Heleno! wesprzyj się na mojem ramieniu.

Helena wspierając się na ramieniu Wilhelma,

Życie jest jedną chwilką.

Karl.

Heleno! pozwól, niech ci mój płaszcz na ramiona zarzucę,

Helena, okrywając się płaszczem,

A ta chwila wieczność w sobie mieści.

Hans.

Nie mogłabyś nam powiedzieć Heleno! o czem myślałaś grając na lutni?

Helena,

Wiem, o czem, ale nie potrafię wytłumaczyć wam tego.

Karl.

Spróbuj; możebyś potrafiła nadać tej improwizacyi nazwę, któraby nam jej znaczenie objawić mogła.

Helena.

Nazwijcie ją jeśli chcecie, *serca losowi uległe*,

Albertus,

A wczoraj?

Helena z przestachem.

Wczoraj? wczoraj!... ach to było... *serca szczęśliwe*; ale dzisiaj już na tę nutę nie mogłam natrafić, już jej nie pomnę.

Scena II.

Albertus, sam.

Niema wątpliwości, ta lutnia jest zaczarowana... Ona rozkazuje żywiołom, podług upodobania włada myślą ludzką; gdyż dusza moja smutkiem zgnieciona, a nie rozumie-

jąc znaczenia tajemniczego śpiewu, boleśnemu i głębokiemu jego wrażeniu uległem.... Zaczarowana!... Czyż to moim ustom wymówić, memu umysłowi przypuścić to słowo przystoi? Zdaje mi się, że się moja istność wyniszcza powoli. Tak, umysłowa moja władza chyli się do upadku i, zamiast walczyć rozumem przeciwko kłamliwej możej o czewistości, przyjmuje ją bez roztrząśnienia, jako czyn dokonany... Może młynarz z tego młyna, który pomiędzy topolami spostrzegam, mógłby mi bardzo naturalnym sposobem dać wytłumaczenie owego cudu wstrzymania wody w jej biegu. Dość było przypadkowego zbiegu pomiędzy chwilą, w której Helena w swym szale rozkazywała wstrzymać się strumieniowi, a oraz chwilą, gdy młynarczyk zamykał śluzę upustu... Nie dawno jeszcze nie wahałbym się i chwili w wynalezieniu powodu temu na pozór nadprzyrodzonemu zdarzeniu, dzisiaj zasmakowałem w zwątpieniu i wyjaśnienia tajemnicy się lękam. Czyżby, wpatrzając się ciągle w dostojne prawdy oblicze, ruchliwy i płochy umysł ludzki miał się nią przesycić nakoniec? Ach gdy taka chwila dla umysłu badawczego nadejdzie, jakże go zastraszać powinna; bo ona jest oznaką życia jego i upadku.

Scena III.

Mefistofeles, wychodzący z pomiędzy wierzb. *Albertus*.

Mefistofeles.

Jeżeli młynarz zamknął śluzę upustu w chwili, gdy Helena uroczyście wymawiała słowa, przypadkowy zbieg tych wydarzeń byłby jeszcze dziwniejszym cudem, aniżeli naturalny wypadek, którego byłeś świadkiem.

Albertus.

Ow żyd znowu! Jak mój cień mię ściga; czy słońce zapada, czy księżyc wschodzi, on w ślad za krokami mo-

jemi... Mości Jonatasz! zanadto się interesujesz zakłopotaniem umysłu mego.

M e f i s t o f e l e s .

Szanowny mistrzu! ja się interesuję wszystkim, nie dziwię się niczemu.

A l b e r t u s .

Więcej postąpiłeś odemnie.

M e f i s t o f e l e s .

Bez wątpienia, gdyż ty wcale nie wiele. Nie slyszalżeś nigdy o styczności dowodzonej przez uczonych a zachodzić mającej pomiędzy dźwiękiem a poruszeniem ciał niektórych? Nie byłeś obecny wykładowi pewnego uczonego, który niedawno temu przedstawił swoim słuchaczom naczynie napełnione wodą, pochylone nad fiolą chemiczną? przystosowując masę wody do siły dźwięku skrzypców, stósował kierunek, pęd i szybkość skrapiania do ruchu smyczka ślizgającego po strunach. Teorya tego sympatycznego czynu długo może będzie rozbierana, ale sam czyn istniał. Możebyś znalazł zadawalniające tego wyjaśnienie w rękopismach, które ci powierzyłem dzisiejszego rana.

A l b e r t u s .

Dałyby nieba, żebym nie był nawet spojrział na te przekłete foliały. Brednie w nich zawarte na cały dzień zamąciły mi głowę.

M e f i s t o f e l e s .

Jednakże mój panie! zrobiłeś doświadczenie, które ci się nie źle udało. Zrywając dwie struny lutni, do tego stopnia zmieniłeś naturę natchnień Heleny, że mało brakowało, byś po raz pierwszy w życiu mógł pojąć muzykę.

A l b e r t u s , na stronie.

Oburzają mię jego drwiny, a jednak ten człowiek zdaje się czytać we mnie. Widocznie posiada on znajomość wielu rzeczy, których ja nie znam wcale. Czemuż

nie miałbym przed nim otworzyć mej duszy? Jego niedowiarstwo mnie się udzielić nie może, a jego umiejętność może mię wywieść z błędnika, z którego wynijść nie umiem. (Głośno) Mości Jonatasz! byłeś więc w pobliżu, gdy Helena grała na lutni? i jej śpiew zrozumiałeś?

M e f i s t o f e l e s .

Doskonale. Opiewała ona w języku filozoficznym stworzenie świata, naturę, jak mówiono w 18. wieku. Pierwsza struna srebrna poświęcona jest przyrodzie, opatrności druga... O! umiem ja na pamięć rękopis Adelsfrejta!... Dzisiaj zerwałeś struny złote, nieskończoność, wiarę, więc bardzo naturalnie, że biedna natchniona na nadziei, na rozpamiętywaniu przestać musiała.

A l b e r t u s .

Ja w jej śpiewie dostrzegłem zwątpienie i smętność, z których bolesne wrażenie w mej duszy utkwiło.

M e f i s t o f e l e s .

Niech cię to nic niepokoi. Gdybyś odjął dwie srebrne struny, zupełniebyś co nowego usłyszał.

A l b e r t u s .

A gdybym odjął stalowe?

M e f i s t o f e l e s .

Lutnia śpiewałaby znowu inaczej; i z czasem potrafiłbyś tak czytać w muzyce i poezyi, jak teraz czytasz w słowniku Bayla.

A l b e r t u s .

Tak sądzisz?

M e f i s t o f e l e s .

Pewny jestem. Poradź się rękopisu, wróciwszy do siebie.

A l b e r t u s .

Więc dobrze, i to jeszcze spróbuję. Ale będę się starał, żeby struny nie pękły, jak się to stało z dwoma pierwszymi.

Mefistofeles.

Zapewne! lutnia jest zaczarowana i mogłaby nieszczęście sprowadzić! Nieuczujeszże już gorączki od pewnego czasu?

Albertus.

Jakaż uciechę znajdować możesz w szydzeniu z umysłu szczerego, który z ufnością na tobie polega?

Mefistofeles.

Nie szydę bynajmniej. Nie powiadałże ci nigdy Mejn-baker, ojciec twojej Heleny a następca w prostej linii sławnego Adelsfrejta, iż ten czarownik w dzień właśnie swojej śmierci ostatniej do lutni dołożywszy ręki, tak się rozmiłował w swoim arcydziele, iż począł prosić wielowładnego pana z góry... papieża gwiazd...

Albertus.

Jakież dziwołagi prawisz? Mejn-baker miał głowę nabitą nadprzyrodzonymi baśniami; utrzymywał, jakoby Adelsfrejt prosił boga, żeby jego duszę przeniósł w tę lutnię, i że pan bóg na ukaranie, że tak igrał swoim dziełstwem niebieskiem, skazał go na zamknięcie w tem muzycznym narzędziu, gdzie ma żyć, pokąd go nie wyzwoli ręka wolna od wszelkiego grzechu.

Mefistofeles.

I umarł nagle w tej samej chwili, gdy to zuchwałę życzenie utworzył.

Albertus.

Od pewnego czasu umysł jego był obłąkany, dobrowolnie śmierć sobie zadał.

Mefistofeles.

W tem wszystkiem prześliczna alegorya się mieści.

Albertus.

Jaka?

spieszenia jej zguby! (Do Hansa i Wilhelma nadbiegających w tej chwili) O moi przyjaciele! o moje dzieci! patrzcie, na jakie niebezpieczeństwo ona wystawiona....

Helena.

Dajcie mi pokój. Jeżeli jeden z was nogą stanie na tych szczeblach, zlecę natychmiast.

Wilhelm.

Najmądrzej uczynimy, jeżeli zezwolimy na jej zachcenie. Spiesząc z pomocą tyłkobyśmy jej śmierć przyspieszyli.

Hans.

Nie bój się mistrzu! jakiś nią duch kieruje, ona idzie za nadprzyrodzonym popędem. Zostaw ją i nic nie mów do niej. Ja zajdę po cichu z przeciwnej strony, skryję się za owym archaniołem z brązu, a gdyby skoczył z wieży chciała, siłą ją przytrzymam. Ty zaś udawaj, że nie zważasz na nią.

(Wbiega na wschody przeciwne tym, któremi poszła Helena. Albertus i Wilhelm opierają się o balustradę wieży. Helena na jej szczycie usiada na ostatnim szczeblu u stóp posągu archanioła.)

Albertus.

Jaki straszny widok! Zawieszona w powietrzu, bez poręczy, bez podpory na tej wazkiej podstawie, zdołał zawrotowi się oprzeć? O ja nieszczęśliwy! ja będę sprawcą jej śmierci!

Wilhelm.

Mistrzu! samo jej szaleństwo nieprzystępną zawrotowi ją czyni. Uniknie niebezpieczeństwa, ponieważ niema wyobrażenia o niem. Zresztą, patrz! Hans już przy niej, za posągiem ukryty. Hans jest nieustraszony i silny, zimnej krwi w wielkich przygodach, on ją ustrzeże, na-

bierz więc otuchy mistrzu! a nadewszystko spokojnym się wydawaj.

(Helena nastraja lutnię.)

Albertus, na stronie.

Jeżeli braku dwóch strun dostrzeże, kto wie, jakiego czynu rozpaczy może się dopuścić? Ale nie!... nie nie spostrzega... дума, czerpie natchnienie w widoku u stóp jej rozścielonym!

Duch lutni.

O córko śmiertelnych! Patrz na ten obraz blaskiem olśniewający! Przysłuchuj się tej harmonii potężnej!

Helena.

Nie nie widzę, tylko pałające morze pyłu, z którego tu i ówdzie wystają masy dachów ołowianej barwy, czerwone kopuły miedziane przepalone promieniami piekącego słońca! Słyszę tylko niewyraźną wrzawę, jakby brzęczenie olbrzymiego ula, przerywane niekiedy przeraźliwym wykrzykiem lub żałosną skargą!

Duch.

Na co patrzysz, jestto państwo człowieka; to, co słyszysz, jestto gwar ludzkiego plemienia.

Helena.

Teraz wyraźniej już słyszę i widzę! wzrok mój przebija te mgły ruchome i spostrzega ruchy i czyny ludzkie. Ucho moje poczyną przywykać do tego głuchego szmeru i pochwycać słowa i wrzawę człowieczego rodu.

Duch.

Nie jestże to widok czarowny, imponująca harmonia? patrz, jaka jest wielkość, jaka potęga człowieka! podziwiał jego bogactwa tak drogo nabyte, cuda niezmqdowanego przemysłu! Patrz na te majestatyczne świątynie, co jak olbrzymy wznoszą dumne czola po nad niezliczo-

ne masy strojnych albo skromnych mieszkań czolgających się u ich podnóża! patrz na te kopuły jaśniejące płomiennemu zwierciadłu podobne, na te obeliski, wysmukłe kolumny, marmurowe pałace, w których każdej kryształowej szybie słońce zapala dyament tysięcznobarwnego połysku! Patrz na tę rzekę, co jak wąż z lazuru i złota przewija się do koła wielkiego grodu, a mosty z żelaza i granitu, tu zdobne w śnieżne posągi przeglądające się w wodach, ówdzie jakby czarem uczepione do niewidzialnych metalowych sznurów zwieszają się z jednego brzegu na drugi, to w arkadach z twardych i zasadnych kamieni, to jako przejrzysta siatka żelazna nadobnego kształtu, to znowu jako elastyczne kładki kołyszące się wdzięcznie pod ciężarem jeźdźców i wozów! Patrz na te tryumfalne łuki, gdzie jaspis, gdzie porfir, zręczną wyrobioną ręką, posągom wielkich ludzi lub trofeom wojny za podstawę służą! Gdzie spojrzysz, wszędzie znamiona gieniusza i potęgi! tu pomniki zwycięstwa z skrzydłami rozwiniętymi do lotu, tam rumaki z brązu, co się zdają wspinać pod zdobywców dłoń! Patrz na te wodotryski, na gmachy, gdzie umiejętność cuda swoje rozgłasza, na muzea, gdzie sztuka arcydzieła swoje zgromadza, na teatry, gdzie wyobraźnia każdodziennie widzi urzeczywistnione napiękniesze swoje rojenia. Patrz także na tę okiem niezmierną przystań, gdzie nad lasem masztów wszystkich narodów powiewają bandery, i gdzie z kończyn ziemi handel z wymianą swych bogactw przyplywa! Zapuść dalej twoje spojrzenia, patrz na te żyźne nadbrzeża, na te bujne pola kwitnącemi osady zasiane, w wszelkich kierunkach szerokiemi gościncami przerzniete, gdzie wozy pędzą w tumanach kurzu, gdzie bruk iskry sypie pod kopytami szybko nogich biegunów! Patrz na większe jeszcze cuda. Oto wąskie drogi w linie żelaznych szyn wryso-

wane, to wbiegają na wzgórze, to się zanurzają i gubią w łonie ziemi, a po nich z szybkością gromu toczą się ładowne wozy uczeplone rzędem, przenoszące całe masy ludności w przeciagu dnia jednego z jednego pogranicza na drugie, bez innej poruszającej siły, jak tylko słup czarnego dymu! Rzeczy można, że to jest wóz Wulkana, niewidzialnych Cyklopów potężną prawicą pchnięty! Patrz także, jaką nad wodami wywiera potęgę ta para prująca głębie morskie kipiącemi koły, jak ostrze pługa pruje skiby niwy. A teraz słuchaj! te miryady strasznych lub szczytnych harmonij, co się w jeden wielki głos zlewają, potężniejszy stokroć od ryku burzy—to jest głos przemysłu, huk machin, świst pary, stuk młotów, łoskot bębnow, traby wojennych zastępów, mowy krasomowców, melodye tysiąca różnorodnych instrumentów, okrzyki radości, wojny, pracy, hymn tryumfu i siły! Słuchaj i ciesz się, gdyż ten świat jest bogaty, a to plemie zamożne w przemysł i potęgę!

Wilhelm.

O mistrzu! miejsce i godzina natchnęły Helenę! nigdy lutnia nie brzmiała wspanialej, nigdy śpiew nie był tak mężki, tak rozległa i umiejętana harmonia!

Albertus.

Tak, teraz nakoniec mowę lutni pojąłem. Życie po krwi mojej krąży, mózg płonie ogniem zapala. Zdawało mi się, że wzrok mój po za granice horyzontu sięga, żem słyszał głos wszystkich ludów zlewający się z wymownym głosem, wychodzącym z mego własnego łona.

Wilhelm.

Teraz Helena lutni dotyka, zmieni się zapewne rodzaj naszego wzruszenia, słuchajmy bacznie!

Helena, grając na lutni.

Gdzież mię zaprowadziłeś, o duchu? czemuż przyku-

leś do tego miejsca, bym widziała i słyszała to, co oczy moje łzami, serce goryczą napelnia? Ja widzę pod stopami memi tylko niezglębione otchłanie rozpaczy, słyszę tylko jęki boleści bez ratunku i końca! świat ten jest kałużą krwi, leż oceanem! Nie jedno miasto ja widzę, widzę ich dziesiątki, sta, tysiące, widzę wszystkie grody ziemi. Nie jedną prowincję, ale rozliczne okolice, lądy, morza, ziemię całą widzę w cierpieniach i łkaniu! Wszędzie trupy, a dokoła nich łkania żałosne. Mój boże! ileż trupów! Mój boże! ileż jęków boleści!...— O! iluż konających, rozciągnionych na cuchnącej słomie! Ilu zbrodniarzy i niewinnych spolem ostatniego wydają ducha na wilgotnych posadzkach więzienia! O! iluż nieszczęsnych upadających pod ciężkiem brzemieniem, lub zgiętych nad niewdzięczną pracą! Widzę dzieci urodzone w kale, niewiasty, co w nim brodząc śmieją się i tańczą; przepyszne łoża, okazałe stoły, ludzi w gronostajach i purpurze, wszystko zabryzgane kałem; ludy całe tarzające się w kale! Ziemia jest tylko ogromną masą kału, po której strumienie krwi sciekają. Widzę pola bitwy ciepłemi trupami pokryte, i drgające jeszcze w nieładzie rozrzucone ich członki; widzę, jak się pomykają szwadrony kurzem okryte przy odgłosie trąb wojennych. Widzę zbroje błyszczące od słońca, słyszę nadziei i tryumfu pienia; ale słyszę też i jęki ranionych, ostatnie westchnienia konających tratowanych końskiemu kopyty, słyszę złowrogie krakanie sępów i kruków za wojskami ciągnących, widzę powietrze zaćmione ciężkich i posepnych skrzydeł ich lotem. Dla nich dzisiaj zwycięstwo! oni sami tego wieczora zakraczą hymn tryumfu zatapiając w ciałach ofiar skrwawione swe szpony! — Widzę w istocie pałace, ucztę, zbytek i przepych, huczną radość; widzę i słyszę, jak złoto toczy się po stołach, potokiem spływa w szkatuły! Są to

lzy ubogiego, gorzki pot wyrobnika, krew żołnierza, co
po tych stolach spływają, ściekają w te skrzynie . . .

.

Albertus.

Ryt n jest żalobny, melodia rozdzierająca! patrz, jak
Helena cierpi, jak jej twarz pobladła, a ręce około lutni
okręciły się z rozpaczą. O nieszczęsna kaplanko! zapra-
gnęłam wtałenniczonym być przez ciebie w poezję o-
światy. Wieszczko do trójnoga przykuta! mękami opła-
casz zbrodniczą moją ciekawość! O Heleno! zaprzestań
pienia, wróc do nas na powrót!...

Wilhelm.

Mistrzu! Hans czyni nam znak, byśmy ją niewołali.
W bolesnym zanurzona zachwycie zapomina, że ją słu-
chamy. Lękaj się, by się nie ocknęła i nie uczuła za-
wrotu.

Duch lutni.

Czemuż tak rozpaczasz, o córko śmiertelnych? Czyś
zapomniała o opatrności? Nie za jejże zezwoleniem dzie-
je się to wszystko, by ciężkiem doświadczeniem, długo-
trwałą pokutą przyprowadzić ludzi do poznania prawdy,
do zamiłowania sprawiedliwości? Patrz! są przecież ludzie
pobożni, serca prawdziwie czyste. Zbrodnia jednych czy-
liż nie rozbudza cnoty drugich? Z niesprawiedliwości tyra-
nów czyliż nie wyrasta cierpliwość albo zuchwała odwa-
ga ucienięzonych? Patrz, ile szczytnych poświęceń, ile
nieustraszonych usiłowań, ile ewani licznego poddania się
losowi! Patrz na te pewne siebie i wytrwale dłonie uzb-
rające się na wywalczenie swobody; gdy tymczasem, by
nie osłabić ich męztwa, biedni więźniowie stłumiają swe
łkania po za kratami więzienia! Czy widzisz tych przyja-
ciół rzucających się sobie w ramiona? Czy pojmujesz
ostatni uścisk tego, co towarzyszyć ma drugiemu do stóp

rusztowania? Czy pojmujesz ostatnie spojrzenie tego, który z uśmiechem na ustach polstawia swą głowę pod katowski topór.....

Helena.

Widzę zhańbione dziewice, krwawy mord niemowląt, starców na szubienice wleczonych; widzę niewiastę, którą dworacy wloką do pokojów, a która skonała w jego objęciach ze wstydu i rozpacz; widzę małżonka tej niewiasty przyjmującego honor i złoto w zamian za milczenie, całującego rękę księcia; widzę młodą dziewczynę, smaganą różgami na publicznym placu za to, że nuciła piewkę... zniewagę szalenstwem okupującą! Widzę dzieci odrywane od rodziny, od matek, słyszę, słyszę, jak się ojców wypierają! Widzę, jak bohaterów pędzą, jak nakładają cenę na ich głowy; widzę młodych wywlekanych z więzień, bo nie giną dość prędko; zasyłanych pod lody bieguny, z bojaźni, by ich westchnienia nie przebiły murów więzienia, nie doszły do ucha ich braci; widzę wieśniaków, którym żelaznemi hakami wrywają ciało za to, że nie przywdzieli barwy zwycięzcy. Widzę cały naród *) który chce wymazać z powierzchni ziemiokręgu, jak gdyby nie istniał nigdy. Widzę, jak mu zabierają jego naczelników, oswobodzicieli, kapłanów, instytucye, wszystkie jego dobra, strój nawet i imię, by zagładzić ze szczeniem; a świat patrzy i mówi znowu: „Niech ginie!“

Duch lutni.

Widzisz złe widoczne, nie widzisz ukrywającego się dobra. Czemuż nie czytasz w głębi dusz wspaniałomyślnych, przygotowujących dzień sprawiedliwości? Nie dochodzą twego ucha modły wygnańców, pienia niewidzialnej ojczyzny, wywołujące gniew nieba na niesprawiedliwych głowy, miłosierdzie dla słabych, opiekę dla silnych?

*) zapewne Indyanów w Ameryce.

Córko lutni! zamiast się rozwodzić nad przewrotnością i nieszczęściem ludzi, padnij na kolana i wezwij niebios pomocy. Módlmy się razem, połączmy łyzy i modły nasze. Niech miłość nasza gorącością ducha, nadzieją nas obdarzy! Módlmy się! ukorzymy czoła nasze przed tym...

Helena.

Stój! Nie wymieniaj tego, co nie istnieje. Jeżeli złowroga potęga losom ludzkości przewodzi, to jest gieniusz złego, gdyż bezkarność zbrodnię osłania! Co mówisz o opatrności? opatrność niema, opatrność głucha, nic nie mogąca dla ofiar, przemyślna i czynna w wspieraniu zamiarów przewrotności. Przeklęta bądź opatrności! O ty duchu! przestań mówić do mnie. Tyś mi objawił złe, którego się nie domyślałam istnienia, niech milczenie moje karą będzie okrutnych twych nauk; szukaj miłości w sercu, któreś nie rozdarł, żądaj wyswobodzenia od duszy mogącej jeszcze kochać i wierzyć!

(Powstaje. — Albertus wydaje krzyk przestrawu).

Wilhelm.

Nie, nie! Ona nie myśli godzić na swoje życie. Patrz! rzuca lutnię w przepaść i posuwa się ku nam lekko jak jaskółka kryjąca swe gniazdko na starych wież szczytów. O! jakże ona piękna z włosami rozrzuconymi w nieładzie, w białej swej szacie wiatrem rozwianej!

Helena, rzucając się w ramiona Albertusa.

Mój ojcze! uprowadź mnie ztąd, ukryj, zstąpmy do wnętrzości ziemi! nie chcę już oglądać słońca, nie chcę słyszeć żadnego głosu ludzkiego. Niech nikt do mnie nie mówi... Chcę wyrwać moje oczy, chcę się jak kret zakopać, zawrzeć jak poczwarka skrzydlatego owadu.

Albertus.

Heleno! uciekaj odemnie, obarcz mię nienawiścią twoją, ja jestem sprawcą wszystkiego złego... Chciałem odjąć lutni...

Helena.

Nie wspominaj nic o lutni, lutnia już rozbita. Rzuciłam ją na wiatr... Nie ujrzysz jej więcej... Hans, mój bracie! uprowadź mię ztąd... To miejsce sprawia mi zawrót rozpaczy.

Albertus.

Uprowadźcie ją jak najprędzej moje dzieci! ja idę za wami.

Scena II.

(Na publicznym placu)

Gromada Mieszczan.

Jeden Mieszczanin.

Muzyka ustala! Doprawdy, to coś cudownego; od niepamiętnych czasów nic podobnego nie zdarzyło się widzieć.

Drugi Mieszczanin.

Nad czem się tak rozwodzisz sąsiedzie? Czy cukier spadł znowu w cenie?

Stara Matrona.

Cud mój panie! Cud prawdziwy!

Drugi Mieszczanin.

Może zniesiona opłata od kawy?

Matrona.

Nie moj panie! ale archanioł z katedry grał na trąbie.

Trzeci Mieszczanin.

Jaki archanioł? Na jakiej trąbie?

Pierwszy Mieszczanin.

Do stu katów kmotrze! Archanioł miedziany, co stoi ot tam wysoko i od czasów króla Dagoberta dmie w trąbę, nie wydobywszy z niej ani jednego głosu, teraz przez dwadzieścia minut z górą wygrywał najśliczniejsze arye; słyszałem na własne uszy, jak...

Drugi Mieszczanin.

Jak słyszysz mię rozmawiającego, kiedy nic nie mówię. Nie mnie, nie mnie otumanisz, mości Spiegendorf!

Trzeci Mieszczanin.

Przesłyszało ci się szanowna damo! Musiałaś mieć szum w uszach.

Matrona.

Mości panie! proszę nie zadawać mi kłamstwa.

Drugi Mieszczanin.

Warto było, żebym się ruszył z mego sklepu po takie ciekawe nowiny!

Trzeci Mieszczanin.

A ja? zobaczywszy, że się tam czegoś gawronią na środku rynku zadarłszy nosy do góry, spodziewałem się, to jest myślałem, że kto spadł z wieży, i przybiegłem co tchu popatrzeć.

Drugi Mieszczanin.

Słyszeli pewnie organistę, jak kalikuje arye, którą ma w niedzielę na sumie odśpiewać.

Pierwszy Mieszczanin.

Otóż to pewnie to, nie co innego.

Matrona.

Znam się bardzo dobrze na grze organów. Zresztą, kościół zamknięty, nie słyhaćby go było tutaj. A potem, anioł wcale nie kościelne wygrywał arye; dziwnie nawet, jak w nich mało co było religijnego.

Pierwszy Mieszczanin.

A jednak, śliczne to było, przesłiczne!

Trzeci Mieszczanin.

Może wymyślili jaką machinę muzyczną i włożyli ją wewnątrz posągu, żeby się zdawało, że to anioł gra na trąbie. Założyłbym się, że co godzina będzie się odbywać, jak zegar Jana de Nivelles.

Drugi Mieszczanin.

A może tylko w południe... Która teraz godzina?

Pierwszy Mieszczanin.

To pewna, że się coś bielą koło podstawy posągu.

Trzeci Mieszczanin.

Tak, tak, zegar niezawodnie.

Pierwszy Mieszczanin.

Mniejsza o to, zaraz się przekonam. Znam się z odzwier-
nym wieży, pozwoli mi pójść zobaczyć.

Trzeci Mieszczanin.

I ja idę z tobą. (Odchodzą obydwaj)

Matrona.

Ja zaś pospieszę rozpowiedzieć w mieście, com tu
słyszała. (Oddala się.)

Drugi Mieszczanin, z miną zarozumiałą, zakła-
dając ręce na swoim fartuchu.

Któżby uwierzył, że dzisiaj tyle jest jeszcze ludzi
zabobonnych?... Ach! otóż mistrz Albertus nadchodzi.
Jestto człowiek, z którym nie lubię się zdybywać; dziwnie
mu z oczów patrzy, a w jego domu dzieją się takie rze-
czy, których i sam djabeł by nie zrozumiał. A! otóż i
żyd Jonasz Taer w ślad za nim! Ruszajmy prędzej do
domu. Nie bardzo lubię ludzi, co po śmierci po ulicach
się włóczą, (Ucieka)

Scena III.

Albertus, Mefistofeles.

Mefistofeles, idąc za Albertusem, który
go nie widzi.

Gdzież to bieżysz z takim wzruszeniem i pospie-
chem, szanowny mój mistrzu? Czyż dzisiejszego rana nie

raczysz udarować ani jednym spojrzeniem, ani skinieniem głowy, najlepszego przyjaciela twego?

Albertus.

Ciągle ten żyd! jak zgryzota sumienia mię ściga... Daj mi pokój mój panie! nie mam honoru być twoim przyjacielem, ani czas mam do stracenia.

Mefistofeles, nie przestając iść za nim.

Pojmuję niespokojność twoją, stan Heleny cię trapi. Ale uspokój się, nigdy się lepiej nie miała.

Albertus, wzruszając ramionami.

Co możesz wiedzieć o tem?

Mefistofeles.

Niepowinieneś wątpić, że w wielu rzeczach więcej wiem od ciebie.

Albertus.

Zachowaj dla siebie przekłątą twoją wiedzę, ona mi tylko niepokój i rozpacz przyniosła.

Mefistofeles.

Dziwi mię to mocno, że taki wielki filozof zniechęca się lada cierpieniem. Czyli z twojej mownicy nie uczasz każdodziennie, że wiele cierpieć potrzeba, aby dojść do prawdy? że jej zdobycie nie może być opłacone dość drogo? że się ją tylko nabywa ceną łez, gorzkiego znoju, a nawet ceną krwi naszej?...

Albertus.

Dość już wycierpiałem, odkąd począłem słuchać ciebie, a zamiast się zbliżyć do prawdy zdaje mi się, że coraz więcej od niej się oddalam. Szał Heleny się wzmaga, a dotąd nic mi nie wytłumaczyło sympatycznych lutni własności.

Mefistofeles.

Za pozwoleniem, najprzód szał Heleny nie wzmaga się wcale. Wczoraj przez cały dzień po przechadzce nad brzegiem wody była pełna rozsądku.

Albertus.

Prawda, że dopiero wtedy szła ją napadł, gdy jej lutni odmówił; natenczas uciekła z domu i zaledwem ją zdołał doścignąć na szycie wielkiej wieży.

Mefistofeles.

Także też poco jej było nie dozwałać grać na lutni?

Albertus.

Lękałem się tego, co się stało. Widząc ją tak rozsądną, przysłuchając się nauce dosyć oderwanej, którą jej wykladałem, pochlebiałem sobie, że jest wyleczoną, i chciałem zniszczyć lutnię, gdyż całe jej szaleństwo z tego instrumentu wypływa.

Mefistofeles.

Bez wątpienia. Zawsze uważałeś za baśnię, za urojone starego Mejnbakera rzecz bardzo prawdziwą. Pierwszy napad szaleństwa Heleny, i długa choroba skutkiem onego będąca, z dotknięcia lutni wynikły jedynie.

Albertus.

O tem dziś już przekonany jestem. Ale niech to cudem pozostanie! Nie będę więcej nad nim łamał sobie głowy, Helena mogła paść ofiarą ciekawości swojej. Dzięki bogu! uszła dzisiaj ostatecznego niebezpieczeństwa; lutnia jest rozbita. Ze szczytu wieży cisnęła ją na marmurowy bruk katedralnego placu.

Mefistofeles.

Co wszystko jednak nie przeszkadza, żeby nieuszkodzoną została; w gabinecie twoim na kołku zawieszoną ją znajdziesz. Strun tych tylko jej braknie, któreś sam odjął, deka nie pęknięta ta nawet. Żadna z jej figurek nie utraciła ani ręki, ani nogi w tej przepawie, i prawie pewny, że nierozstroiła się nawet.

Albertus.

Co mówisz jest niepodobieństwem. Szydzisz sobie ze

mnie, ale cię uprzedzam, żem już znudzony twoją gawędą.

Mefistofeles.

Wolno ci nie przemówić nigdy do mnie słowa, jeśli nie znajdziesz lutni taką, jak ci powiedziałem, i tam, gdzie ci powiedziałem. Upadła ona przy moich nogach, gdym u dołu wieży przysłuchiwał się Helenie; a w tej chwili ujrawszy jej guwernantkę Teresę, mówiłem, by podniosła lutnię i zabrała ją z sobą.

Albertus.

Zaraz się dowiem o wszystkim. Ale jakimże sposobem mógłś słyszeć lutnię z takiej odległości?

Mefistofeles.

Dźwięk jej ma to sobie właściwego, że pomimo jego łagodności z najodleglejszego końca miasta każdą nutę rozeznąć można. Cała dzielnica słyszała dzisiaj tę muzykę; co się zaś mnie tycze, mając słuch doskonały mógłbym ci rozpowiedzieć słowo po słowie, co lutnia i Helena mówiły sobie nawzajem na szczycie wielkiej wieży.

Albertus.

Rozumiesz więc doskonale tajemniczą mowę muzyki?

Mefistofeles.

Doskonale; Helena opiewała dzisiaj cuda i nędze oświaty, a lutnia wielkość i gieniusz człowieka; Helena zaś znowu jego nieszczęścia i zbrodnie.

Albertus.

Tak i ja tą razą — zrozumiałem to dobrze — z własnem podziwieniem mojem! Rękopis Adelsfrejta przepowiedział wszystko.

Mefistofeles.

„Na trzech strunach melodia będzie silna i płynna, wszystkim zrozumiała, gdyż dwie stalowe struny mówią o człowieku, jego wynalazkach, obyczajach i prawach! Wi-

dzisz, że na palcach umiem mego Adelsfrejta. Co się zaś tycze struny spizowej, ostatniej ze wszystkich.... „Ten, który z niej dźwięk wydobędzie, pozna tajemnicę lutni!“

Albertus.

Więc ja jej nie poznam, gdyż wróciwszy do domu zaraz lutnię rozbiję.

Mefistofeles.

Zarozumiały! Czy sądzisz, że to w twojej jest mocy? Lutnia przed chwilą z nieba na ziemię upadła, a nie rozbiła się wcale. Twoja własna ręka skruszyłaby się pierwej, zanimbyś ją rozbić potrafił.

Albertus.

Zkądże pochodzi, że pomimowolnie, za najlekszem dotknięciem zrywam delikatne jej struny?

Mefistofeles.

To wszystko należy do tajemnicy, której poznać nie chcesz. Nie slyszalżeś nigdy, że dusza poetyczna i czuła z stałością przeciwnościom losu się opiera, a zasmuca się, ściska, rozdziera najmniejszym obrażeniem swych uczuć? Ty sam uśmiechasz się tylko, gdy grubjańskość kraju kurs twój zamyka, ogłoszenie dzieł twych wstrzymuje; a gdy Helena jest chora, albo który z twych uczniów jakiego kroku niewdzięczności przeciwko tobie się dopuści, siła twoja upada i jak dziecko łez wstrzymać nie umiesz. Tajemnica lutni nie jest trudniejszą do wytłumaczenia.

Albertus.

Wykręcasz się ze wszystkiego przez porównania i przenośnie.

Mefistofeles.

To samo się dzieje w duchowym i materyalnym porządku; oba podobnym ulegają prawom, oba podobne fenomeny wydają. Poczynając od tego rozumowania, i zrywając jeszcze dwie struny lutni, tajemnicę posiędziesz.

Albertus.

Nie uczynię tego. Bóg wie, na jakie przesilenie Helena by była narażona tą rzą!

Mefistofeles.

Jestto szlachetna ofiara, której niepochwalić nie mogę. Szkoda jednak, że to wszystko tyle narobiło hałasu; dzisiaj po całym kraju rozbiegły się wieści o czarownikach i upiorach, do których dały powód dziwne dźwięki lutni i szaleństwo Heleny. Teraz wszyscy mają cię za czarownika i mnie za jednym zachodem. Wiesz że, co się mnie tycze, śmieję się ze wszystkiego; ale martwi mię bardzo, że ty twój zbawienny wpływ musisz utracić; gdyż przewiduję, że twoje wyborne nauki zamiast wydać owoce wszelką wartość tracą.

Albertus.

Nie spodziewaj się próżnością mię zahaczyć; jestem wyższy nad to, co ludzie o mnie mówić mogą.

Mefistofeles.

Nie o to rzecz chodzi. Miałeś przy ludziach spełniać posłannictwo, a chcesz ich zostawić na wolę niewiadomości i błędu...

Albertus.

Nie dosyć kocham ludzi, by im poświęcić Helenę; Helena jest to dusza czysta, istota niebieska, ludzie zaś wszyscy są despoci, zdrajcy, bydlęta.

Mefistofeles.

Widzę, że muzyka zrobiła swój skutek; jest to własnością lutni, wrażenia grającego na niej narzucać tym, którzy jej słuchają. Bardzoby było nieszczęśliwie, gdybyś pod tym niekorzystnym wpływem pozostał; świat wieleby na tem utracił, a ty kiedyś żałowałbyś tego.

Albertus

Czyż nie ty zniewoliłeś mię do zerwania tych strun, które melodyą swoją mogły podnieść i zająć mą duszę? godziż ci się skutek twych rad dzisiaj mi wymawiać!

Mefistofeles.

Podziękujesz mi za moje rady, gdy spełnisz twoje zadanie, to jest, gdy uczynisz z lutni instrument jedno-struny. Uważaj to jeszcze pod kształtem symbolicznym. By twoją duszę wnieść do ideału, jak to potrafiłeś uczynić, czyliż przez długie lata nie pracowałeś nad zerwaniem w własnem twojem łonie strun przeznaczonych dla ziemskich uciech? Nie wytępiłeś wszystkiego, co od twego celu odwodzić cię mogło, i czyż nie zwróciłeś na jeden przedmiot wszystkie twe myśli, instynkta, uczucia?

Albertus.

To prawda; w lutni jednak zacząłem od zniszczenia poezyi nieskończoności, i dopiero do poezyi rzeczy ziemskich doszedłem. W filozoficznej zaś pracy nad sobą działałem całkiem odwrotnie.

Mefistofeles.

I źleś sobie postąpił. Co się przydusza, zanim się urodzi, nie może zamrzeć zupełnie, głośno kiedyś o życie dopominać się będzie. Tak i z tobą się stało. Cnota twoja czyniła cię najnieszczęśliwszym z ludzi, i głosząc pewność codziennie, w żadnym punkcie sam jej nie posiadasz.

Albertus na stronie.

Ten człowiek mię zastrasza, że tak umie czytać we mnie.!

Mefistofeles.

Jeżeli tak pozostaniesz, zgubiony jesteś mój przyjacielu! Potrzeba, byś przez silną reakcyę powrócił do wiary; byś poznał namiętności, ich udręczenia, niebezpieczeństwa,

szalone nawet zapędy. Jednem słowem, potrzeba, byś przez próbę ognia przeszedł; wtedy dopiero będziesz mógł świadczyć o twojej wierze, gdyż poznasz życie i mylić się już nie będziesz.

Albertus.

Niecną podajesz mi radę. Czy sądzisz, że dusza ludzka dosyć jest silną, by podobnej próbie oprzeć się mogła? Oddawać się tak złemu bez żadnego powodu, byłoby to szydzić sobie z boga. Ktokolwiek tym sposobem sił swoich doświadcząć zechce, drogo zuchwałość swoją będzie musiał opłacić, i w rozhukaniu złych instynktów uczucie i pragnienie ideału postrada.

Mefistofeles.

Kto ci mówi o źle czynieniu, o oddaniu się grubiańskim instynktom? Zapominasz, że tak dobrze jak ty jestem filozofem, chociaż niepatentowym. Nie radzę, byś się znikczemnił, tylko żebyś nabrał hartu. Jest jedyna namiętność, wielka w samych swoich dzieciństwach, wspinałomyślna w zapędach, szczytna w swym szale; miłość jej miano. Myliłeś się, gdyś mniemał, że twój ideał mógł pomieścić cały płomień złożony w twem łonie. Płomień ten dwojakiej jest natury: jednej dla nieba, drugiej dla ziemi, i jak jeden drugiego pochłonąć nie może, tak wola ludzka jednego z nich nie może przytłumić. (Kładąc rękę na ramieniu Albertusa). Któż mój kochany filozofie! lepiej od ciebie może o tem wiedzieć? Ten płomień ziemski pożera ciebie i nic go jeszcze dotąd przygasić nie mogło!...

Albertus na stronie.

Jego słowa jak pożar po żyłach się mych rozchodzą, a jednak jego ręka zimnem przenika, jak gdyby była z marmuru!

Mefistofeles nie ruszając swej ręki z jego ramienia.

Daj żywioł temu płomieniowi, niech gore przez czas potrzebny, a potem zagaśnie sam z siebie, gdyż będąc ziemskiej natury musi uleść zniszczeniu; płomień zaś niebieski przeżyje i ogarnie cię całego.

Albertus.

Ale żeby kochać, potrzeba móżdż byź kochanym.

Mefistofeles.

Może już nim jesteś, sam nie wiedząc o tem?

Albertus.

Ja!... Któżby mię mógł kochać? (porywczo) Panie Jonataszu! nie wymieniaj jej imienia! zabraniam ci tego.

Mefistofeles.

Uważasz za ujmę jej imieniu, gdyby z ust moich wyszło? Jużes bardzo zakochany mistrzu Albertusie!

Albertus pomieszany.

Ale ona mnie nie kocha, nigdy mię kochać nie będzie....

Mefistofeles.

Będzie cię kochać, kiedy zechcesz, a ta miłość, rozum, zdrowie i życie jej wróci!...

Albertus.

Cóż mam uczynić, by mię kochała?

Mefistofeles.

Jeszcze dwie struny lutni zerwać; a gdy się już nasyć twoją miłością albo się jej mocą zastraszysz, od ciebie zależeć będzie, byś się z niej wyleczył natychmiast.

Albertus.

Jakim sposobem?

Mefistofeles.

Biorąc Helenę za żonę, i zrywając ostatnią strunę lutni.

(Na stronie). Już teraz do mnie należy! (Znika).

Albertus z rodzajem obłąkania.
 Boże! Jakże chłodne ręki jego dotknięcie!... Wzrok mój jakby mgłą zasuniony..... zaledwie drogę dojrzeć mogę przed sobą..... Czyżby to miało być prawdą, że lutnia nie jest rozbita?....

AKT V.

STRUNA SPIŻOWA.

Scena I.

Albertus, w swoim gabinecie przypatruje się lutni.
Mefistofeles, niewidzialny siedzi w kącie pokoju.

Mefistofeles na stronie.

Tak, tak! Przypatruj się twojej robocie, jęcz, wzdychaj, bij się w piersi; nic nie poradzisz, i możesz grać teraz, ile się podoba, na jedynej strunie, co ci pozostała; piękna to będzie muzyka, szkoda tylko, że nie potrwa długo!

Albertus.

Niepotrafiłem się oprzeć!... Gdzież źródło tej piekielnej pokusy? Ów żyd przeklęty z swojemi radami i pargaminami dzieckiem uczynił mnie. Pomieszał rozum obiecując odsłonić mi tajemnicę, której się pewno nie dowiem!... Naprózno wartuję te foliały, by się dowiedzieć, co siódma struna opiewa; Adelsfrejt nic nie wspomina i muszę poprzestać na tem, co mi powie Jonatasz. Niezrozumiałe przepowiednie! ziściłyście się tak dosłownie, że umiejętność większa od mojej zastraszyłyby się mogła! Ale im więcej tajemnica nieprzeniknioną się zdaje, tem bardziej moje sumienie nakazuje mi szukać jej wyjaśnienia; winienem je ludziom i samemu sobie; bez rozwiąza-

nia tej zagadki, ich i mój umysł mógłby na zawsze w błędzie pozostać. Ludzie!... Sumienie!... Czyż dla nich, czy dla niego doświadczenie pojąłem?..... Czy miłość prawdy przewodnikiem nie była? Czy to ona pożera mię w tej chwili? Ach! Nieszczęsny! wyznaj, że do zerwania dwóch strun ostatnich bezrozumna miłość życia, palące pragnienie namiętności spowodowały cię jedynie!..... O! jakże ręka moja drżała, jak pierś się wzdymała, gdy m radę żyda wypełniał! Myślałem, że niebo jeszcze się ciemną zasłoną zasunie, ziemia się wstrząśnie, dom mój zawali się nad moją głową. Nic z tego przecież się nie stało, nie słyszałem nawet, by struny stalowe, kiedym je zrywał, podobną jak poprzednie, żałosną zabrząkły skargą. Tą razą lutnia była niema! A może to tylko moje sumienie ogłuchło!... Jakaż przecie jest moja zbrodnia? Jeżeli czyn użyteczny z siebie, mniejsza, że zła chęć mimowolnie wśliźnie się pomiędzy dobre. Powinienem był przez próby przedzierać się do prawdy, a gdyby nawet pokój mojej duszy na zawsze zakłócony został, jest to ofiara dziełu mojemu należna.

M e f i s t o f e l e s, pokazując się w postaci żyda.

Pokornie przepraszam, że tak bez ceremonii schwyciłem tajemnicę twych myśli. Wielkie umysły mają zły nałóg głośno rozmawiania z sobą. Toby ci się nie przytrafiło, gdybyś znał muzykę; ale poznasz ją kiedyś, jak z twego usposobienia spostrzegam. Zdaje mi się, że już ci zaczynają otwierać się oczy i że poznasz, żeś powinien popróbować tętna życia, jeżeli chcesz być prawdziwym lekarzem ludzkości.

Albertus na stronie.

Niepodoba mi się ten człowiek; nie dowierzam jemu, a jednak gdzie chce, prowadzi mnie! Cóż za przyczyna, że jego odwiedziny w tej chwili przyjemne są dla mnie?

Czy dla tego może, że potrzebuję sumienia gorszego jak moje, by się do złego zachęcić?

Mefistofeles.

Czy tylko nie jesteś mnichem przypadkiem?

Albertus.

Nic mi się tak niepodobać nie może, jak ten twój żart. Co chcesz przez to rozumieć?

Mefistofeles.

Że wszystko nazywasz zbrodnią, co wychodzi z karbów twojej moralności osobistej.

Albertus.

Czyż nie mam słuszności przynajmniej w tem, co się mnie tycze? Wszystko jest względnem.

Mefistofeles.

Źle się wyrażam. Powinienem był powiedzieć: bezrozumne żądanie, zuchwała pycha.

Albertus.

Pospolitej bardzo używasz wymówki. Ty, co mnie masz czytać w mojej duszy, powinieneś wiedzieć, że moje zrzeczenie się rzeczy ziemskich jest postanowieniem sumiennem i szczerem.

Mefistofeles.

Jak ci się podoba; ja wolałbym przecież uchodzić za pysznego, aniżeli za ograniczonego.

Albertus.

Szyderstwo i pogarda nie dotyczą mnie wcale.

Mefistofeles.

To się ma znaczyć, żeś obrażony. Nie gniewajmy się o bagatelę. Od dwudziestu pięciu lat jesteś ofiarą błędu, otóż i wszystko. Czas by się już wyswobodzić. Myślałeś, że filozof powinien być świętym; a zamiast szukać świętości w dobrze skierowanem władz twoich użyciu, poszedłeś starą nabożnisiów rutyną, usiłując te wła-

dze przytłumić. Co cię najbardziej powinno spowodować do uznania dotychczasowych twych mniemań za błędne: to pamięć owego zwątpienia dręczącego teraz duszę od czasu wstąpienia twego w ten zawód, aż po dzień dzisiejszy; twoje też zmysłowe władze wzmagają się ciągle i coraz bardziej dopominają się właściwego użycia. Pan, którego wzywasz i z którym w styczności byź mniemasz, niewdzięczny byłby i szalony, gdyby ci nie podał ręki, jeżeli ofiara twoja była podług jego myśli. Naucz się więc w buncie potrzeb twego serca ich prawność poznawać, albo zwątp o tej potędze niebieskiej, którą codzień na świadectwo przyzywasz, i której wszystkie twoje poświęcasz ofiary. Do jakiegoż posłannictwa sądzisz się byź przeznaczonym na ziemi? Czy do pracowania, jak kartuz, nad zbawieniem twojem, czy do szukania mądrości, by jak filozof ludziom ją ogłaszać? Jeżeli to ostatnie, dowiedz się, że nie można drugich nauczyć tego, czego się nie umie. Mądrość, której się oddajesz, jest stanem wyjątkowym, mogących uformować dwóch, lub trzech zwolenników równie jak ty w położeniu wyjątkowym zostających; jest to cnota zurojenia, wchodząca w szereg prób artystycznych; a ty, który zawsze żądasz od poetów zdania sprawy z użyteczności i moralności ich utworów, w wielkim byłbyś kłopotcie, gdyby ci przyszło dowieść, w czem twoje mnichostwo towarzystwu przydatne byź by mogło.

Albertus.

Nie zdołasz przecież zaprzeczyć, że nauczałem prawd użytecznych; a ja ci odpowiem, że nie mógłbym tych prawd odkryć i nauczać, gdybym był zachceniom namiętności życie moje poświęcił.

Mefistofeles.

Któż ci o namiętnościach, o ich zachceniach wspomina. Nie mógłżeś być, jak powiadasz, w świątyni twej

duszy hodować miłość czystą, małżeńską przyjaźń, prawną i trwałą? Nie mógłśś zostać małżonkiem i ojcem? Natenczas, na pewnej zasadzie mówiłbyś o powinnościach rodziny, o których prawisz tak często twoim uczniom, przepraszam za porównanie, jak ślepy o kolorach.

Albertus.

Często zastanawiałem się nad tem, ale czułem w mej duszy zaród namiętności tak gwałtownych, że nie mógłbym uczynić z hymenu związek tak spokojny, tak szlachetny, tak trwały, jak go mój rozum pojmuje a przekonanie głosi mym bliźnim.

Mefistofeles.

A dla czegoż zaród twych namiętności stał się tak płomiennym, tak niebezpiecznym? Oto właśnie dla tego, żeś je powściągał zbyt długo. Tak więc z całą twoją cnotą jesteś niższy od najostatniejszego z mieszkańców twego miasta.

Albertus.

Nie przeczę wcale. Ale zle się już stało! Im więcej się spóźniłem, tem pewniej, że nie powinienem już wchodzić w ten zawód. Są może pewne błędy, w których wytrwać chociaż pozornie, nakazuje nam mądrość, albo przynajmniej każe nam dźwigać brzemie do końca.

Mefistofeles.

Oto najpiękniejszy sofizmat, jaki kiedykolwiek wyszedł z ust mędrca; dobrze wyrobiony przynajmniej. Wyznaj otwarcie, że dzisiaj nieśmiałość wstrzymuje cię jedynie. Z jednej strony obawa, niepotrafienia podobać się kobiecie, z drugiej bojaźń śmieszności w oczach twych uczniów.

Albertus.

Mogę przysiąc w obliczu boga i ludzi, że się mylisz. Gdybym mniemał, że żeniąc się mogę się stać le-

pszym i użyteczniejszym społeczeństwu, uczyniłbym to natychmiast z szczerością i otwarcie. Zanadto dobrze sądzę o kobietach, bym wątpił, że znajdę choć jedną, co by się umiała poznać na mojej prawości; i dosyć znam mych uczniów, bym mógł być pewny, że potrafiliby ocenić dobrą mą wiarę; ale jestem przekonany, że miłość byłaby teraz trucizną dla mojej duszy. Byłbym zdolny zatopić się tak dalece w miłości istoty mnie podobnej, że utraciłbym uczucie nieskończoności, możność rozważania bóstwa. Zawieść paliłaby moje wnętrzości i wyniszczała powoli wszelkie moje wyobrażenia sprawiedliwości, zręczenia się, cierpliwości. W zamian za kilka istot danych ojczyźnie, odjąłbym jej zbiór moich zasad, bez wątpienia potrzebniejszy dla niej, gdyż zawsze większy niedostatek pojęć aniżeli rąk uczuwać się daje. Nie także i twoje zdanie?

Mefistofeles.

Tak więc bez odwołania postanowiłeś już zostać mnichem? To twoje ostatnie słowo.

Albertus.

Jeżeli tem mianem podoba ci się mię ochrzcić, niech i tak będzie. To jest moje ostatnie postanowienie.

Mefistofeles.

Powiedz mi więc mistrzu Albertusie! w jakim celu tę jedyną strunę spiżową zostawiłeś w lutni?

Albertus, zmieszany.

Cóż wspólnego mogą mieć dźwięki tej lutni i doświadczenie fizyczne, do którego mi była przedmiotem, z zasadami mego postępowania i uczuciami mej duszy?

Mefistofeles.

Zapewne, co miłość i poezya może mieć z sobą wspólnego? Nigdy to nie wpadło pod zmysł filozofa.

Albertus.

Dosyć! twoje żarty już mnie znużyły, a to, com ci dopiero powiedział, dosyć jest smutne, by mogło na co innego jak na zimną pogardę z twej strony zasłużyć. Jesteś człowiekiem bez czucia, daj mi pokój!

Mefistofeles.

Oskarżasz mnie niewdzięczny! gdy ci przysługę czynię pomimo twej wiedzy. Ofiara własnych twoich sofizmów, pomiędzy sobą a szczęściem pokładłeś nieprzewyciężone zapory: przymus i niezręczność filozofa. Dałem ci poznać czarowne własności tej lutni; dzięki mnie masz w ręku talizman, którym możesz poruszyć serce Heleny i wydać się jej młodszym i piękniejszym od najmłodszego i najpiękniejszego z twych uczniów..... a jednak odrzucasz ten sposób, by się zasklepić w skorupie bezrozumnej twej pychy, w tchórzliwej roztropności twojej! Niech się więc spełni twoje przeznaczenie! Melodya lutni tak jest teraz ułatwioną, że równie dobrze mógłbyś grać na niej jak i Helena, i taki wpływ nad nią wywierać, jaki ona nad tobą wywierała dotąd... Czyły Wilhelm, namiętny Hans, albo piękny Karol grać będą na twojem miejscu, a Helena na zawsze wyleczona z szaleństwa zostanie szczęśliwą i czystą kochanką tego z nich trzech, który będzie najlepiej natchniony. Bądź zdrow mistrzu! życzę ci dobrej nocy i długich dni na ziemi!

Albertus.

Czekaj, co mówisz?.... Helena wyleczona? Helena szczęśliwa?

Mefistofeles.

Moje towarzystwo sprzykrzyło ci się..... Bądź zdrow!.....

Albertus.

Słowo jeszcze! Taką pokładasz wiarę w niezrozumiałej potędze tego talizmanu, że podobny skutek śmiałybyś

mi oblicywać?... Rękopis Adelsfrejta urywa się na spizowej strunie.....

Mefistofeles.

Od jakiegoż to czasu począłeś wierzyć w czary? Czy nie widzisz, że to wszystko jest igraszką? Gdyś mnie- mał, że Helena myślą grała na lutni, miałeś bielmo na oczach niepozwalające ci jej rąk rozpoznać. Gdy strumień wstrzymywał się na jej rozkaz, młynarz zamykał służę upustu; gdy lutnia ze szczytu katedry na bruk upadła, kruk pochwycił ją w locie i lekko złożył na ziemi. Wszystko czynami naturalnemi daje się wytłumaczyć. Nie pojmuję, jak można łamać sobie głowę nad wyszukaniem słowa zagadki, gdy pierwsze lepsze wyjaśnienie może się przydać. Dobranoc mistrzu! dobranoc po raz ostatni!

(Staje się niewidzialnym dla Albertusa, i zostaje przy nim oparty o poręcz jego krzesła).

Albertus.

Nie! to wszystko przypadkiem nie da się wytłumaczyć. Cuda spełnione przez lutnię powtórzyć się jeszcze mogą i codziennie odbieramy od niebios dobrodziejstwa przechodzące zakres naszego pojęcia; może dla mnie przeznaczono było dać szczęście i dostać je wzajem za pomocą pożyczonej od lutni nieznanej wymowy, sympatycznej władzy.... O! wrócić rozum Helenie i w zamian miłość jej uzyskać! (Porywając lutnię) O lutnio! Czy podobna, żebyś taki cud wykonać mogła i by ostatnia twa struna, niezręcznym mym palcom powolna, objawiła mi poezję, wdzięk, zapał, wszystkie potęgi przyrody? Gdy brzmieć będziesz pod dłonią moją, czyż płomień niebieski oświecili wtedy me skronie, objawi mi ów język nieskończoności, którym Helena przemawia, a który ja zaledwie mogę zrozumieć? Tak, bez wątpienia, poeta i muzyk, przybrany w czarowne te szaty, bez których świat

jest posepny i zimny, potrafię zostać kochanym.... Nie będę już owym zimnym filozofem, którego widok obawą, słowa nudami przejmują. Odrażająca powaga, posepna powłoko! zrzucę was z siebie, jak za ukazaniem się wiosnianego słońca zwleka się szaty zimowe.... O, jestem zwyciężony!... Nadzieja zostania szczęśliwym wraca mi nadzieję, że będę i dobrym! Tak, potrafię kochać z sprawiedliwością, z łagodnością, z ufnością, gdyż będę wiedział, że mogę być kochanym podobnie; a przyjaciele moi szczęściem mojem cieszyć się będą, gdyż bez przesady o niem im oznajmię, i ujrzą, że dusza moja zarówno w radości jak i w cierpieniu jest szczerą.

Scena II

Helena, Albertus, Mefistofeles niewidzialny.

Mefistofeles, na stronie.

Tak, tak! rachuj na nich, rachuj na nią, rachuj na siebie samego! tutaj właśnie czekam ciebie! Zdaje mi się, że pomimo swoich przechwalek duch lutni nakoniec ztąd wypędzony będzie. Wtedy Helena z prawa na mnie przypada, i zobaczymy, jak się to będzie kojarzyć związek małżeński pana filozofa z wdową anioła, wyniesioną na stopień kochanki szatana.

Albertus, patrząc na Helenę siedzącą na krawędzi okna w zamyśleniu niezważającą na niego.

Jakże ona blada i smutna! Jak wysiłona ostatnim swym śpiewem! (Przybliżając się do niej) Heleno! Czyś słabsza, moje dziecię? — Nie słyszy mię albo odpowiedzieć nie chce. — Kochana Heleno! jeżeli mię słyszysz, odpowiedz mi, choćby tylko jednym spojrzeniem! Milczenie twoje mię niepokoi, martwi mię obojętność twoja.

(Helena spogląda na niego z zdziwieniem, i znowu wzrok zwraca na pola).

Albertus.

Słyszysz mnie przecież, ale zdaje się, że słowa moje żadnego dla niej nie mają znaczenia. Gdybym pokazał lutnię, możeby jej pamięć wróciła.

(Bierze lutnię i kładzie ją na oknie. Helena obojętnie na nią spogląda).

Albertus.

Rozum jej zupełnie zblakany, potrzebaby cudu, by go rozbudzić. Jeźlim ofiarą nikczemnego oszustwa, przebac mi, o prawdo! o boże!... Po raz pierwszy uciekam się do czego innego, jak do pewności.

(Próbuje lutni, która nie odzywa się wcale)

Mefistofeles, na stronie.

Przekleństwo tobie, pedagogu nieuleczony! Nawet struny miłości nie umiesz poruszyć! Któż więc rozbije tę lutnię! Biegnijmy po Hansa, albo Wilhelma. Może oni nie tak będą oporni. Zresztą, co mnie ma obchodzić, kto się tego podejmie? Niewinność Heleny ponęcie spiżowej struny nie zdoła się oprzeć, a czy to wypadnie na korzyść filozofa, czy całego miasta, zawsze duch lutni upokorzyć, filozof potępić się musi! (Znika).

Scena III.

Helena, Albertus.

Albertus, zmieszany.

Daremne wszelkie moje usiłowanie! Lutnia niema jest dla mnie, niema jak Helena, jak ja sam niemy! A jednak dusza moja pełna przekonania i zapału! Zkądże pochodzi, że od tak dawna usta moje zamknięte, język zamarły, jak głos w łonie tego instrumentu? Czemuż nigdy jeszcze nie odważyłem się powiedzieć Helenie, że ją kocham?... Ach! Żyd mię oszukał; on powiedział, że ten talizman natchnie mię wymową miłości, a talizman

utracił swą własność w mych rękach! Bóg karze mię, zem zawierzył potędze urojeń, odbierając mi ostatnią moją uludę i pogrążając w otchłani rozpaczy! O samotności! jużem ja tedy twoją zdobyczą na zawsze! O żądze! sępy drapieżne i nienasycone! serce moje nigdy nie użytym pozostanie dla was żywołem!...

(Zakłada ręce na piersiach i z boleścią patrzy na Helenę. Lutnia upada i potężny dźwięk wydaje, Helena zadrzęła i zerwała się z miejsca).

Helena.

To twój głos!... Gdzież więg ty jesteś?

(Z niespokojnością rozgląda się na około siebie i, po niejakich usiłowaniach odzyskania pamięci, wzrokiem przydybuje lutnię i chwyta ją z uniesieniem. Lutnia natychmiast poczyna wydawać silne dźwięki.)

Albertus.

Jakie poważne i straszne tony!... przestałem już być wierzyć w potęgę talizmanu. Jednak ten głos przejmuje mię niepokojem i trwogą!

Duch Lutni.

Godzina nadeszła, o córko śmiertelnych! Teraz dopiero zerwane wszystkie ogniwa pomiędzy mną a niebem. Teraz dopiero całkiem do ziemi należę, teraz dopiero twój jestem. Kochaj mię o córko lutni! otwórz twoje serce, bym mógł w niem zamieszkać, bym w lutni przebywać przestał!

Duch Heleny, gdy Helena porusza strunę ze spiży.

Nieznana istoto! która od dawna do mnie przemawiasz a nigdy nieukazesz mi się, sędzę, że kocham ciebie, ponieważ nic na ziemi ukochać nie mogę. Ale miłość moja jest smutna, obawa ją studzi; gdyż czuję, że natura twoja od mojej jest wyższą, i lękam się dopuścić świętokradztwa, śmiąc kochać aniola.

Duch Lutni.

Jeżeli mię chcesz kochać, o Heleno! jeżeli się odważysz wziąć mię i zamknąć w twojem objęciu, zezwalam zatracić się, pograżyć się w niem na zawsze. Wtedy nierozzerwany hymen nas połączy, i duch twój ujrzy mię oko w oko. O Heleno! kochaj mię, jak ja ciebie Kocham! Miłość jest potężną, miłość jest bez granic, miłość jest wszystkim; miłość jest bogiem, gdyż ona jest jedynem uczuciem mogącym być nieskończonem w sercu człowieka.

Duch Heleny.

Jeżeli miłość jest bogiem, jest więc wieczna i nasz hymen wiecznie trwać będzie, a śmierć moja nie zerwie jego ogniwa. Tak do mnie przemawiaj, jeżeli chcesz, bym cię kochała, gdyż pragnienie nieskończoności mię pożera, i miłość bez wieczności nie trafia do mego pojęcia.

Chór duchów niebieskich.

Przybliżmy się, okrążmy ich, ulatujmy po nad ich głowami. Niech łaska i moc boża zstąpią tu wraz z nami. Złowroga godzina się zbliża, godzina stanowcza dla naszego młodego brata uwięzionego w łonie lutni. Słodki duchu harmonii! czemuż nas widzieć i słyszeć nie możesz! Węzły łączące cię z nami już są zerwane, złote i srebrne struny wywoływać już nas przestały; miłość tylko sama sprowadza nas do twego boku. Lecz miłość ziemską załala cię całego, wydarła ci pamięć, już nas nie poznajesz, boleśna próba się spełnia, los twój złożony w rękę córki śmiertelnych. Oby ona potrafiła wytrwać w wierności boskim instynktom, co ją dotąd od miłości ziemskiej chroniły! O potęgi niebieskie! zjednoczmy się wszystkie, napelśmy powietrze melodyjnym skrzydeł naszych szelestem.

Albertus.

Oto znowu zanurzona w zachwycie, jak gdyby w ci-
chości przysłuchiwała się językowi boskiemu. O! jak ona
piękna teraz! Tak, dusza jej natchnieniom nieba otwar-
ta, a jej pozorne szaleństwo jest tylko usunięciem gru-
bijańskich życia instynktów. O czarowna istoto! Jakąż
potwarz niegdyś rzuciłem na ciebie, gdym wątpił o two-
jem pojęciu! Jakże ja sam byłem szalony! Żem się tak
opierał wzruszeniu, jakim mię twa piękność natchnęła!
Świątokradzki to był pomysł, niewierzyć zjednoczeniu
takiej piękności zewnętrznej z pięknnością duchową tak
doskonałą! Heleno! potężne tony, któremi uderzyłaś mo-
je ucho, otworzyły mą duszę harmoniom wyższego świa-
ta. Czuję ja, że opiewasz zapały boskiej miłości, a ta
miłość rozkoszną nadzieją łono moje przenika. Słuchaj
mię, Heleno! Chcę ci powiedzieć, że cię kocham, że
cię pojmuję, i że miłość moja godną jest ciebie nako-
niec! Słuchaj mnie, gdyż dusza jest lutnią, i jak z lutni
wydobywasz dźwięki twem tchnieniem, tak spojrzeniem
twojem rozbudziłaś harmonię w głębi istoty mojej uspioną...

(Ukłęka przed Heleną, która patrzy na niego zdzi-
wiona.)

Duch lutni.

Heleno! Heleno! duch potężny do ciebie przema-
wia, duch do życia człowieczego jeszcze przykuty, lecz
myślą mierzący już niebios obszary, duch rozmyślenia,
rozbioru, poznania... Heleno! Heleno! niesłuchaj go,
gdyż on nie jest tak jak ty, dziecięciem lutni!... Jest
on wielki, jest sprawiedliwy, uposażon światłem i na-
dzieją, ale nie karmił się jeszcze żywiołem miłości, któ-
rą spżżowa struna opiewa. Zanadto ukochał ludzi, swych
braci, niż by się w tobie całkiem mógł zatopić. Heleno!

Heleno! nie słuchaj go! lękaj się mowy mądrości! Dla ciebie mądrość nie potrzebna, o córko lutni! Ty potrzebujesz tylko miłości. Słuchaj głosu, który miłość opiewa, a nie głosu, który ją tłumaczy.

Albertus.

Słuchaj, słuchaj o Heleno! córko poezyi! Tys mój głos usłyszeć powinna; gdyż głos mój z głębi serca mego pochodzi, a miłość prawdziwa z poezyi nie może być wyzuta, jakkolwiek jej język byłby surowy. Pozwól, niech ci powiem, o młoda dziewico! że serce moje cię pragnie, wzdycha do porozumienia się z tobą. Człowiek sam nie jest zupełnym. Wtedy dopiero prawdziwym staje się człowiekiem, gdy myśl jego użyźniła duszę, ściśle z duszą jego złączoną. Przestań się lękać mistrza twego, o Heleno! Mistrz uczniem twoim chce zostać, dowiedzieć się od ciebie tajemnic nieba. Głębokie są boga zamiary, a tylko miłość człowieka w nie wtajemniczyć może. Ty, coś tak rozdzierającym głosem opiewała człowieczeństwa nieszczęścia i zbrodnie, ty wiesz dobrze, że ślepe i rozuzdane człowieczeństwo brodzi po kale ziemskim, jak trzoda bez pasterza; ty wiesz, że ono już postradało część dla dawnych praw swoich, że się wyparło miłości, skalało związek hymenu; ty wiesz, że ono dzisiaj głośno o nowe domaga się prawa, o miłość czystsza, o swobodniejsze i mocniejsze związki. Przybądź mi na pomoc, użyż mi twego światła. O ty przenikniona promieniem niebieskim! świętem przywiązaniem złączeni, szczęściem i cnotami naszymi wolę boga ogłaszać będziemy na ziemi. Bądź moją towarzyszką, małżonką i siostrą, o ukochana dziewico natchniona! Objaw mi myśl niebieską, którą wyśpiewujesz w twojej lutni. Jedno na drugiem wsparci, będziemy dość silni, by zdeptać wszystkie błędy i kłamstwa fałszywych proroków. My będzie-

my apostołami prawdy, będziemy zrozpaczonych naszych i zepsutych braci nauczać miłości wiernej, powinności rodzinnych.

Helena, przygrywając na lutni.

Słuchaj o duchu lutni! to był śpiew święty, piękna i szlachetna harmonia; ale ja ją zaledwie rozumieć mogę, gdyż to jest głos ziemski, a ucho moje harmoniom ziemi od dawna już zamknięte. Struny srebrne odzywać się już przestały, oniemiały struny stalowe. Wytłumacz mi hymn mądrości, ty, co z nieba zstąpiłeś pomiędzy śmiertelnych.

Duch lutni.

Nic ci już wytłumaczyć nie zdołam, o córko lutni! Miłość tylko śpiewać mogę. Postradałem mą wiedzę, a postradałem ją z radością; gdyż miłość większa jest od wiedzy, a dusza twoja jest światem, w którym żyć pragnę, jest nieskończonością, w której chcę się zanurzyć. Mądrość mówi ci o powinnościach i pracach, mądrość mówi ci o mądrości; po co mądrość tobie, kiedy ty miłość posiadasz! O Heleno! miłość jest najwyższą mądrością, cnota jest w miłości, a serce najcenniejsze jest to, które kocha najwięcej. Córko lutni! mnie tylko słuchaj; ja jestem melodyą żyjącą, jam ogniem płonącym. Śpiewajmy i płómy razem; bądźmy ołtarzem, gdzie płomień płomień podsyca; zdala od nieczystych ogni, które rozniecają ludzkie na fałszywych bogów ołtarzach, sami dla siebie bądźmy żywiołem i pochłaniajmy się zwolna, aż wysileni szczęściem gorejące nasze popioły zanurzymy w promieniu słonecznym, który wywołuje śpiew gołębi, pączki róż rozwija.

Albertus.

Niestety! odpowiadasz mi śpiewem pełnym wzniosłości, który coraz bardziej pragnienie w mej piersi rozżarza; ale sympatya nie stawia twego śpiowu w styczności

z mą prośbą. Porzuć lutnię, o Heleno! tobie niepotrzebna melodya! twoja myśl jest śpiewem bardziej harmonijnym, aniżeli wszystkie struny lutni, a cnota jest harmonią najczystsza, jaką człowiek może rozradować ucho boga.

Helena, dotykając lutni.

Powiedz mi, o duchu! o ty, którego kocham, i który przemawiasz językiem mojego ducha, czy miłość nasza będzie wieczna, czy śmierć nie zerwie naszego hymenu? Nie w promieniu słonecznym, ani w róż kielichu ugasić ja mogę miłość, która mnie trawi; czuję, jak ona z pożerczą gorącością w nieskończoności się zagłębia. Ja tylko w nieskończoności kochać mogę; mów mi więc o nieskończoności, o wieczności, jeżeli nie chcesz, by się zerwała ostatnia struna mej duszy.

Duchy niebieskie.

Dobroci nieskończona, wiekuista miłości! opiekuj się córką lutni! Nie dozwól, by ta iskra boskiego ognia zagasła w boleściach konania! O łaskawości boża, skróć próbę ducha, naszego brata, który płonie i obumiera na strunie spiżowej! Dzieciom lutni otwórz twoje łono, uwieńcz czoło męczenników miłości!

Duch lutni, do Heleny.

Co cię ma obchodzić posiadanie nieskończoności? Na co ci potrzebna pewność wieczności, jeżeli przez dzień jeden, przez jedną życia twego godzinę marzyłaś i rozumiałaś jedną i drugą? Miłość tylko sama tą godziną zachwytu udarować cię może. Korzystaj z tego, o Heleno! i niech marzenie o przyszłości pełnej ideału nie da ci zaniedbać jedynej chwili, w której ideał urzeczywistnia się dla ciebie. Czyż tej chwili nie dosyć? Czy miłość w jednej minucie nie może skupić wszystkie rozkosze wieczności? O! Heleno! Ja z uniesieniem patrzyłem na zrywające się wszystkie struny, co przez nadzieję i wiarę

z niebem mię łączyły, by tylko tej chwili dostąpić. Miłość zostawiona mi tylko, i miłość mi wystarcza. Udaruj mię tą chwilą, o Heleno! a jeśliś nieśmiertelny, gotów jestem nieśmiertelność moją dla niej poświęcić. Zezwól chętnie na zagaśnienie w twej duszy, byleby tylko twoja dusza moję przyjąć chciała i choć na chwilę nieskończoność, wieczność usunęła z swojej pamięci.

Albertus.

Tys niema dla mnie, o biedna moja Heleno! Przejmujące tony tej lutni unoszą cię coraz bardziej ku nieznanym strefom, w które za tobą zapuścić się nie mogę. Miej litość nademną, o młoda wieszczko! Miej litość nad sobą samą. Lękaj się tego świętego szału, zapotężnego na naturę ludzką. Powróć do cichszych myśli, do korniejszej wiary, do miłości więcej mającej zasługi, więcej dobroczynnej.

Duchy niebieskie.

O trzykroć święty, o tysiąckroć łaskawy i miłosierny! Przyjmij w twoją opiekę córkę lutni, ulituj się nad duchem lutni!

Helena, grając na lutni z coraz wzrastającym zapalem.

Stało się; ja kochać muszę. Niebo i piekło nieugaszzone płomienie roznieciły we mnie. Dusza moja jest trójnogiem przepelnionym żarem i wonią. Chciałabym cię kochać, o nieszczęśliwy mędrze, cierpliwy męczenniku miłości bliźniego i cnoty! Chciałabym cię kochać, o duchu lutni, upajająca melodyo, jasny płomieniu, ideale harmonii i krasy! Ale oba mówicie mi o rzeczach koniec mających, a mnie nieskończoność pożera! Jeden chce, by miłość moja służyła za wzór i naukę dla ziemi mieszkańców; drugi, bym kochała dla zaspokojenia pragnień mego serca, dla zakosztowania szczęścia na ziemi. O Bo-

że! o ty, którego istnienie ni początku ni końca, a miłość granic niema, ja ciebie tylko kochać mogę! Czy zabierzesz duszę moją natychmiast, czy każesz mi obumierać skonem, jak byt ziemi długim, niechaj uczucia nieskończoności nie tracę. O mój Boże! Ulituj się, gdyż cierpię; miłuj mię, gdyż ja miłuję ciebie; nadaj mi życie twoje, gdyż ja...

(Struna spiżowa pęka z straszliwym łaskotem. Helena pada nieżywa, Albertus zemdlony.)

Duchy niebieskie.

Chwała bogu na wysokościach nieba, pokój na ziemi ludziom czystego serca! Duchu nasz bracie, próba twoja skończona! Córko lutni, wiara twoja wynagrodzona! Przybywajcie do nas, o dzieci! Niech hymen niebieski na wieki was połączy! Chwała bogu na wysokościach nieba!

Duch lutni.

Gdzież jestem, co widzę? Przebudzam się w niebiosach, a wzrok mój nieskończoność mierzy! Światło niebieskie i miłość wiecznotrwała są mi wrócone. O córko lutni! wiara twoja mię zbawiła; przybywaj dzielić ze mną wolność nieskończoną, radość wiekiustą! Chwała bądź bogu na wysokościach nieba!

(Helena wraz z duchem lutni i duchy niebieskie ulatują ku niebu).

Albertus, powstając podnosi lutnię, i w obłąkaniu biega do koła pokoju.

Lutnia rozbita — Helena nie żyje! Heleno! Heleno! gdzie ty jesteś? Jam twój zabójca! Heleno, Heleno! ja się chcę zabić!.... Ja się zabiję!....

Mefistofeles, ukazując się przed nim w właściwej swojej postaci.

Niekażdy, kto chce, może się zabić, mój mistrzu! Wypada pierwej, żebyś należycie odpokutował małe twoje

grzeszki; będziesz żył z łaski swojej, ale w towarzystwie ze mną, w parze z rozpaczą.

Albertus.

Ach! jeszcze to okropne widzenie! Kto jesteś duchu ciemności, obrazie przewrotności, niewiary, cierpienia? Ja twego widoku znieść nie mogę. Mój boże! uwolnij mnie od tego widziadła; umysł mój się miesza!

Mefistofeles, zbliżając się, żeby go pochwycić.

Jednakże, rad nie rad, musisz przywyknąć do mego widoku, lutnia już rozbita, a teraz mnie się dostała wszelka moc nad tobą!

(Mara Heleny ukazuje się Albertusowi wraz z duchem lutni, w postaci dwóch aniołów)

Człowieku cnotliwy! nie lękaj się niczego od przewrotności szatana! My czuwamy nad tobą; śmierć nie niszczy, ścieśnia tylko ogniwa życia duchowego. My zawsze z tobą będziemy, myśl twoja każdej godziny wywołać nas może; będziemy cię wspierać w rozpędzeniu napadów zwątpienia, w walce z dolegliwościami życia.

(Albertus pada na kolana).

Chór duchów niebieskich.

Stój, szatanie! ty nic nie możesz nad tym, kto mądrość swoją czerpie ze źródła wiary i miłości bliźniego. Dłoń jego szczęście strun lutni zerwała, ale dłoń jego była nieskalana i uratował go śpiew siódmej struny. Teraz dusza jego będzie lutnią, której wszystkie struny razem brzmieć będą, a hymn ich wzbije się ku bogu na skrzydłach radości i nadziei. Chwała bądź bogu na wysokościach nieba!

Duch Heleny.

A pokój na ziemi ludziom czystego serca!

(Mefistofeles odlatuje ponad poziomem; duchy niebieskie niktą w niebiosach)

Scena IV.

Albertus, Wilhelm, Hans, Karl.

Hans.

Mistrzu! godzina nauki wybiła; czekamy na ciebie.

Wilhelm, z niespokojnością.

Sądziłem, że Helenę z tobą zostanę.

Albertus.

Helena mię opuściła.

Hans.

Opuściła? pewnie w nowym przystępie szaleństwa?

Wilhelm.

Cóż to ja widzę?... Lutnia rozbita?... O boże!
gdzież jest Helena?

Albertus.

Helena już wyleczona!

Karl.

Jakimże cudem?

Albertus.

Cudem sprawiedliwości i dobroci boga.

Wilhelm.

O mistrzu! Co chcesz przez to rozumieć? Co się tu stało? Słyszeliśmy huk straszliwy, jakby huk uderzającego gromu; teraz widzimy lutnię wszystkich strun pozabawioną, a twarz twoją zalaną łzami.

Albertus.

Moje dzieci! grom wypadł, a teraz znowu pogoda; łzy moje płynęły, a teraz twarz moja spokojna; lutnia rozbita, ale harmonia przeszła do mojej duszy. Spieszmy do pracy!

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 20378

1-2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000171917



1000171918